

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXVIII.

ROK VII.

TOM IV. — ZESZYT I.

Październik.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

—

1882.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 30 Września 1882 r.

Na scenie i za kulisami.

HISTORYA PARAFIALNA.

X.

Hrabina po wyjeździe gości oddaliła się zaraz, Wanda poszła za jéj przykładem; w salonie pogaszono światła tylko na fortepianie paliła się jedna świéca—miss Ella porządkowała nuty. Uchyliły się drzwi i wszedł Sulimowski.

— Hrabia nie śpi jeszcze? spytała Angielka.

— Nie—chciałem z panią pomówić.

— O czem?

— O tém, że nieżyczę sobie nadal podobnego ułatwiania sam na sam, jakiego pani dopuściłaś się dzisiaj. Może to bardzo romantyczne, aleby warto zapytać czy to z moją wolą się zgadza.

Po twarzy Elli przebiegł wyraz dziwnéj złośliwości, oczy jéj błysnęły—ale spuściła głowę i rzekła łagodnie.

— Niedomyślałam się że to hrabiego może rozgniewać—przepraszam z całego serca—ale zkądże wiedzieć mogłam.

Pokora Angielki rozbroiła Sulimowskiego, już innym tonem ciągnął.

— Przecież wiesz pani że mam inne zamiary!

Ella spojrzała szeroko otwartemi oczami.

— Jakto—więc to było na seryo? więc hrabia naprawdę myśli o panu Karolu Porajskim?

— Pani myślałaś że na żarty?

— A naturalnie, przyznam się, że znając hrabiego, trudno temu uwierzyć!

Sulimowski zaczerwienił się mocno.

— Ciekawym jak to pani rozumie—rzekł z urazą—przecież to świetna partya!

— Zapewne—ale cóż za tym związkiem przemawia?

— Wszystko! Łącząc się z nim mam wpływ na całą okolicę—jestem tu pierwszym stanowczo. Wspierając się na Porajskim, który ma razem i znaczenie, dojdę do wszystkiego co zechcę—mając jego, całą okolicę będę miał w ręku! Wanda jest tu pierwszą partyą na dziesięć mil w około. Porajski toż samo—złączenie tych dwóch potęg wyjdzie mi na dobre. Przytém, Porajski po ślubie zabierze do siebie hrabinę—dopiero wtedy urządzę sobie życie tak jak chcę.

Ella spojrzała na hrabiego i pokiwała głową—potém wzięła jego rękę w obie swoje, i rzekła głosem wzruszonym.

— Hrabia jesteś człowiekiem tak szlachetnym, że nie przypuszczasz w innych podejścia. Przytem Porajski jest układny i umie grać komedyą...

Sulimowski poczerwieniał mocniéj jeszcze.

— Jakto! zawołał żywo—w czem podejście?

— Łącząc się z domem pana Porajski ma wszelkie korzyści, pan żadnéj. On, zyskuje poparcie wszystkich krewnych Wandy stanowcze prawa obywatelstwa w arystokracyi—wpływ i znaczenie większe coraz. A cóż hrabia dostajesz?

— Alež—pomoc jego w każdym wypadku!

— Gdzie jest rywalizacya, tam o pomocy nie może być mowy.

Hrabia się zerwał, i przeszedł kilka razy po salonie.

— Więc—czegóż on chce? zawołał gwałtownie.

— On chce się pozbyć rywala—sobą hrabiego zaćmić, zneutralizować—wyzyskać dla siebie wpływ który mu solą jest w oku.

— I aby tego dopiąć żenić się chce z Wandą!

— Doskonały sposób. Raz przyjęty do rodziny, wsparty przez wszystkich jéj członków, dom jego bez żadnéj wątpliwości będzie najpierwszym, nie tylko w okolicy, ale w prowincyi. Tém łatwiéj mu to przyjdzie, że dom hrabiego przemienia się na kawalerski, a on zajmuje miejsce daleko poważniejsze, jako trzymający dom otwarty w całém znaczeniu tego wyrazu.

— Ależ ja—ja, cóż robię w tém wszystkiem!

— Właśnie że hrabia nic nie robi i robić nie będzie, mając prawo jedynie żyć sobie spokojnie za plecami swego wielkiego zięcia...

Sulimowski podskoczył.

— I myślisz pani że ja się na to zgodzę! krzyknął.

— Wątpię żeby pytał o to, a zresztą opinia za nim pójdzie. Będzie miał u siebie hrabinę—wiemy jak łatwo jéj co wmówić—on ją pozyska sobie, i potém zrujnuje opinią hrabiego niemądremi ko-

merażami, choćby o życiu domowem, hrabina go poprze. Przytém majątek głównie do hrabiny należy, mając jéj poparcie, on się nie cofnie przed skandalem—i cóż będzie?

Sulimowski się zerwał z zaklęciem wcale nie salonowém.

— To być nie może! zawołał.

— Przecież łatwo widzieć do jakiego stopnia on hrabiego nienawidzi—jak zazdrości. On, zaraz po ślubie, dopiąwszy celu, zacznie pozować na obrońcę niewinności uciśnionéj, na rycerza hrabiny. Ona go za takiego przyzna, ludzie przyklasną, a hrabia przepadniesz.

Sulimowski biegał po salonie, sapiąc ze złości. Ella miała słuszność—jéj słowa odkrywały mu nowy horyzont.

— Ha! to tak! mówił sam do siebie—hola! jeszcze interes nie skończony—jeszcze nie czas śpiewać piosnkę zwycięztwa!

Czarne szydercze oczy Angielki śledziły go—widział w nich wyraz drwiący.

— Właśnie téż dla tego z takiém zdziwieniem słuchałam gdy mi hrabia mówił o tym projekcie—ozwała się, gdy Sulimowski usiadł napowrót. Ale to zawsze tak—im kto szlachetniejszy, tém więcéj narażony na podstępy—a ludzie nieuczciwi, gdy im się uda oszukać takiego, śmieją się na całe gardło, wołając że złapali wróbla na plewy!

Strzał był celny—ranił do żywego.

— Śmieje się! śmieje! zawołał hrabia z wściekłością—zobaczymy kto się zaśmieje ostatni!

Ella nie spuszczała go z oczu.

— Coby to za świetna zemsta była—rzekła po chwili—zniweczyć mu te piękne zamiary wydając Wandę za innego!

Hrabia się przeszedł znowu, ale już wolniéj, spokojniéj, z uśmiechem—znać myśl mu się podobała.

— Mówisz o Bogdanie? zapytał.

— Naturalnie. Partya stosowna—mając z niego te same korzyści co ze stryja, niema żadnego niebezpieczeństwa. Ten rywalizować nie zechce, nadto będzie wdzięczny za szczęście—on przeciwnie będzie więcéj niż szanował hrabiego, i będzie go można prowadzić. Jest ogólnie ceniony i lubiony, wyrobi się pod wpływem hrabiego, któremu się w zupełności podda, i wszystko będzie dobrze. Jego dom nie będzie rywalizował—przeciwnie, hrabia tam będziesz miał głos decydujący—on będzie następcą, nie rywalem...

— Ależ projekt żeby hrabina mieszkała z córką—ten upada!

— Słyszałam jak Wanda mowiła mu że nie rozdzieli się z matką.

— Jakto! on śmiał z nią mówić bez mego pozwolenia!

Ella się głośno rozśmiałą.

— A odkiedyż to się w takich razach pyta o pozwolenie? spytała—czyby hrabia w jego położeniu pytał? pocóż zbrodnię robić z tego? Otóż—wracając do rzeczy—hrabina przy nich zamieszka...

— A któż mi ręczy, że Bogdan nie postąpi tak jak stryj jego?

— Najprzód charakter, a później jego własny interes. Czyżby mógł mieć nadzieję przez chwilę, że opinia stanie po jego stronie, że zawaha się między nim a hrabią? Toż byłby zgnieciony!

— Może to i prawda... a zatém...

— Zatém, miałam słuszność mówiąc że hrabia żartował w swoich projektach, hrabia myślał jak ja, tylko chciał mnie zmistyfikować. Mam nadzieję że za rok Wanda będzie żoną Bogdana, hrabina przy córce, a ja żoną plenipotenta hrabiego zarządzającą pałacem Drewińskim i zawsze równie szczerą i oddaną wielbicielką i przyjaciółką hrabiego!

Sulimowski się rozśmiał.

— A czy masz już kogo napiętego? spytał kładąc jéj rękę na ramieniu.

— Ella wzruszyła ramionami.

— Przyjmę tego, którego mi hrabia przedstawisz—odparła.

— A niebędzie ci tęskno za ojczyzną—za twoim krajem mglistym?...

Ella wstrząsnęła głową.

— Niemam tam nikogo—rzekła—nikt na mnie nie czeka i nikt nie tęskni za mną. Wyszłam na tułaczkę w obce kraje za chlebem powszednim, zaszłam aż tutaj, dobrze mi, więc zostanę. My ludzie pracy, ludzie bez jutra, możemy sobie pozwolić tylko tego co do życia nieodzownie potrzebne—wszelkie uczucia abstrakcyjne, to zbytek dostępny jedynie panom świata, dzieciom szczęścia. Nie, nie będę tęsknić za moją mglistą ojczyzną...

— No to dobrze— w takim razie pomyślę o wszystkiém...

Ella powstała żegnając go i odeszła—hrabia długo jeszcze chodził układając plany. Znać były mu one po myśli gdyż uśmiechał się z zadowoleniem i gładził faworyty co chwila.

— Tak—szeptał—myśl wyborna... Ona sama mówiła że gdy uczucie nie dopisze, pocieszyciel ma praw najwięcéj—otóż tutaj, mnie ta rola wypada...

XI.

Nazajutrz około południa, pani Emilia weszła do pokoju siostry. Tola leżała na szezlongu czytając, listy odebrane z poczty—czy to,

że była zmęczona, czy może odblask pąsowego szlafroczka, dość że wydawała się bladą, oczy mocniéj były podkrążone niż zwykle, pani Emilia usiadła i czekała w milczeniu.

— Mam zemstę—ozwała się po chwili Tola krótko, głosem suchym, ostrym.

Pani Emilia poruszyła się żywo.

— Co mówisz! zawołała.

— Czytaj—i podała jéj list.

Pani Emilia rozwinęła go szybko—w miarę czytania, twarz jéj się rozjaśniała.

— Ależ to przepyszne! zawołała skończywszy—tylko czy da się zrobić?

— Wątpisz? spytała Tola szyderczo.

— Nie jestem pewną ciebie—nieumiesz panować nad sobą.

Tola się poruszyła gwałtownie.

— Niemasz się czego obawiać—rzekła, lodowato nad czynnościami swemi zawsze panować potrafię, nawet gdyby mi obudziło się w sercu to co ludzie nazywają uczuciem. Ale tutaj i to nie zachodzi, ja nie kocham. Obrażono moję miłość własną w najdotkliwszy sposób, odrzucono mnie—cóż mamy grać przed sobą komedyą, on chce téj bladéj lalki z hrabiowskiego pałacu, a mnie zostawia sobie na odpoczynek po trudach, na zabawkę po znudzeniu...

— A zatém?

— Zatém, zręczny on, alem ja zręczniejsza—i wkrótce będę miała zemstę w ręku. Dziś, jutro, dzięki moim staraniom, mojéj grze aktorskiéj, ta porcelanowa hrabianka zamieni pierścionki z Bogdanem. Wtedy on zwróci się całą siłą do mnie—bo słuchaj Milo, ten człowiek mnie kocha, o ile pozwala jego natura, jego egoizm szalony. On zwróci się do mnie, powtarzam—ale gdyby u nóg moich leżał nic z tego nie będzie, nawet za cenę jego nazwiska, nie przebaczę mu nigdy téj bezczelnéj komedyi z tamtą, tego panowania nad sobą ze mną, nigdy—nigdy.

Pani Emilia przesunęła rękę pieszczotliwie po włosach siostry.

— Spokojnie dziecko! rzekła łagodnie—nie egzaltuj się. Będzie to zemsta godna mnie i ciebie...

Tola zaśmiała się ostrym śmiechem.

— Będzie to pyszna scena! zawołała—godne zakończenie naszéj komedyi,—Emilia spuściła głowę.

— Coś mi ta komedya na dramat zaczyna zakrawać—szepnęła z niechęcią smutną.

Tola rozśmiała się głośniéj jeszcze.

— Milo droga moja—rzekła szyderczo, ty nadto znasz życie żeby niewiedzićć, że często śmiech płacz pokrywa albo przeciwnie— że niema tak smutnéj rzeczy z którejby śmiać się do rozpuku nie można, ani tak wesołéj nad którąby nie trzeba płakać aż do spazmów, każda okoliczność jednym daje radość, drugim smutek...

— Mówmy o czem inném. Jedziesz?

— Naturalnie.

— Kiedy?

— Zaraz po zaręczynach Bogdana z Wandą.

— Jesteś ich pewną?

— Najzupełniéj. Hrabia jest zerem, które się ma za geniusz, tacy bywają najlepszemi marjonetkami...

— Trzymasz nitkę dobrze w ręku?

— Trzymam—ale w każdym razie wyjadę dopiero po fakcie spełnionym.

Pani Emilia pochyliła się nad siostrą i przyciągając ją do siebie zaczęła pieścić jak dziecko małe. Oparła jéj głowę na swojém ramieniu przesuwając swoję aksamitną rękę po ślicznéj twarzy i jedwabistych włosach, ale znać piękna pani miała mocno rozdrażnione nerwy gdyż raptem, bez żadnego powodu, wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Pani Emilia nie zdziwiła się, nie wyrzekła i słowa, nie próbowała uspokajać siostry, ale bliżéj ją przyciągnęła do siebie, wygodniéj ułożyła jéj głowę na swojém ramieniu i pozostała tak nieruchoma. Niedługo zresztą trwał ten atak gwałtownego żalu czy téż rozdrażnienia nerwów, wkrótce Tola uspokoiła się i otarła oczy.

— Zostaw mnie Milo—rzekła do siostry.

Do obiadu pani Tola nie wyszła wymawiając się silnym bólem głowy. Państwo Czarnowscy tylko co wstali od stołu gdy zajechała przed ganek elegancka amerykanka i wysiadł z niéj Sulimowski. Wprowadzony do salonu, nie widząc Toli, zwrócił się do gospodyni.

— Gdzież pani Sawińska? zapytał.

— Tola dziś niezdrowa—ma silną migrenę i nie wychodzi od siebie. Twarz hrabiego przeciągnęła się.

— Więc nie można jéj widzieć? zapytał.

— Zapytam się, w tych nerwowych migrenach rozrywka może pomódz bardzo...

Wyszła i wróciła za chwilę, zapraszajac Sulimowskiego do siostry—ale sama za nim nie poszła.

Piękna Tola leżała na szezlongu, owinięta posąwym szlafrokiem, włosy zupełnie rozpuszczone, śpięte tylko węzłem pąsowym opływały ją całą, rozsypując się po białéj poduszce i spadając aż na

ziemię długiemi jedwabistemi pasmami. Ręce się wysuwały po łokcie z szerokich rękawów szlafroczka—twarz rozpalona była a ten wypieczony rumieniec dodawał blasku oczom, świetności cerze, gorączkowego niemal ożywienia twarzy.

Wyciągnęła do hrabiego swoję śnieżną rączkę, Sulimowski ją pochwycił i mocno do ust przycisnął.

— Co pani jest?—zapytał troskliwie, siadając obok i nie wypuszczając trzymanéj rączki, któréj mu też nie odbierano.—Tak byłem o panią niespokojny i widzę że miałem słuszność...

— Głowa mnie boli—odparła cicho Tola.

— To zwykła wymówka kobieca. Migrena pokrywa wszelkie nieusposobienia, rozdrażnienia, smutki—to doskonały parawan.

Tola wyciągnęła gwałtownie rękę, którą dotąd trzymał Sulimowski i podniosła się na poduszkach.

— A jakiż nam inny zostaje? spytała z goryczą. My—zdawać sprawę musimy z każdego słowa, ruchu, z wesołości i smutku naszego. Świat patrzy na nasze twarze i śledzi każde drgnięcie i zmianę, każdy uśmiech i łzę każdą, wytłómaczenia ścisłego żądając. To téż najczęściéj mamy dla niego maskę, za którą mu trudno dojrzéć twarzy prawdziwéj—a gdy braknie sił na udanie, zasłaniamy się bólem głowy.

— Hrabia pochylił się do niéj.

— Ale przecież dla przyjaciół, można nie udawać—przyjaciełom można się przyznać że to nie ból głowy ale wrażenie przykre, przyjaciel zrozumie, a lżéj będzie niż tak męczyć się saméj.

— Tola wpatrzyła się w niego—jéj śliczne oczy szare tak głęboko zajrzały do oczu jego jakby duszę chciały przeniknąć, pod ich magnetyczną siłą Sulimowski aż drgnął gwałtownie.

— A więc czemuż przyjaciel pyta o przyczynę kiedy wie o niéj? spytała. Czemu mię męczy pytaniami, na które ani chcę ani mogę odpowiedziéć? czyż tak powinien postępować jeśli jest przyjacielem? Głos Toli był przyciszony trochę, łagodny i skarżący się tęskno, jak by biednego chorego dziecka, które bardzo, bardzo główka boli, i chce żeby go żałowano. To téż Sulimowski z całego serca pożałował téj uroczo powabnéj istoty co leżała cicho na poduszkach opłynięta kruczemi włosami, z wypieczonym rumieńcem na twarzy, ze smutkiem w tych wielkich oczach szarych, ze skargą na purpurowych ustach... Tak jéj pożałował, że na pociechę chciałby jéj ofiarować co miał najdroższego na świecie—samego siebie...

Tylko że tak odrazu nie wypadało spłoszyć rajskiego ptaszka a zatém tylko pochylił się do pięknéj pani i poniósł rękę jéj do ust.

— Prawda—rzekł, jak mógł najsłodziéj, najtkliwiéj, moją jest winą żem się tak do pani odezwał tym komunałem powszednim. Trzeba było po prostu w milczeniu uścisnąć rękę pani—pani zrozumiałaby moję szczerą, prawdziwą, serdeczną przyjaźń—wszak prawda. Po twarzy pięknéj Toli przeleciał błysk złośliwości szyderczéj i dziwnego niesmaku. Sulimowski nie widział tego, pochylony nad jéj ręką. Nie odpowiedziała—za chwilę hrabia przerwał milczenie.

— Przed godziną otrzymałem list od pana Bogdana Porajskiego z prośbą o rękę mojéj córki, dziś wieczór ma sam po odpowiedź przyjechać.

Tola drgnęła jak prądem elektrycznym dotknięta i spuściła głowę tak szybko, że Sulimowski nie dostrzegł wyrazu jéj twarzy.

— I—cóż pan odpowiesz... spytała cicho.

— Ja niewiem. Przyjechałem się pani poradzić.

Tola milczała czas jakiś—nareszcie podniosła głowę i rzekła głosem czystym, dźwięcznym, w którym żadne wahanie nie drgało:

— Bogdan Porajski kocha córkę pana szczerze i prawdziwie, jest człowiekiem zacnym i szlachetnym, zasługuje więc na to, abyś mu pan szczęścia nie bronił. Byłoby to okrucieństwem, a zupełnie bezużytecznem. Jakaż teraz będzie pana odpowiedź?

— Nie będę bronił...

Tola znowu głowę spuściła. Milczenie trwało dłuższą chwilę—nakoniec, wyciągnęła rękę do hrabiego i patrząc mu prosto w oczy, rzekła poważnie.

— Zrozumiałam pana i dziękuję - zrozumiałam zupełnie i z całém przekonaniem powiadam, że pan jesteś człowiekiem o tyle szlachetnym, o ile bezinteresownym...

W jéj głosie poważnym zabrzmiała ostra, twarda nuta jak zgrzyt metalowéj struny, ale to było zapewne rozdrażnienie. Hrabia biorąc jéj rękę skłonił się z powagą wzruszoną trochę, jak każdy człowiek odbierający patent na bohaterstwo...

Za chwilę powstał.

— A teraz, muszę jechać—rzekł z żalem, jutro znowu przyjadę, jeśli pani pozwoli...

— Nie! zawołała żywo Tola—ja jutro wyjeżdżam na tydzień do Kijowa...

Sulimowski się zerwał.

— A toż co? zawołał z przykrém zdziwieniem.

— Tylko na kilka dni—rzekła Tola, interes mi wypadł konieczny.

— I kiedyż pani wróci?

— Za tydzień... dziesięć dni najwyżéj...

— Jakże ten czas długim się wydał!

Tola nie podniosła tego czułego frazesu, bawiła się swemi pięknemi włosami myśląc o czém innéin.

— Mam do pana prożbę—rzekła wreszcie, pozwól mi pan nie robić sekretu z zaręczyn panny Wandy i mówić o nich jako o fakcie dokonanym...

Sulimowski się skłonił.

— Zupełnie panią do tego upoważniam—rzekł, za godzinę to rzeczywiście, faktem już będzie... A zatém pani jedzie... pani da mi znać o powrocie?

— Nazajutrz po nim przyjedziemy do Drewini złożyć życzenia córce pana.

— A zatém do widzenia...

— Wyszedł—za chwilę pani Emilia weszła do pokoju siostry.

— I cóż? spytała.

Toli oczy błyszczały, usta się śmiały z szatańską złośliwością, piekielna ironia piękną twarz szpeciła.

— Mam! mam już połowę zemsty, zawołała—ten kretyn dziś wieczór jeszcze zaręczy swoję woskową córkę Bogdanowi—dał mi prawo rozrządzania tą wiadomością. Teraz mi tamtego potrzeba, pobawię się nim tylko, i wyjadę zaraz...

— Jakto! Sulimowski zezwolił?

— Nie nadarmo wmówiłam w niego że Bogdan mu staje na drodze do mego serca, on dla pozbycia się rywala oddałby więcéj niż córkę. Przekonany że sobie, swojéj zręczności i znajomości ludzi winien to wszystko, spoczywa na laurach—nie domyślając się, że teraz kiedy mi już niepotrzebny, odrzucę go jak znoszoną rękawiczkę... Niemyślę bez koniecznéj potrzeby prowadzić téj niesmacznéj komedyi, która mię nielitościwie nudzi, ach Milo, jakiż on bardzo niemądry, jaki niemądry ciężko, a jak pewny że jest co najmniéj geniuszem.

— Najwygodniéj z takimi...

— Ale jak za to nudno straszliwie!

— Wolisz takiego co ci stawi opór niezłomny?

Tola drgnęła.

— Chcę go mieć tutaj! zawołała—w moich rękach, odpłacę mu za swoje...

XII.

Los był posłuszny życzeniom pięknéj Toli, koło szóstéj wieczorem karosze Porajskiego stanęły przed gankiem Milewa, a on sam

wytwornie ubrany jak zawsze, wszedł do pąsowego saloniku. Ból głowy znać przeszedł trochę, gdyż pani Sawińska siedziała przy fortepianie, jéj białe palce błądziły po klawiaturze, dobywając z niéj przyciszone smętne dźwięki, których nie przerwała za wejściem Karola. Gdy się zbliżył podniosła rękę aby ją podać i w tejże chwili znów ją na klawisze spuściła.

Nikogo więcéj w salonie nie było, Porajski zajął miejsce przy Toli ale gdy chciał zbliżyć się więcéj, piękna pani swobodnym, naturalnym ruchem odsunęła swoje krzesło. Porajski zacisnął usta, krew lekko zafarbowała twarz jego bladą, ale nie powiedział ani słowa. Tola przerwała milczenie.

— Odpoczął pan już po wieczorze? spytała tym tonem wytwornie grzecznym, okraszonym stereotypowym uśmiechem, którym zwykle *bawi się* gości.

— Nie czułem się ani na chwilę zmęczonym. Z zasady nie sprawiam sobie najmniejszego przymusu, gdyby mię towarzystwo nie bawiło, byłbym wyjechał.

Tola się uśmiechnęła znowu.

— Ja bynajmniéj nie utrzymuję że pan się nudził, rzekła—właśnie, wybornie się bawiąc, można sił nadużywać aby zabawę przeciągnąć, a to jest powodem zmęczenia...

— Umiem zawsze utrzymać równowagę, żeby ani zanadto się zmęczyć ani też przerywać zabawę...

Tola uderzyła kilka akordów silniejszych.

— Doprawdy? rzekła po chwili. A mnie się zdawało że pan musisz być bardzo zmęczony.

— I czemże? czy tańcem może?

— Nie. Właśnie, właśnie brakiem równowagi..

Karol poruszył się żywo.

— I w czemże ta równowaga zachwianą była? zapytał.

— W panu samym. Zachodziła sprzeczność między wolą a chęcią, tém samém była walka i zmęczenie...

— A nie możnaby wiedziéć z czém walka?

— Ze znudzeniem co widniało na twarzy...

Karol drgnął gwałtownie.

— To być nie może, zawołał—ja niemam potrzeby zadawać sobie przymusu.

— Ah! czasami, gdy się to dobrze opłaca..... Ale mówmy o czem innéṁ. Więc pan wybornie się bawił?

— Byłem w towarzystwie pani... i skłonił się z galanteryą!

Tola wzruszyła ramionami.

— Ah! tak pan z niego niewiele korzystał... rzekła wesoło.

Skorzystałem jednak...

— W czém?

— Poznałem pani chęci—nie śmiem powiedzieć uczucia...

— Czemu pan nie śmie? ja nie mam nic do ukrycia—nie gram podwójnéj gry więc mi wszystko jedno co ludzie pomyślą czy téż odgadną...

Porajski mocno zagryzł usta...

— Więc dla pani zupełnie obojętne zdanie wszystkich bez wyjątku, zapytał—nie ma takiego z kimby się pani rachowała...

— Zrozumiejmy się. Nie wyznaję bynajmniéj pysznéj obojętności dla świata, nadto lubię życie i nadto mam go w sobie, aby mię ludzie obchodzić nie mieli. Ale moje uczucie, wrażenie każde, nie lęka się jawności—niepotrzebuję kryć jego objawów, dlatego że one komuś tam niepodobać się mogą...

— A jednak są tacy, którym one się bardzo niepodobają—rzekł Karol przez zaciśnięte zęby.

— A—to już ich rzecz nie moja—trudno wymagać aby mnie to obchodziło w czemkolwiek.

Porajski się zerwał.

— I pani to mówi mnie... mnie... najspokojniéj... zawołał.

Tola wypatrzyła na niego szeroko otwarte oczy.

— A dlaczegóżbym ja tego panu powiedzieć nie miała? Cóż znaczy to zdziwienie?

— Dlatego że ja niechcę! niechcę słyszeć tego!

— Na to jest sposób nader łatwy—nie wyzywać odpowiedzi.

— A jeśli się zadaje pytanie, bo się chce usłyszeć odpowiedź—tylko że inną!

— Wolno każdemu pragnąć gwiazdki z nieba.

Porajskiego oczy zaświeciły przykrym blaskiem.

— Porównanie niezbyt trafne... rzekł — głosem syczącym.—Gwiazdki nie dostanie się ręką—a tu właśnie potrzeba... tylko ręki... ale...

— Ale cena jest za wysoką—rzekła Tola zupełnie spokojnie, masz pan słuszność, to cena nie na każdą kieszeń...

I odwracając się od niego uderzyła mocniéj w klawisze a z pod jéj palców wypłynęła polka skoczna, taka świeża a dźwięczna, że aż nogi się rwały do tańca. Porajski usunął się gniewnie do okna, ale niewiele miał czasu na przetrawienie złego humoru, gdyż weszła pani Emilia i do niéj zwrócić się musiał. Nie szła mu jednak rozmowa, był tak roztargniony, że aż parę razy odpowiedział całkiem niestosownie. Pani Emilia nie okazała żadnego zdziwienia ani przez chwilę.

Nareszcie Tola grać przestała i zbliżyła się do towarzystwa. Usiadła na kanapie przy siostrze i wcisnęła się w róg opierając głowę o poręcz, ale zaczepiły się długie pasma jéj włosów jedwabistych i szarpnęła je ręką z ramienia zsuwając, z jakiemś zniecierpliwieniem rozgrymaszonego dziecka, z kaprysikiem ślicznym na twarzy. Pani Emilia z uśmiechem popatrzyła na nią, ugładziła delikatnie włosy nad czołem i spytała łagodnie:

— Jakże z twoją migreną, dziecko?

— Pani cierpiąca?—podchwycił Porajski—panią głowa boli?

— O! już lepiéj, niema o czém mówić. . .

— I owszem, trzeba pożałować koniecznie. . . i głos mu zmiękł, nabierając pieszczotliwych dźwięków.

— Szkoda główki biednéj, co tak rozbolała szkaradnie, szkoda pani — powtórzył z uśmiechem pół żartobliwym, serdecznym na pół.

Tola się wstrząsnęła gwałtownie.

— Ja niechcę żeby mnie żałowano! — zawołała gwałtownie — jeden tylko na świecie całym miał prawo tak się do mnie odzywać, mój mąż, dziś nikt tego prawa niema, ja nie chcę! nie chcę!

I łzy zaświeciły w jéj ślicznych oczach szarych.

Porajski spojrzał z upodobaniem i uśmiechnął się.

— Jaka pani znerwowana—zauważył.— Ale choć pani tak stanowczo niechce aby ktoś panią żałował, przyjaciele mają prawo czuwać nad panią. . .

— Przepraszam—wtrąciła pani Emilia – mnie się zdaje że tylko mąż ma prawo nad żoną czuwać bezprzestannie, tylko od niego można to przyjąć, bo u innych to mija prędko, jak każdy kaprys zresztą. . .

— Jakto! więc tylko mąż może kochać prawdziwie?

— Ja niewiem czy to się nazywa miłością. Dowiedzioną jest rzeczą, że do wszystkiego co jest naszą wyłączną własnością przywiązujemy się bardzo, a czyż mąż i żona nie należą wyłącznie do siebie? Przytém widząc, że całe życie spędzić z sobą muszą, starają się ułożyć swoje charaktery, tak, aby im było jak najwygodniéj. Nie wiem więc czy to można nazwać miłością, ale jestto uczucie złożone na pół z przyzwyczajenia, a na pół z poczucia własności, to wyradza się w przywiązanie, w przyjaźń trwałą. . .

— Teorya pani jest prześliczną, ale niestety w praktyce zupełnie inaczéj się dzieje. Przyzwyczajenie uwalnia od wszelkiego przymusu, piękne zalety tracą wartość gdy się codzień ociera o nie, świetny dowcip w życiu codzienném to zbytek nieużyteczny, bo niema dla niego miejsca, rozum powszednieje i następuje obojętność. W życiu wspólném niepodobna aby dwa charaktery, dwie miłości

własne w ciągłém z sobą zetknięciu nie starły się z sobą, nie drażniły się ciągle wzajemnie, nie wytworzyły w końcu niechęci. Niech pani uważa w małżeństwie jak skwapliwie jedna strona wyciąga drugą na słówko, z jaką radością konstatuje winę lub krok niestosowny, bo to daje przewagę. W małżeństwie odjętą bywa największa przyprawa życia—*niespodzianka*, my już wiemy zawczasu co nas spotka, a to odejmuje smak wszelki. To zaś co pani najważniejszém nazywa, poczucie własności odbiera resztę upodobania, jeżeli coś już posiadamy na własność, najczęściéj przestajemy dbać o to...

Przykre uczucie przebiegło po twarzy Toli, gdy Porajski skończył, ozwała się z niesmakiem.

— Obraz, który pan kreśli byłby prawdziwym, gdyby nie był jako reguła postawiony. Zgadzam się na to, że są wyjątki o zmęczonéj głowie, stępionych użyciem nerwach, w których tylko próżność została, których przesyt dusi i każe im szukać w chwilowém wrażeniu zajęcia. Ale tacy ludzie to nie ogół, to chore, znerwowane do ostateczności jednostki, które tułają się nie znajdując miejsca nigdzie, bo w niebo nie wierzą, w piekleby ich niezechciano, a na ziemi się nudzą straszliwie...

Porajski się rozśmiał ostro, przeciągle, szyderczo.

— Ogół jest inny? to wyjątki? — powtórzył. — A czy dziś zna pani choćby jednego człowieka nie mającego rozdrażnionych nerwów? przecież to cecha pokolenia dzisiejszego. Myśmy niewinni temu, myśmy wytworem wieków i pokoleń przeszłych. Jak szeroko hula wiatr po stepach Ukrainy, tak szeroko hulać prawo miały chęci i fantazye ojców i dziadów naszych; królewięta nie znały hamulca dla rozhukanéj wyobraźni i samowoli swojéj. Myśmy jeszcze na to patrzyli, nas uczono żałować namiętnie téj możności użycia, kazano dążyć do niéj jako do jedynego szczęścia. A że już nie było swobody dawnéj, że trzeba się było hamować, że przytém cywilizacya wytworzyła potrzeby nowe dla umysłu ludzkiego, zerwała się równowaga między chęciami naszemi a rzeczywistością i to nam rozstroiło nerwy. Pole naszego użycia zmniejszyło się, więc wyczerpaliśmy je prędzéj, więcéj potrzeb a mniéj wrażeń mamy od przeszłego pokolenia, więc wcześniéj przesyt nastąpił...

— Nie! — zawołała Tola gwałtownie—to właśnie wy jeszcze jesteście zabytkiem wieków przeszłych, nie wolno dzisiejszego pokolenia w ten sposób sądzić, w niém jest życie i przyszłość. Wy schodzicie z pola, gdzie niegdzie tylko tuła się przedstawiciel świata waszego, zewsząd wypchnięty, bo niema już miejsca dla niego.

Porajski wzruszył ramionami.

— Pani zapomina — rzekł — że my zostawiając za sobą wiele przesądów, więcéj jeszcze złudzeń, zatrzymaliśmy rzecz najważniejszą — majątek! Otóż, człowiek posiadający tę najważniejszą dźwignię społeczną, nigdy z życia wypchniętym nie bywa.

— Zostaliście jednak wypchnięci z życia publicznego!

— Bo go u nas niema...

— I owszem, ale tylko że was nie wezwano do niego, wiedząc żeście zaskorupieli w egoizmie i nie potraficie nic poświęcić—nic, nawet tego czasu z którym niewiecie co robić...

— Nie nazywam tego życiem publiczném. Udawano się do nas o poparcie, ale cóż za cel?

— Tak, wam osobiście nic przyjść z tego nie miało. Usunęliście się przeto, a inni was wyścignęli. Zostaliście daleko za niemi z waszą zgnilizną moralną, z waszym jadem niewiary przekazanym dzisiejszemu pokoleniu jedyną spuścizną, którą po was dostało. A co najgorsza, że wy się nazywacie przedstawicielami kasty całéj szlachecko-ziemiańskiéj, że ci co was znają, nienawidzićć muszą, i tą nienawiścią obrzucają klasę całą, do któréj należycie, nie wiedząc i niechcąc widzieć że wyście wyjątkami tylko. Pokolenie dzisiejsze, synowie wasi, to ludzie pracy i czynu, wyście ludzie użycia, ludzie zastoju, próżniactwa...

Porajski się rozśmiał z ironią lekceważącą.

— Ludzie pracy! ludzie użycia! — rzekł zimno — być może to dobre określenie. Ale przecież tak nazwani ludzie czynu, rozbijając się w trudnych warunkach walki o byt, dążą do tego aby nam się stać podobnemi. Tylko że oni mniéj jeszcze możności od nas mają a pragnienia więcéj — pragnienia nie takiego jak nasze, co z pełnym kieliszkiem szampana na całe gardło się śmiało, rzucając garściami złoto na stolik zielony w zapłatę wrażeń doznanych, ale pragnienia gniewnego, ponurego, co pod pachą trzyma rachunkową książkę, a ręką drugą brząka w kieszeni drobną monetą i o wszystko targuje się zawzięcie żeby oszukanym nie zostać. To zmora dzisiejszego pokolenia — nie być oszukanym — to im odbiera sen i apetyt, zatruwa każdą przyjemność, nie użyją żadnéj spokojnie, bo nie są pewni czy ona warta tyle, ile dali za nią...

— Bo ciągle i ciągle oszukiwanymi bywali. Mieliście im zostawić rozległe majątki, błyszczące nazwiska, kosztowne pamiątki rodzinne, kilka pięknych idei, kilka celów jasnych, tak zaręczaliście przynajmniéj. A gdy oni do lat doszedłszy wzięli to w ręce swoje, pokazało się że majątki obdłużone wyżéj wartości, nazwiska zszarzane, pamiątki rodzinne zfałszowane. Idee i cele nie były waszemi, dostaliście je sami w spuściźnie jako depozyt święty, a zamiast usza

nować, użyliście go za pokrywkę do waszych niskich, małych celów, zbrudziliście, zużyli, że dziś wielu i wielu stroni od tego świętego sztandaru, bo nie umie już wierzyć w słowa wypisane na nim, z któremi się wręcz sprzeczały czyny wasze. A czyjaż to wina? wasza—dzisiejsze pokolenie za was pokutować musi...

Porajski się rozśmiał ironiczniéj jeszcze.

— Prawda— rzekł— ale i my nie zupełnie winni jesteśmy. Nie dano nam siły do stawienia oporu pokusom, życie było piękne, więc żyliśmy pełną piersią. Był w nas zmysł estetyczny, była wytworność, dziś ludzie brutalami się stali. Myśmy byli wychowani na dworach, ich kluby tylko kształciły.

— Tak, to téż wyście mieli służalstwo dworaków, oni zaś mają siłę dzieci własnych czynów, wolność, swobodę....

— I którą poddadzą pierwszemu lepszemu menerowi, który potrafi w ich słabą stronę uderzyć, a za to zostanie panem ich życia i śmierci. Wolę króla z łaski Bożéj jak dyktatora z łaski motłochu; pierwszy nauczył się już panować, nie upije się władzą jak drugi....

— Drugi za to zna potrzeby tych którymi ma rządzić, cierpiał ich bólem, żył ich życiem.

— I zachował nienawiść wściekłą dla tych, co dawniéj więcéj mieli od niego; ślepą chęć zemsty, odwetu — jakże ma być sprawiedliwym?

— Nie ma za to egoizmu, który gorzéj niż nienawiść zaślepia...

Porajski wzruszył ramionami i nieodpowiedział. Po chwili ozwał się głosem drgającym ironią.

— Pani jako kobiéta, niewdzięczną jest dla nas. Czy dzisiejsze pokolenie ma dla kobiéty to uwielbienie, do którego myśmy ją przyzwyczaili? Dla nas ona była piękném życia, dla niéj żyliśmy, a celem naszym było zdobycie jéj uznania i serca. Cóż wam daje dzisiejsze pokolenie? brutalnie usuwa was z drogi swojéj, mówiąc, że liczycie się do konsumentów, kiedy dzisiaj producentem winien być każdy. Dla dzisiejszych ludzi wyście nie pięknėm życia, oni téj potrzeby nie czują, ale zawadą, którą omijać potrzeba...

Oczy Toli błyszczały ogniem posępném, głos był przepełniony goryczą, gdy odrzekła:

— Bo to prawda, bo my nie umiemy stanąć na wysokości zadania naszego. Wyście rozpuścili matki nasze, a one tonąc w puchu nie pomyślały, że ich córkom zabraknie opieki, zabraknie siły. Nie nauczono nas żyć samodzielnie, nie nauczono wystarczać sobie, bo matki nasze nie czuły téj potrzeby nigdy, a dobrze im było na świecie. Wyście szukali zabawki, pod waszą galanteryą kryła się pogarda głęboka, a nasze matki, rade że królują w salonach, nie

troszczyły się o to, wyście mieli sprytne, dowcipne lalki, które zręcznie prowadziły intrygi i zgadzaliście się z sobą. Dzisiejsze pokolenie chce kobiétę szanować, szuka w niéj towarzyszki, przyjaciółki, a nie znajdując, odrzuca cacko wytworne, bo na zabawę brak mu czasu. . .

— Więc pani uznając że dla kobiéty niema dziś miejsca, broni jednak czasów dzisiejszych?

— Dla kobiéty miejsce jest zawsze, tylko dla lalki go nie ma. Kobiéta przygotowana do czynu, da sobie radę na świecie, ale my— my wychowane przez rozpieszczone damy salonów, nie potrafimy tego. Nasze delikatne niedołężne ręce tylko wachlarzem władać umieją, nasz umysł nie przygotowany do poważnéj myśli, my musimy płynąć z prądem, który rzuca nami jak kamykami co na dnie jego leżą... Myśmy nie zdolne żyć same przez się, bo nie nauczono nas tego, my musimy być prowadzone za rękę, niesione niemal, i dlatego nieraz zabijamy serce w piersi, każemy milczéć duszy i wbrew przekonaniu wychodzimy za takiego co nam da to, czego nie zdobędziemy same: pozycyą pewną, firmę uznaną. . .

— Tak więc uznając złe, nie staracie się mu zapobiedz, nie wierząc same sobie, chcecie żeby wam jednak wierzono? To niepodobna, wam wierzyć trudno, bo za często kłamiecie aby zyskać tę pozycyą szukaną. Wieluż to z nas serce swoje rzuciło pod nogi kobiécie, a w zamian otrzymało uśmiech kłamliwy, przysięgę zdradną; wieluż to wyciągnęło rękę po gwiazdę a dostało kawałek złoconego papieru? i wy się dziwicie że wam wierzyć nie chcą?

— Nie wierzcie, ale nie nam przypisujcie winę tego stanu rzeczy. Od dzieciństwa nam powtarzano żeśmy wyjść za mąż powinne, to też wychodziłyśmy tak jak matki nasze, aby zyskać swobodę. A jeszcze, jeśli która z nas młodych spotkała na drodze takiego co wstrząsał jéj wiarą i przekonaniami, czy też tém co nazywano tém mianem, czego uczyć się jéj na pamięć kazano, gangrenował pojęcia, drwił ze wszystkiego co ludzie zwą świętem, to wrażenie zostało na zawsze i ta kobiéta nie mogła już nigdy stać się kobiétą, ona jak owa Zosia z *Dziadów* między niebem i ziemią lata w powietrzu, ziemia ją wabi i niebo wabi, ale lekka jak puszek kwiatowy, nie zatrzyma się nigdzie ... Tak i my... Te co się dziś wychowują, objęte prądem nowych idei, wykształcone inaczéj, potrafią się oprzéć życiu, potrafią zapanować na sobą, nad chęcią użycia bez pracy, zwalczyć ten denerwujący wpływ pokus co ich wabić będą, my — dziś żyjące i działające — możemy uznać winę, boleć ciężko, ale poprawić się nie mamy siły. Jednę tylko zyskamy zasługę, inaczéj niż nas wychowano, my wychowamy córki nasze, one będą umiały wal-

czyć i za miskę soczewicy nie sprzedadzą prawa starszeństwa ducha swojego...

Piękna twarz Toli drgała całą gamą wzruszeń. Porajski spojrzał z upodobaniem, wydała mu się bardzo ponętną w téj chwili. Z jéj słów gorących, które może dawały klucz do charakteru téj kobiéty, on słyszał to tylko co miało związek z jego pragnieniem, chęcią, z planami jego, on to podniósł tylko.

— Jako pociecha w smutnéj chwili zostaje nam piękno życia, poezya i wdzięk—uczucie. Czyż kobiéta bez serca rękę oddawszy nie pokocha już nigdy? tak nie jest i być nie powinno... Odrzućmy na bok przesądy, które zasadami mianują, miejmy odwagę—cynizm—jeśli pani nie razi to słowo — raz głośno wyznać to co wszyscy praktykują w życiu. Dobrze was matki uczyły, że za mąż trzeba wychodzić, że małżeństwo to pozycya pewna, to forma uznana, bo też tak było, jest i będzie. Ale małżeństwo to proza życia, serce w niém zwykle niema udziału, to tylko konwencya, układ obustronny, złączenie dwóch pozycyi odpowiednich sobie, lub się dopełniających wzajemnie. Po za granicą prozaicznego domowego życia jest inne, życie umysłu i serca... życie miłości, uczucia. Tola chłodła, cierpła rzec można stopniowo na te lodowate słowa co spadały na jéj zapał jak krople wody zimnéj. Gdy Porajski skończył, ona powstała powoli,—poważna, chłodna, surowa.

— Nie profanuj pan tego słowa—rzekła.— Zabija się czas, stara się zająć zleniwiały umysł, ale nie nazywaj pan tego uczuciem. Ani wy—co pod tém uwielbieniem pozornėm dla kobiét kryjecie pogardę i lekceważenie, ani my—udające że wierzymy wam, póki nas to bawi lub póki w tém mamy widoki, kochać nie umiemy i umiéć nie chcemy. Jest-to obustronna komedya, gra o zakrytych kartach, w któréj zręczniejszy wygrywa. Wiemy że to komedya, to téż nie bierzemy jéj na seryo, a gramy, bo nic zabawniejszego nie mamy do roboty... Każdy z nas na scenie wygląda prześlicznie, umalowany, ucharakteryzowany, upozowany, a za kulisami dopiero można twarz właściwą zobaczyć: zwiędłą, bladą, zmęczoną, znudzoną. Innemi jesteśmy niż się okazujemy...

— To téż cała sztuka życia zależy na tém, aby podejrzéć karty przeciwnika i tak zręcznie zagrać, aby wyrzucić mu z ręki atuty...

— Tak, sztuka to wasza, wyście jak szulerzy zręczni, jak oni nie macie skrupułów, jak oni gdy karta nie idzie, umiecie odrazu woltę urządzić, albo grać fałszowanemi kartami... To specyalność wasza... Pamiętajcie jednak, że czas wasz minął, że wy i wasi następcy lada chwila ustąpić z pola musicie. Wczoraj było wasze, dzisiaj do innych już należy, a jutro was zmiecie...

Porajski wzruszył ramionami.

— I cóż z tego?— rzekł z szyderstwem palącem. — Toż właśnie w tych słowach pani jest wytłómaczenie nas i życia naszego. O cóż mamy się troszczyć? tego co nam z dnia wczorajszego zostało do jutra wystarczy, a co po nas będzie, to mniejsza—*après nous le déluge*. My wiemy—my, ludzie użycia—że jutro nie nasze, ale że naszym jest świat cały, póki mamy mu czém zapłacić za wrażenia, których żądamy od niego. I po cóż dbać nam o jutro, kiedy ono nie nasze? poco dbać o ludzi, kiedy to nie nasi ludzie, nie naszych pojęć? oni nas nienawidzą, my z nich drwimy... myśmy ludzie innych czasów. Ale czy pokolenie dzisiejsze, ci ludzie, których pani podnosi, przetrwają to co spadło na nich? Obalili wczoraj, mówiąc że ono przestarzałe, choć niejeden filar stał tam mocno, taki, obok którego myśmy przechodzili, nie opierając się o niego, ale stojąc w jego cieniu. Oni na sobie chcą oprzéć fundamenta przyszłości... Do tego pani kochana potrzeba apostołów, bohaterów, a dzisiejsze pokolenie, niestety, niema w sobie ani wiary chrześcian pierwotnych, ani ich siły, ani namaszczenia—zadaniu nie podołają.

Tola głowę spuściła.

— Boście im zostawili niewiarę—rzekła smutno bardzo—bo oni po was dostali przeczenie wieczne, bo już w nic wierzyć nie mogli, odebraliście im wiarę każdą...

— Najwięcéj bo niemieli wiary w siebie, pani droga, bo pigmeje, liliputy nie mieli siły podnieść ciężaru i nim go wzięli jeszcze na barki, już zdjął ich strach paniczny. Cóż my winni, że podczas gdy myśmy spijali wino, wiedząc że jeszcze pełna piwnica, mieliśmy hasło *quand il n'y en a plus, il y en a encre* i było nam dobrze, wesoło, swobodnie, wierzyliśmy w siebie, w uciechy których używaliśmy do woli. A oni schwycili nasze niedopite kieliszki zostawione na stole i wychylili je do dna, do mętów, bo wiedzieli że to już reszta, że nie dostaną więcéj, że to już kropla ostatnia. Ich poeta Hugo, gdzieś tam napisał czy powiedział przecież, że ostatnia kropla najlepsza—najlepsze ostatnie uczucie co przepala okruchy serca, najlepsze ostatnie wrażenie co wstrząsa stępiałemi nerwami, najlepsza kropla ostatnia, bo po niéj już nic ma nic... Cóż my winni że oni tak smakując tę kroplę ostatnią, mętami się struli?

— A pocóż zabraliście wszystkie wino dobre, im zostawiając męty same?

— Ha! cóż robić, pierwsza miłość od siebie, czemu się wcześniéj od nas albo późniéj od moich wnuków nie porodzili.

Tola popatrzyła na niego z gniewem tłumionym, za chwilę rzekła tonem lekkim, swobodnym, szyderczym.

— Ale my od godziny prowadzimy tak poważną dysputę, jakbyśmy mieli zamiar świat odbudować. Zdaje się jednak, że żadne z nas téj pretensyi nie ma. Ludzie dobrze wychowani nie bawią się w utopie—nieprawdaż?

— W saméj rzeczy jestto ogromnie *mauvais genre.*

— A zatém mówmy czemprędzéj o czém inném...

— A mianowicie?

— Choćby o małżeństwie...

Oczy Toli tak złośliwie błysnęły, że Porajski się zaniepokoił.

— A cóż ciekawego można w tak nieciekawéj kwestyi upatrzyć? — zapytał.

— Bardzo wiele. Ja doprawdy z przyjemnością słuchałam pańskiéj teoryi.

Porajskiemu oczy błysnęły—przysunął się.

— Zaręczam pani, że według niéj się rządzę i rządzić będę— rzekł głosem gorącym, stłumionym.

— A zatém, gdyby się pan ożenił...

— Byłoby to dla mnie formą tylko, życie domowe nigdy nie zajmowało dużo miejsca u mnie. Treść mego życia i jego poezya gdzieindziéj się znajduje, nie w małżeństwie z konwenansu.

Tola zbladła lekko, jéj usta zadrżały, gdy spytała:

— Więc pan przyznaje zamiar zawarcia takiego małżeństwa...

Porajski zawahał się na sekundę, zmięszanie zamigotało mu w oczach, ale odparł głosem silnym, spokojnym:

— Tak pani.

Teraz purpurowy rumieniec oblał twarz, czoło i szyję Toli, spuściła szybko głowę. Gdy po chwili spojrzała na Porajskiego, jéj szare źrenice miały zimny połysk gładkiéj stali, w jéj głosie pieszczonym były także ostre, stalowe dźwięki, gdy rzekła:

— Teorya pańska obiecuje, że nie podda się pan rozpaczy, jeśli przyjdzie inny wybór zrobić...

Porajski spojrzał niespokojnie.

— A dlaczegóż miałbym to robić? — nic stosowniejszego nie znajdę...

— Pan się zgadza — rzecz do połowy zrobiona...

— A ponieważ nic na przeszkodzie nie staje.

Oczy Toli ostrzéj, zimniéj błysnęły.

— Czyś pan tego pewny — spytała.

— Najzupełniéj.

— A gdyby się pan mylił?

— Niepodobna. — I cóżby mi na drodze stanąć mogło?

— Naprzykład: zajęcie się pańskiéj wybranéj kim innym...

Porajski się rozśmiał.

— Ależ ja nie będę zazdrosny... — rzekł pochylając się do Toli — ja najzupełniejszą swobodę zostawiam, bo żądam podobnéj dla siebie...

Piękna pani odsunęła się.

— A jeżeli— ciągnęła daléj — ona nie podziela pańskich teoryj i jest o tyle naiwną, że woli wyjść za tego, kim się zajęła?

— Wyperswaduje się jéj te chęci.

— Kto się tego podejmie?

— Ci, których to jest obowiązkiem i prawem naturalném.

— To ma znaczyć rodzice, ale jeżeli ci jéj wybór potwierdzą?

— Ponieważ jestem przekonany o czém inném, akceptuję na teraz przypuszczenie pani.

— Pozwól mi pan bawić się niemi, przecież to nieszkodliwe. Otóż, w razie gdyby one prawdą były, cóżbyś pan zrobił?

— Nie myślałem jeszcze o tém.

— Pomyśl pan.

— Po co?

— Dla zrobienia mi przyjemności.

Porajski poruszył się żywo. Sami tylko we dwoje byli oddawna, Czarnowski wyszedł od godziny, pani Emilia wysunęła się za nim, blask jedynéj lampy padał na stolik i kanapę, resztę pokoju zasłaniając w półcieniu. Przez otwarte okno wchodziło wieczorne ciepłe powietrze, woń róż i rezedy z ogrodu, jakiś daleki odgłos ptaków wodnych co w oczeretach na stawie się odzywały i promienie księżyca co świecił w pełni. Jakieś prądy elektryczne drgały w powietrzu, gorąco było. Tola wpół leżała na kanapie, orzucona swoim pąsowym szlafrokiem co odkrywał jéj idealnie piękną szyję i utoczone ręce, opłynięta pasmami kruczych włosów, z uśmiechem sfinksa na purpurowych ustach, z rumieńcem wypieczonym na twarzy. Drobne potu krople perliły się na jéj marmurowem czole, mała ręka zacisnęła się na poręczy kanapy jakby kurczem ścięta, oczy zapatrzyły się nieruchomo w Porajskiego. On milczał. Jego oczy nie mogły się oderwać od tego ponętnego obrazu.

— Pomyśl pan... — szepnęła Tola—z prośbą w głosie.

Pochylił się do niéj tak blisko, że poczuła gorąco jego oddechu.

— Zrobiłbym teraz to, co zamierzałem zrobić dopiero po ślubie moim — rzekł szeptem namiętnym.

Piękna pani w tył głowę pochyliła, obrzuciła go spojrzeniem przeciągłem, uśmiechnęła się powabnie i spytała z żartobliwą przekorą.

— A mianowicie?

Położył rękę na jéj ręku.

— Przestałbym walczyć z tém co mną coraz bardziéj owłada— szepnął.

Tola zbladła bardzo, oczy jéj strzeliły błyskawicą, zerwała się z kanapy i o krok daléj stanęła.

— A więc—rzekła—w téj chwili hrabianka Wanda jest już narzeczoną Bogdana Porajskiego.

W jéj głosie suchym, ostrym, szyderczym, nie było i śladu tych pieszczotliwych dźwięków co w nim brzmiały przed chwilą. Porajski osłupiał jakby w niego piorun uderzył, ale otrząsnął się szybko.

— To być niemoże! — zawołał.

Tola wybuchnęła śmiechem, który się złamał w jéj gardle.

— Czy mam pozór osoby żartującéj?—spytała.—Zaręczam panu, że dziś odprawiają się w Drewini zrękowiny...

Gniew namiętny błysnął w oczach Porajskiego, żyły mu wystąpiły na czole.

— Czyżby śmieli! — zawołał głosem stłumionym.

Z ust Toli wybiegła gamma śmiechu, tym razem perlistego, szczerego, dźwięcznego.

— A dlaczegóżby nie? — zawołała z ironią palącą — czyż pan pozjada ich żywcem? czy jak w dawnych dobrych feudalnych czasach pan zbierze wasalów i zbrojną ręką na ich pałac najedzie?

Porajski się zatrząsł gwałtownie.

— To być nie może! — zawołał. — Cóżby się stało?

Tola położyła mu rękę na ramieniu.

— To się stało—rzekła poważnie, smutna niemal—żeś pan grał niedobrze; podgrywał pan przeciwnika, ale atuty nie w jego ręku zostawały... nie widząc kart, ufał pan w swoje szczęście do gry i zręczność w urządzaniu wolty, a tymczasem inne były karty niż pan sądził, i dziś—po raz pierwszy w życiu może— musisz pan uznać przegraną.

I odwracając się cichym, wolnym krokiem wyszła z salonu. Długi ogon jéj pąsowego szlafroka wlókł się za nią z cichym szelestem, jedwabiste włosy opływały ją płaszczem królewskim. Doszedłszy do drzwi, obróciła się raz jeszcze, trzymając już rękę na klamce.

— Żegnam pana... —rzekła głosem, w którym łzy drżały.

Zbudzony z odrętwienia poskoczył ku niéj, ale znikła szybko za drzwiami i usłyszał klucz obracający się w zamku.

Wybiegł jak szalony przed ganek, konie stały niewyprzężone, wskoczył do powozu i kazał pędzić do domu, nie żegnając się z gospodarstwem.

Gdy po jego wyjeździe pani Emilia chciała wejść do pokoju siostry, zastała drzwi na klucz zamknięte. Pomimo prośby, nieotworzono jéj.

Nazajutrz piękna Tola wyjechała do Kijowa.

XIII.

Porajski wrócił do siebie rozszalały gniewem. Gdyby nie było tak późno, zawróciłby do Drewini, ale mógł tam stanąć dopiero koło jedenastéj w nocy, nie chciał być śmiesznym, a rola odrzuconego konkurenta, zazdrosnego o szczęśliwszego rywala, nie uśmiechała mu się bynajmniéj.

Po namyśle uznał, że to nie może być prawdą. Jeszcze na balu w Milewie pewnym był swego, — skądżeby zmiana tak nagła? Ale w tejże chwili stanęła mu przed oczami Tola Sawińska, taka śliczna, tak bardzo ponętna w swojéj różowéj sukni na tym balu pamiętnym. Zgrzytnął zębami wspominając, że ona dla niego tylko zbroiła się w lodowatą ironią, dla niego, który miał przecież sam jeden więcéj praw do niéj jak wszyscy tam zebrani. Dla innych miała uśmiech wabiący, powłóczyste spojrzenie, szczególniéj dla Sulimowskiego. I przypomniał sobie jaki go gniew ogarnął szalony, gdy Sulimowski, kwiatem z Toli bukietu wyjętym udekorowany, wybiegł dla niej po lody, jak się ostro przemówili wtedy. Ale czyż to mogło wystarczyć aby go ominęła ręka hrabianki, aby on, Karol Porajski rekuzę dostał? Krew uderzyła do twarzy ukraińskiego magnata, jakto, on— on miałby zostać odrzucony? nie! to niepodobna, bo wszystko na tém samém miejscu co zawsze, bo ludzie zawsze ludźmi, on ich zna tak samo jak dawniéj i jak dawniéj potrafi kierować nimi. Nie, to był wybieg Toli, chęć popchnięcia go do jakiego stanowczego kroku, przeciągnięcia go do siebie, bo dawno go odpychała na pozór, ona jego kochała, jego jednego...

Tak, to było niepodobieństwem aby jemu się coś niepowiodło. Jedno nieudało się tylko. Bogdan nie zawrócił sobie głowy Tolą, z początku postawił się jako przyjaciel, a gdy piękna pani chciała zostać czém inném, tak widocznie jéj pierwsze kroki odrzucał, że niemożna było wyszukać pozoru nawet sprzeniewierzenia się Wandzie.

Ale ona, ona, ta śliczna Tola, ona się wprost kompromitowała dla Bogdana, a teraz mówiąc o jego zaręczynach, była tak silnie wzruszona, może tego była taka chora, znerwowana, czyżby ona tamtego kochała? Porajski się zerwał jakby ukąszony przez żmiję. Uczuł tak silne wrażenie jakiego pewno nigdy Wanda mu sprawić nie mogła. Jakto, owa śliczna, powabna w najwyższym stopniu kobiéta, mogłaby obojętnie go minąć, innego szukając? przy nim chłodna, szyderska, ożywić się dla Bogdana? czyż te śliczne oczy szare miały patrzéć słodko, namiętnie rękę wyciągać, usteczka szeptać słowa gorące, a to wszystko nie dla niego—nie! raczéj wszystko,

on jéj nie mógł ustąpić nikomu. A jednak, cóż robić było? miał ręce związane, trzeba było kończyć z Wandą, a tém rozwiązywały się ręce Bogdana, który odepchnięty, mógł przez zawód się zwrócić do Toli. Cóż robić? jak się obrócić, żeby nie dać wyrwać sobie ani pewnéj, silnéj podstawy życia, którą widział w małżeństwie z Wandą, ani téż tego co pobudzało napowrót jego stępione nerwy, które już dawno tak poruszone nie były. Och, ten człowiek! ten człowiek co mu stanął na drodze! co nie chciał odegrać roli przeznaczonéj sobie! z jakąż przyjemnością byłby go własnemi rękami udusił, jaką czuł zazdrość szaloną względem niego. Chciałby mu wydrzéć wszystkie słowa, spojrzenia, uśmiechy Toli Sawińskiéj, chciałby go usunąć na zawsze z drogi hrabianki Wandy i zmiażdżyć za to, że mu przeszkadzał...

Bo i czemuż Bogdan nie ukazał się późniéj, po jego ślubie z hrabianką, gdy mając już ręce wolne mógł cały czas poświęcić na zyskanie Toli Sawińskiéj? Niechby wtedy synowiec gruchał sobie z młodą stryjenką, niechby przechadzali się razem po ogrodzie kwiecistym platonicznéj miłości wśród westchnień, łez, uśmiechów i pamiątek, onby im przecie nie przeszkadzał wtedy... A teraz ten człowiek mu bruździł przy jednéj i drugiéj, w dziedzinie prozy i w kraju poezyi, zyskiwał serce pięknéj Toli, dobijał się o rękę bladéj hrabianki...

A może to i prawdą było, że został przyjęty? że plany Karola się niepowiodły, może trzeba było uznać przegraną. I tak się męczył do rana przeżyty sybaryta, już dobrze dniało gdy zasnął wreszcie. Zbudził się późno, zmęczony, rozdrażniony, z silnym bólem głowy. Niesmak czuł dzienny, nie mógł jeść śniadania, miejsca znaleść sobie albo téż zająć się czemkolwiek, przemęczył się do obiadu i zaraz kazał zaprzęgać wybierając się do Drewini. Nie wierzył Toli, był jednak niespokojnym bardzo i zamyślił, dziś, zaraz, ostatecznie się oświadczyć, nie chcąc być narażonym na podobne wrażenia.

Ale w miarę jak się zbliżał do Drewini, wzmagał się jego niepokój, gdy stanął przed gankiem pałacu, jakiś dreszcz niemiły go przebiegł. Lokaj na jego przyjęcie poskoczył otwierając drzwiczki powozu. Porajski o mało co go nie zapytał czy nic nie słychać nowego...

W przedpokoju spotkał Ellę, która mu się ukłoniła niżéj niż zwykle, nie ukrywając uśmiechu jakby drwiącego. Porajski drgnął silnie i blady rumieniec mu na twarz wystąpił. Mis Ella nie mówiąc i słowa posunęła się daléj, machinalnie szedł za nią przez szereg pokoi aż na taras ogrodowy i tam stanął jak skamieniały...

Hrabia czytał gazetę przy stole, a nieco opodal, rozmawiając żywo, pochyleni ku sobie, z wyrazem szczęścia na twarzy, siedzieli Bogdan i Wanda...

Hrabia poruszył się żywo i posunął do gościa; jego blada angielska twarz wykrzywiała się wyrazem złośliwego tryumfu, cienkie zwiędłe wargi uśmiechnięte były szyderczo.

— A cóż za miły i pożądany gość! — zawołał żywo.

Porajski nie mógł głosu z gardła wydobyć.

— Może przeszkadzam — syknął przez zaciśnięte zęby—a oczy jego z bezsilnéj wściekłości wyrazem wpiły się w młodą parę.

— Ale cóż znowu! przeciwnie, brakowało nam pana do uroczystości familijnéj... przywiązany stryjaszek raczy pobłogosławić młodą parę... wczoraj synowiec pana otrzymał słowo nasze i Wandzi... szczerze się cieszę że nasze rodziny będą skoligacone z sobą...

Porajski nie był w stanie słowa wymówić. Bogdan się zbliżył podając mu rękę, on jak automat nie odpowiedział, siadając bezmyślnie na podanem krześle i wprost naprzeciw siebie zobaczył złośliwy uśmiech mis Elli. Wstrząsnął się cały i w jednéj chwili stał się panem siebie, zwracając do młodéj pary z powinszowaniem stosownéın. Ale o mało znowu nie stracił panowania nad sobą, gdy na wąskiéj bladéj twarzy hrabiego zobaczył wyraz złośliwego tryumfu i szyderstwa.

— Rzeczywiście — rzekł Sulimowski cedząc wyrazy — można winszować, bo to małżeństwo raz na zawsze tamę położy różnym wyrachowaniom... Zapewne że byłoby wygodnie dostać najlepszą partyą w okolicy i opierając się na moim wpływie, stanąć wysoko, ale widzi pan nie wszystko udać się może, dzięki Bogu ja mam dobre oczy i niedam się użyć nikomu za narzędzie, tém mniéj za podnóżek... Wiem że zaręczyny mojéj córki niepodobają się bardzo tym co mieli zamiar moje wpływy i położenie zużytkować dla siebie... ale—przyznam się panu—że to był właśnie jeden z powodów, które skłoniły mię do przyjęcia pańskiego synowca...

Porajskiego paznogcie wpiły się w ręce, hrabia wyraźnie do niego mówił i napawał się tryumfem, tym tryumfem ludzi miernych nad rozumniejszymi od siebie, na których chcą odwetować tysiące drobnych upokorzeń i przykrości, tych maleńkich dłużków, które z taką rozkoszą oddają przy sposobności. Porajski do krwi usta zagryzł, potrzeba było wybrnąć koniecznie z tego położenia, postawić się na stronie, tak, aby te pociski nie mogły go dotknąć... On nie chciał przyjąć roli odrzuconego konkurenta, trzeba było szybko woltę urządzić, przypomniał sobie słowa Toli i stanąć nie jako odrzucony ale odrzucający...

Jak błyskawica szybko myśl mu przebiegła przez głowę, — zawahał się, bo ofiara wielką była a tém samém walka, ale to trwało niedługo, bo innego wyjścia z honorem nie było i głosem spokojnym, pewnym, stanowczym rzekł, nie spuszczając oczu z hrabiego:

— Cieszę się niezmiernie z pańskiego postanowienia, témbardziéj że i ja w ślady mego synowca wstępuję... Właśnie przyjechałem oznajmić o tém panu hrabiemu, a przyznaję, niewiedziałem jak się wziąć do tego... dziękuję jak najszczerzéj za ułatwienie mi tego kroku...

Sulimowski zzieleniał.

— Panie łaskawy—rzekł z wysoka—a z jakiejże daty ten zaszczyt miał mnie spotkać? przecież opiekunem pana nie jestem, sądzę, że pan już dawno doszedł do pełnoletności...

— Ja téż właściwie nie o radę chciałem prosić pana hrabiego, ale niemniéj trudno mi było oznajmić moje postanowienie... przyzwoitość wymagała aby pan hrabia pierwszy o niem wiedział.... z powodu...

— Ależ ja żadnych praw sobie nie roszczę do tego! — przerwał szybko hrabia — żadnych, żadnych...

— Tém lepiéj że wspólnie jesteśmy zadowoleni...

Blade oczy hrabiego niespokojnie błyskały, usta się zaciskały niechętnie. Tryumf mu się z ręki wymykał.

— Czy można wiedziéć nazwisko wybranéj pana? — zapytał cierpko.

— Dlaczegóżby nie. Jestto odnowienie dawnego uczucia, znałem ją dzieckiem prawie, dziś przypomnieliśmy sobie dawne czasy...

— O kim pan mówi? — zapytał niespokojnie hrabia — przecież nie o... i urwał.

— Moją wybraną jest pani Tola Sawińska.

Sulimowski podskoczył.

— To być nie może! — zawołał.

Porajski spojrzał przez ramię.

— Dla czego? — spytał wyniośle.

— Bo... bo... ona pana nie kocha...

Dwie plamy czerwone wystąpiły na twarz Porajskiego.

— Pozwoli pan hrabia mnie o tém sądzić...

Sulimowski przypomniał sobie scenę wczorajszą, zawahał się przez chwilę. Ale nie, Tola nie grała komedyi, on byłby się przecież poznał na tém, to Porajski znalazł wykręt bezczelny. Zaświeciły mu oczy złośliwością i rzekł z szyderczym uśmiechem.

— O uczuciach pani Toli wiem od niéj saméj...

Porajski do krwi usta zagryzł.

— Może pan się ze mną podzieli tą wiadomością — rzekł.

Sulimowski z góry spojrzał.

— Ufności kobiéty się nie zdradza—rzekł zimno.

— O! jeśli coś na wiatr było powiedziane... Zresztą fakta mają wymowę, do któréj słowa nie dojdą nigdy...

— Jakto! czyż to już do faktów zaliczyć można?

Porajski powstał sztywno.

— Daruje pan hrabia—rzekł— ale usłyszawszy przed chwilą że pan hrabia moim opiekunem nie jest i do mego zaufania żadnych pretensyi nie rości, nie mam odwagi nudzić go swemi sprawami...

I zaczął się żegnać ceremonialnie, ale wtém Bogdan usłyszawszy o co idzie, zaczął mu tak żywo winszować wyboru, przypominając rozmowę, w któréj o tych zamiarach mowa była, że hrabia na seryo uwierzył i wpadł w wściekłość niemal, na myśl, że Porajski tak długo grał grę podwójną i oszukiwał go udając zamiary, których w rzeczywistości nie miał. To téż pożegnanie cierpkie i wymuszone z obu stron było, za chwilę Porajski już siedział w powozie.

— Do Milewa! jedź jak najprędzéj!—krzyknął na stangreta.

Konie jak wiatr pomknęły, a Porajskiemu zdawało się, że one ledwo idą. — Prędzéj! prędzéj — wołał co chwila — a stangret ruszał ramionami, mrócząc: ki bies go opętał do licha!

Pędzić kazał jakby bez Toli żyć nie mógł, a jednak w téj chwili nienawidził jéj, nienawidził za to, że uledz jéj musiał, że ona za chwilę dopiąć celu miała, że on jechał ofiarować jéj rękę i majątek, to właśnie do czego ona dążyła, po co przyjechała w te strony. I znikł mu z oczu czar pięknéj pani, znikło uczucie co go ożywiało przy niéj, znikły z pamięci chwile, w których był tak bardzo o nią zazdrosny. I czegóż ta zazdrość trwać miała? ona teraz będzie jego własnością i już nigdy go nie narazi na tego rodzaju uczucie, nikt do niéj się już nie przysunie, nikt nie dostanie ani jednego z tych powłóczystych spojrzeń, czarownych uśmiechów, słówek jedwabnych, którerni piękna pani tak wabić umiała, to wszystko już jego, tylko jego własnością będzie, on się postara aby do zazdrości powodu nie mieć... Ale natomiast na myśli stało mu ciągle, że w tém małżeństwie daje wszystko, majątek, imię, położenie, stosunki—Tola nic, prócz dworu wielbicieli, których naturalnie przepędzić miał zamiar stanowczo.

— Robię wielkie, szalone głupstwo—rzekł sam do siebie zgrzytając zębami — ale mam nóż na gardle...

Takiémi uczuciami ożywiony jechał oświadczać się Toli Sawińskiéj, a gdy zabielał dwór Milewski, siłą przywołał uśmiech na usta,

które mimo jego woli wykrzywiały się brzydkim nerwowym grymasem, i z tym wymuszonym uśmiechem wysiadł, gospodarza witając.

Wszedł do saloniku, gdzie przyjęła go pani Emilia, zawsze jednakowa, z tą samą zagadkową twarzą, z któréj nic wyczytać nie można było. Rozmowa się poczęła leniwie, zamieniwszy kilka frazesów obojętnych, Porajski powstał.

— Potrzebuję się widzieć z panią Sawińską— rzekł— muszę się z nią zaraz rozmówić...

Niedostrzegalny uśmiech przewinął się po ustach pani Emilii.

— Żałuję że to jest niemożebnem — odparł obojętnie.

— Ale ja mam jéj ważną bardzo rzecz do powiedzenia! potrzebuję ją widzieć, natychmiast— nawet gdyby chorą była — musi mnie przyjąć!

— Tola jest zdrową zupełnie i gdyby to było podobném, zarazbym pana do niéj zaprowadziła, ale jéj niema, wyjechała dziś rano.

Porajski się zatrząsł gwałtownie.

— Co! — zawołał — wyjechała! gdzie! jak! kiedy!

— Dziś rano.

— Po co?

— Interesa tego wymagały.

— I gdzie?

— Tego nie umiem napewno panu powiedzieć...

— Jakto! cóż to znowu ma znaczyć! pani nie wié?

— Niewiem. Jéj prawnik wezwał ją do Żytomierza a ztamtąd niewiadomo dokąd pojedzie.

— Po cóż do Żytomierza? gdzież ztamtąd miała jechać?

— Albo do Kijowa albo może aż do Odessy.

— Ależ teraz nie kontrakty i żadnych interesów niema!

— Jednak dla niéj wypadł.

Porajski przeszedł kilka razy przez salon.

— Ale ja muszę ją widzieć— zawołał— albo przynajmniéj napisać do niéj, i to jaknajprędzéj, koniecznie! proszę o adres...

— Niemam go.

Porajski wpatrzył się w nią, jakby powątpiewał o dobrym stanie jéj zmysłów.

— Daruje pani— rzekł zimno— ale ja muszę, muszę mieć adres pani Toli, to mi koniecznie potrzebne, — cóż pani za rodzaj gry wybrała zemną?

— Ależ ja mówię na seryo że niemam adresu Toli. Nie wiem gdzie stanie—w Żytomierzu, dokąd pojedzie ztamtąd i jak długo zabawi, bo to zależy od jéj widzenia się z adwokatem. Ona sama nie wie po co ją wezwano.

— Proszę o adres jéj adwokata.

— Niewiem nawet jego nazwiska.

Porajski się zaczerwienił gwałtownie.

— Pani daruje—rzekł tłumiąc gniew co go dusił— ale nie mogę wierzyć temu co słyszę. Pani Tola rozgniewała się na mnie, biorąc na seryo, co próbą było jedynie — wyjechała, zalecając pani milczenie. Rozumiem, ale zaręczam słowem honoru, że pani Tola będzie serdecznie wdzięczną, jeśli pani przekroczy jéj instrukcye. Ja biorę na siebie przebłaganie jéj, ja muszę ją widziéć albo napisać do niéj.

Pani Emilia wytrzymała spokojnie jego spojrzenie i odparła z uśmiechem:

— Nierozumiem co pan chce przez to wyrazić. Tola ani myślała się gniewać, przeciwnie ma pan w niéj szczerą przyjaciółkę. Nie nakazała mi bynajmniéj milczenia, nie przyszło jéj na myśl nawet, że ktoś może jéj szukać, więc téż nie myślała o ukrywaniu się...

Porajski gniewnie tarł czoło; milczał przez chwilę.

— Przyślę pani list — rzekł wreszcie— niech pani go odda.

Pani Emilia wzruszyła ramionami.

— Ależ powtarzam raz jeszcze, że niemam adresu Toli—rzekła tym samym zawsze głosem. — Mogłabym go oddać za tydzień lub dziesięć dni gdy Tola wróci, a wtedy pisać niewarto. . .

— A! więc wraca!

— Za tydzień może, dziesięć dni najdaléj. . .

— A zatém, nie pozostaje mi jak panią pożegnać, przyślę tu za parę dni dowiedzieć się czy pani nieotrzymała listu z adresem, bo mi bardzo na pośpiechu zależy. Jeżeli pani Tola oznajmi dzień swego powrotu, pani będzie łaskawą bezzwłocznie mię zawiadomić. . .

— Nie omieszkam zadość uczynić żądaniu pana. — Pan ucieka?

— Spieszę się bardzo.

Pani Emilia skłoniła głowę nie zatrzymując gościa, który wyjechał błogosławiąc jednakowo kobiéty wszystkie, Sulimowskiego i Bogdana.

Ani na chwilę nie wierzył słowom pani Emilii i do ostateczności drażniła go myśl, że może Tola zechce teraz odegrać komedyą drożenia się z sobą. Przytém, myśląc że ona znowu jest otoczoną wielbicielami, uczuwał zazdrość gniewną; teraz już przynajmniéj nikt niema do niéj prawa żadnego, on dość wysoką ceną opłaca jéj własność wyłączną. . Pilno mu było złotego motyla zatknąć na szpilkę, żeby nie fruwał z kwiatka na kwiatek, a tu motyl odleciał daleko że i widać nie było co robi, czy czasem nie nadużywa wolności. . . .

Przytém położenie jego nie było miłem. Bądź co bądź oznajmił swój zamiar, a zatém czas go było w dziedzinę faktów wprowadzić. Niemiał zupełnie ochoty spotkania kogokolwiek teraz, gdy zaręczyny Bogdana stały się wiadome, nie mając na obronę nowiny drugiéj swoich zaręczyn. Tym sposobem jedynie mógł odeprzéć zarzut, że jego to odrzucono, ale do tego Toli mu było potrzeba, Toli koniecznie, a tu ona się ulatniała zostawiając za sobą Cerbera co na pytania odpowiadać nie chciał i pewno drwił sobie w duchu z jego niemiłego zawodu. Ale ten dług zaciągnięty będzie oddany z procentem, zapłaci pani Emilia za swoję niewczesną dyskrecyą, zapłaci Tola za wszystkie niespokojne chwile, które on z jéj powodu przechodzi...

Tegoż samego wieczora pani Emilia napisała długi list do Kijowa adresowany, który nazajutrz bardzo rano kazała odwieść na pocztę.

XIV.

Za kilka dni posłaniec z Milewa przywiózł do Zator bilecik, z oznajmieniem dnia powrotu pani Sawińskiéj. Porajski przyjął tę wiadomość z westchnieniem ulgi. Przez te kilka dni nie ruszał się z domu i nie przyjmował nikogo, kazawszy lokajowi oznajmiać, że wyjechał. Gniew jego doszedł do paroksyzmu: jadąc się oświadczać, myślał jakichby słów użyć najbardziéj dotkliwych, jakby najlepiéj zadrasnąć miłość własną kobiéty, którą wkrótce żoną chciał nazwać...

Zajeżdżając przed ganek, zobaczył wyprzężony powóz, z którego służba ostatnie kufry wnosiła. — Więc przyjechała — szepnął — i złośliwość niechętna błysnęła mu w oczach czarnych, a niesmak odmalował się na twarzy jak przed wypiciem lekarstwa.

— Mam nóż na gardle—rzekł cicho— wchodząc do pierwszego pokoju, gdzie zastał panią Emilię.

— Tola przed godziną wróciła—rzekła do niego.

— Więc mogę iść do niéj?

Pani Emilia ręką na drzwi wskazała. Porajski przeszedł salon, w którym nie było nikogo i wszedł do małego pokoiku, na progu którego przystanął. Zniknął niesmak z jego twarzy i mimowoli uśmiechnął się do ślicznego obrazku, który się oczom jego przedstawił.

Tola zdjęła suknie podróżne i włożyła wytworny penioar batystowy, okryty haftami i puszystemi koronkami. Włosy ledwo że przygładzone z drogi, podtrzymane perłowemi szpilkami osuwały się

jéj na czoło i w ciężkich warkoczach opadały na ramiona przysłonięte batystem, na szyi odkrytéj sznurek pereł okręcał się kilkakrotnie. Przed nią stał zastawiony stolik, srebrna maszynka do kawy, owoce, ciasta i zimne mięsiwa na talerzykach a pośrodku ogromny bukiet kwiatów, do których pochylała się czasami. Gniew Porajskiego stopniał pod czarownym wdziękiem Toli i już w zupełnie inném usposobieniu zbliżył się do niéj.

Piękna pani wyciągnęła rękę do niego nie poruszając się z miejsca—on tę rękę do ust poniósł i zatrzymując w swojéj zajął miejsce na kanapie przy Toli, bardzo blizko, usuwając ręką zwoje batystu, które mu zawadzały. Ale Tola spojrzała na niego tak szeroko otwartemi oczami, takie zdziwienie odmalowało się na pięknéj twarzy, że napowrót gniew go ogarnął. Gniew ten podwoił się, gdy piękna pani nie mówiąc i słowa uwolniła rękę z uścisku i powstając zwolna, zajęła miejsce na fotelu obok.

Porajski się zaczerwienił gwałtownie na ten ruch, którego nie przewidywał, zbił go on z toru zupełnie.

— Czemu pani miejsce zmienia? zawołał z gniewną urazą.

Tola najspokojniéj piła kawę, przerwała to ważne zajęcie, popatrzyła chwilkę na towarzysza i rzekła zimno.

— Bo przedewszystkiém cenię swobodę. Na kanapie było za mało miejsca na nas dwoje, więc usunęłam się, aby mi było wygodniéj.

— Ale jeżeli ja zająłam to miejsce właśnie dlatego ażeby blizko być pani?

— I czegóż to dowodzi?

— Tego że ja niechcę aby je pani zmieniała!

— A zatém, w tym razie jak w wielu innych, chęć pana z moją wolą się nie zgadza.

— A jednak.... prędzéj czy późniéj, pani moją wolę uznać musi...

— Ja ją uznaję najzupełniéj, ale nie domyślam się co ona za związek może mieć ze mną. Zdaje się że świat dość obszerny abyśmy wspólnie na nim nie zawadzali sobie, a nasze drogi tak daleko jedna od drugiéj.

Porajski zgrzytnął zębami.

— Nie tak bardzo—odparł—ja myślę że one wkrótce się złączą w jedną.

I spojrzał na Tolę przenikliwie czekając wrażenia słów wyrzeczonych, ale na jéj twarzy nie drgnął muskuł żaden, spuszczone oczy nie podniosły się.

— Mówi pan zagadkami, których nie umiem rozwiązywać, odparła obojętnie.

— Prawda—rzekł z gorżką ironią Porajski, pani mi powiedziała wyraźnie, że nieuwierzy mi nigdy, aż dopóki się nie zdam na łaskę i niełaskę, ze związanemi rękami...

— Ja to mówiłam? w jakiéj okoliczności?

Porajski szarpał dewizkę od zegarka, piorunując oczami tę kobiétę co śmiała mu się opierać, i nadużywała korzyści położenia swego.

— Pragnąłbym bardzo aby pani przypomniała sobie te słowa. Mówiliśmy wtedy o pani—i usłyszałem, że czyny pani nie zależą od uczuć... czy pani zawsze tak sama nad sobą panować potrafi?

— Nie widzę żadnéj potrzeby, moje uczucia zgadzają się z przekonaniami.

Porajski uśmiechnął się z zadowoleniem, przysunął i znowu ujął rękę Toli.

— Nareszcie jesteś pani rozsądną, rzekł – przyznajesz pani swoje uczucia nareszcie.

Tola wyrwała rękę.

— A cóż to pana może obchodzić? spytała gwałtownie—wczém moje myśli, uczucia, przekonania, pana dotyczéć się mają?

Porajski cofnął się żywo.

— Zawsze to same niedowierzanie! gniewnie zawołał. Ale ostrożnie, pani—ono zrazić może nakoniec. Ja mówię na seryo zupełnie a pani mię odpycha jakiemś udaném niezrozumieniem rzeczy.

— Sądzę po wszystkiém co słyszę, że pan chyba bierze mnie za kogo innego. Ten gniew, te wymówki, do mnie się żadnym sposobem przecież stosować nie mogą. Nawet zażyłéj znajomości między nami niema—ja ztąd za parę tygodni wyjadę i może już nie spotkamy się w życiu, jak nie spotykaliśmy się przez lat tyle... cóż więc wspólnego między nami być może?

Porajski się rzucił jak biczem podcięty.

— Więc ja niczém zupełnie jestem dla pani? zapytał.

Tola zwróciła się do niego z powagą surową.

— Pan jesteś dla mnie tém czém sam się stałeś, odparła—dajmy już raz temu pokój—po co się drażnić wzajemnie...

Płomień tryumfu strzelił na twarz Porajskiego.

— A jeśli właśnie ja chcę mówić o tém, rozbudzić przeszłość—zawołał.

— To nie w ludzkiéj mocy. Co raz minęło, nie wraca.

— Ależ zechciéj mię pani zrozumiéć. Jeśli sam zaczynam, to dowód że mam do tego poważne powody—pomóż mi pani trochę, niech ja usłyszę raz jeszcze że odpowiedź pani zależy odemnie...

— Ja nie mogę tego panu powtórzyć.

— Czemu?!

— Bo okoliczności się zmieniły i dziś już ta odpowiedź nie zależy od nikogo. Bo sposobność raz podaną stracić łatwo i nie przedstawia się ona raz drugi...

W oczach dumnego magnata nienawiść błysnęła.

— Tak? szepnął przez zęby zacięte—tak? więc cóż mi pani radzisz zrobić?

— Poszukać innéj zabawki gdy ta nie udała się panu.

— A jeśli to nie zabawka, jeśli to zamiar poważny, stanowczy cóż pani powie na niego?

— Że dojrzał zapóźno...

Dewizka Porajskiego rozprysła się pod jego palcami, tak że kawałek jéj upadł na ziemię.

— Czy pani zna—zapytał głosem stłumionym, przysłowie: *Za cienka nitka się rwie.*

Słyszałam go razy parę.

— Otóż... nie trzeba nitki wyciągać zanadto... Ja pani nie poznaję – mam ochotę uciec, aż dopóki nie stanie się pani taką jak dawniéj, pożegnam panią...

W głosie jego drżała groźba gniewna, ale znać niedosłyszała jéj Tola, bo rzekła zimno bardzo.

— W istocie, sądzę żeby to było najlepiéj... pan jest w usposobieniu tak dziwném, tak anormalném, że ja pana zrozumiéć nie mogę.

Porajski się zerwał i przebiegł kilka razy pokój. Trupia bladość gniewu twarz mu powlokła gdy skłaniając się przed Tolą, rzekł.

— Mam honor prosić panią o rękę—zapewne nic pani nie ma przeciwko temu, aby ślub odbył się jaknajprędzéj...

Nawet te słowa magiczne nie zdołały poruszyć Toli, zbladła tylko i odetchnęła silniéj trochę. Porajski wziął ją za rękę i wsunął na palec pierścionek bogaty.

Ale ta ręka drobna zimno uwolniła się z dłoni jego, zsuwając włożony pierścionek.

— Pan daruje—rzekła Tola lodowato, to być nie może...

Porajski skamieniał. Pókiż ta komedya trwać miała?

— Ależ czyż mię pani nie rozumie! zawołał – ja proszę o rękę pani!

— A ja panu jéj oddać nie mogę...

— Co to jest? co to znaczy?

— Panie Porajski! to zdziwienie niezupełnie jest na swojém miejscu—pan daruje, że przerwę rozmowę.

I poruszyła się chcąc powstać, ale w tejże chwili zabrzęczał stolik odsunięty gwałtownie i obie jéj ręce schwycone w uścisk namiętny zmusiły ją do pozostania na miejscu.

— Co to jest! powtórzył Porajski —dla czego!

— Puść mnie pan! zawołała usiłując ręce uwolnić.

— Dlaczego, pytam! powtarzał Porajski cisnąć je mocniéj coraz.

— Bo pana nie kocham.

— To nieprawda! pani mnie pokochała przed laty, dla mnie najpierwszy raz zabiło serce pani, i mnie jednego może kochała pani w życiu naprawdę! po skończeniu żałoby po mężu pani dla mnie jedynie tu przyjechała!

Toli krew uderzyła do głowy.

— Za wiele zarozumiałości—rzekła z ironią palącą, zresztą, mniejsza o to, ale puść mnie pan!

— Pani igrasz ze mną jak kot z myszą, strzeż się pani...

— Dajmy już raz temu pokój!

— Pani—szepnął Porajski głosem drżącym z gniewu, dosyć téj próby—ja mówię zupełnie na seryo.

Tola wyrwała nareszcie ręce z uścisku i spojrzała na Porajskiego przeciągle. Szare jéj oczy błyszczały chłodnym stali połyskiem, patrzyły zimno, obojętnie, wyzywająco. Twarz była bardzo bladą, gdy wolno, zaledwo poruszając zbladłemi ustami, rzekła.

— Pan się myli. Ja także na seryo mówię—to nie jest żadna próba, która zresztą nie miałaby celu...

— Pani się chcesz zemścić na mnie, odpłacić mi za chwile niepokoju przebyte, zadraśniętą miłość własną i męczysz mnie pani więcéj niż się pani zdaje. Ale trwało to dosyć długo, radzę pani koniec temu położyć...

Wyraz nieubłaganéj złośliwości mignął w zimnych oczach Toli.

— Widzę że mi trudno przekonać pana—rzekła tym samym głosem powabnym, wyraźnym, dobitnym—potrzeba dowodów. Dobrze więc—otóż, nie mogę ręki pana przyjąć żadnym sposobem, gdyż od kilku dni jéstem narzeczoną hrabiego Grimaldi...

Fala krwi uderzyła Porajskiemu do twarzy, zerwał się jak oparzony...

— To niepodobna! zawołał—pani jego narzeczoną! tego bankiera! to być nie może—to żart!

Tola wyciągnęła rękę na któréj się mienił brylant wielkości szablastego grochu ujęty w czarną emalią.

— Noszę już jego pierścionek—rzekła.

Porajski był ogłuszony.

— Nie, nie, to być nie może, powtarzał—pani, jego narzeczoną!...

— I cóż w tém dziwnego? alboż to nie partya nie tylko stosowna ale świetna? Ma lat niespełna czterdzieści, majątek olbrzymi, wykształcenie wszechstronne, tytuł — dla czegóż nie miałam go przyjąć?

— Ależ pani wiesz dobrze że jeśli w towarzystwie go tolerują, nie ma tam jednak prawa obywatelstwa, że tytuł jego jest blagą!

Tola zmarszczyła brwi czarne.

— Nie słyszałam aby mu go kto zaprzeczał—odparła zimno.

— On niema stosunków!

— Moje wystarczą.

— Ależ niech pani porówna położenie pani Grimaldi i mojéj żony, pomijam uczucia, przypuszczam, że obaj jednakowo obojętni dla pani jesteśmy—nawet wtedy, z rozsądku mnie pani wybrać powinna!

Tola odsunęła się lekko i wpatrzyła w Porajskiego.

— Rozważywszy rzecz należycie, nie mogę tego zdania podzielić—odparła obojętnie. Jego majątek jest przynajmniéj pięć razy większy od pańskiego, zapewne, niedawno osiadł w Odesie, nie miał czasu się zaaklimatyzować, bywa wszędzie jednak.

— To co pani z nim będziesz zdobywać dopiero, ze mną się pani ściele pod nogi. Na mojém ramieniu wsparta pani wszędzie jedną z pierwszych będzie, drzwi każdego bez wyjątku salonu, otworzą się przed panią na rościesz...

— Gdy otworzę swój salon, zejdą się do mnie wszyscy, których mieć zechcę, bo znajdą u mnie świetne przyjęcie, doskonałego kucharza, wyborną piwnicę, przyjemne towarzystwo i gospodynię umiejącą gości zabawić. Wprawdzie trzy czwarte przyjdą tylko po to aby mnie obmówić—ale pytam co mi to szkodzi?

— Pani sama czujesz dobrze że z nim byłaby to współka w któréj pani daje tyle, ile dostaje sama podczas gdy ja—ja daję pani wszystko, nie potrzebując nic w zamian.

— Właśnie ta okoliczność przeważa szalę na jego stronę. Za niego idąc, zyskuję wspólnika, który potrzebując mnie, zawsze dobrze zachowa się ze mną. Potrzebuje on żony, która potrafi być panią salonu, wyrobić temu salonowi pewną indywidualność, ugrupować w koło siebie koteryę, jedném słowem zrobić go potęgą towarzyską, z którą każdy się musi rachować. Potrzebuje on żony któraby uwydatniła jego majątek, umiała sobą inne kobiéty zaćmiewać— za to, daje bogate artystyczne otoczenie, bo to nie dorobkowicz, episier, który siedząc na workach rubli będzie daléj po mieszczuńsku

interesa robił, ale człowiek bardzo ambitny, dla którego pieniądze nigdy nie są celem lecz środkiem tylko. Idąc za pana, stałabym się niewolnicą, poddanką, zyskałabym kapryśnego tyrana, któryby chciał zapanować nietylko nad czynem, słowem każdém, ale nad myślą moją. Moja to natura, chęci, pragnienia, ciągle byłyby przez pana systematycznie łamane, jabym zwiędła, zestarzała się, zgorzkniała, po roku pożycia z panem... A teraz, kiedy już nic sobie do powiedzenia niemamy, pozwól mi pan się oddalić...

I powstała—ale w tejże chwili on zastąpił jéj drogę, blady, posępny, z groźbą w oczach błyszczących ponuro.

— Być to wszystko może—rzekł z szyderstwem piekielném, ale idąc za mnie, pani idziesz za uczuciem—idąc za niego, sprzedajesz się pani... Cena wysoka, ale zawsze to kupno i sprzedaż...

Rumieniec palący upokorzenia zalał twarz Toli Sawińskiéj, spuściła głowę, ale po chwili podniosła ją, mówiąc ze smutną goryczą...

— I cóż my winne? Odebrano nam wiarę we wszystko, kazano z wszystkiego żartować, ukazano użycie jako cel ostateczny, czyż można potém wyrzucać, że my życie za żart bierzemy lub, za farsę smutną, stosownie do usposobienia, że życiem motylem z dnia na dzień żyjemy, że w chwili stanowczéj, ważniejszéj, wyciągamy ręce do tego co za jedynie warte cośkolwiek nam przedstawiano przez życie całe? i jakże być może inaczéj? My niedołężne a używać chcemy; leniwe do życia się rwące, do życia sztucznego, w którém nic prawdziwego znaleźć nie można, my bezsilne a znerwowane, godne towarzyszki was wszystkich co dziś z pola schodzicie—jakieście nas wychowali, tak nas macie...

Skończyła i dwie łzy grube spłynęły po twarzy zbladłéj bardzo. Porajski nie ustępował jéj z drogi, jego usta coraz mocniéj się zaciskały, oczy coraz fosforyczniéj błyszczały.

— Pani zapominasz o jednéj rzeczy, która ma jednak ważność pewną—rzekł głosem stłumionym, że ja panią kocham, i że pani nie oddam innemu...

Tola smutno głową wstrząsnęła.

— Nie—odparła, pan mnie nie kochasz. Zobaczyłam tutaj na balu jakie są pana zamiary. Jestem dla pana pokrywką, aby się módz do porażki nie przyznać. Gdyby hrabianka Wanda nie została narzeczoną innego, nie byłabym usłyszała tych oświadczyn, które panu usta paliły, które tak trudno było panu wykrztusić. Nie dziw się pan, że ja takich oświadczyn przyjąć nie chcę...

Porajski bliżéj przystąpił.

— Wszystko to być może—rzekł gwałtownie, ja nie zaprzeczam niczemu, a jednak ja panią kocham. Nie udawaj pani niewiary, pani wiesz dobrze że prawdę mówię, że kocham—że kochałbym równie, więcéj może, będąc mężem tamtéj, że tamto było wyrachowaniem dla ustalenia pozycyi, a uczucie dla pani jedyną rzeczą żywotną, która we mnie porusza nerw każdy, fibrę każdą!

Z oczu Toli strzeliła nienawiść.

— I jakaż to miłość—zawołała z oburzeniem, jakaż to miłość...

— Taka na jaką stać mnie i panią—rzekł głosem syczącym, na jaką pani zasługujesz, a jaką ja uczuć mogę...

Tola jak trup zbladła i zachwiała się jakby pod uderzeniem. Nie mówiąc i słowa zwróciła się do drzwi, ale Porajski poskoczył za nią i znowu schwycił jéj ręce obie.

— Pani! Tolo! zawołał—ja cię kocham namiętnie! rozumiesz! ja niepozwolę żeby kto inny był mężem twoim, bo ja nie zniosę myśli żebyś ty się do innego uśmiechała twemi purpurowemi ustami, na innego patrzała miłośnie twojemi oczami, innemu zarzucała na szyję twoje ręce śliczne—to moje! słyszysz! to wszystko moje i tylko moje!

— Puść mnie pan—zawołała z gniewem namiętnym co łzy jéj do oczu napędził—puść mnie, bo każde słowo pana jest mi wstrętném! Porajski zamiast odpowiedzi chciał ją przyciągnąć do siebie, ona w tył się gwałtownie rzuciła.

— Jedna sekunda dłużéj, a wezmę to za obelgę—rzekła głosem ostrym lodowatym, przez gniew stłumionym.

Porajskiemu ręce opadły, o krok się cofnął i stanął przed Tolą rozczerwieniony drżący z tłumionéj wściekłości, z fosforycznie błyszczącemi oczami.

— Ja nie pozwolę na powtórzenie dawnéj historyi—rzekł szeptem prawie, bo głos mu w gardle zamierał, ostrzegam że nie pozwolę...

Tola zacisnęła ręce i odparła głosem stanowczym, jak lód zimnym.

— A jednak słowo w słowo powtórzy się ona. Przed dwunastu laty w piękny księżycowy wieczór powiedziałeś pan szesnastoletniéj dziewczynie, dziecku, którego serce starałeś się zdobyć od dawna, że ją kochasz namiętnie, ale że to wcale nie powód aby zaraz o małżeństwie myśléć. Dziewczynie krwią serce zabiegło, bo kochała—ale ją wychowali rozsądnie, gdy zobaczyła że na pana liczyć nie można, nazajutrz była narzeczoną innego. Nauka pana w las nie poszła dziewczyna nauczyła się życia...

— Otóż dzisiaj się to nie powtórzy—nie przyprowadzaj mnie pani do ostateczności...

— I owszem—powtórzy się. Kobiéta którą dziś pan widzisz nie pozwoli żartować z siebie, jak nie pozwoliła dwanaście lat temu. Nie darmo przechodziła całą gamę uczuć począwszy od rozpaczy za złudzeniami, aż do szyderstwa zimnego z siebie saméj, nie darmo nauczyła się żartować z życia, ludzi i duszy własnéj, panować nad słowami czynem, spojrzeniem, aby nie zdradzić się nigdy, aby dobrze grać życia komedyą. Dziś ta kobieta panu powiada na chłodno: zemściłam się, wedle méj woli fakta się ułożyły, nie mamy nic z sobą już do czynienia, spłacony dług dawny i bieżący...

Porajski oparł rękę na poręczy fotelu—drżał tak silnie, że zęby uderzały o zęby.

— A teraz, będziesz moją—rzekł cicho bardzo, głosem który się łamał w gardle kurczem nerwowym.

Tola zaśmiała się ostro, gorzko, szyderczo.

— Nie—rzekła. Jam nie godna pana pod żadnym względem. Bylibyśmy niedobraną parą...

On o krok bliżéj przystąpił, tak że dotykał jéj prawie.

— Nie odejdę póki z palca nie zrzucisz pierścionka tamtego a w zamian mego nie włożysz—rzekł ponuro.

— Nigdy! nigdy—wybuchnęła gwałtownie—nigdy, bo nienawidzę pana, nienawidzę jak złego ducha, bo pan przyłożyłeś się do zabicia we mnie wiary wszelkiéj, do zrobienia ze mnie kobiéty—motyla!

On rzucił się do niéj, znowu schwycił jéj ręce obie i zgniótł je w uścisku kurczowym.

— I właśnie dla tego ty do mnie, do mnie tylko należyć możesz, i będziesz należyć do mnie! tylko do mnie.

— Nigdy! rozumiesz pan! szczęśliwą będę, gdy między nami tysiące mil staną, jeśli nigdy już w życiu nie spotkam się z panem!

I wyrwawszy rękę wbiegła do przyległego pokoju, drzwi na klucz zamykając za sobą.

Wieczorem tegoż samego dnia odebrała bilecik z Zator.

„*Les jours se suivent et ne se ressemblent pas*, pisał Porajski—nie zawsze pani będzie w usposobieniu takiém jak dzisiaj... gdy pani nasyci się zemstą, przyjdą pani na myśl słowa usłyszane przed parą godzinami. Zmieni się pani z czasem, *je ne vous permettrai pas d'avoir le dernier mot*, prędzéj czy później pani uczucie odzyskać muszę i odzyskam. Nie ucieknie pani przedemną; gdziekolwiek pani pojedzie, ja tam będę. Może to i lepiej, że pani wyszła za innego, w każdym razie nadziei nie tracę i utrzymuję zawsze, *que tout est pour le mieux dans le meilleur des mondes*, tylko trzeba znać sztukę życia, a my ją znamy oboje..."

Tola list poszarpała na kawałki i nie wspomniała o nim nikomu.

XV.

Za kilka dni gruchnęła po okolicy wiadomość o zaręczynach Bogdana z Wandą i Toli z hrabią-bankierem. Równocześnie zaczęły rozchodzić się wieści o Karolu Porajskim, ale te nie zgadzały się z sobą. Jedni mówili, że Karol się starał o Wandę, a dostawszy od niéj harbuza zawrócił do Toli, gdzie znalazł miejsce zajęte. Drudzy zaręczali, że Porajski zawsze chował w sercu uczucie dla Toli Sawińskiéj, od czasu gdy ona niemal dzieckiem była, że to uczucie przetrwało lata i oddalenie, zdradę kochanéj i pokusy wszelkie, że ono żyło gorące i prawdziwe a jednak dawniéj i teraz ocenionem nie zostało, bo pięknéj pani zachciało się milionów bankiera z Odesy. Inni jeszcze utrzymywali, że Porajski byłby się z Wandą ożenił, ale Tola zawróciła mu głowę, więc hrabiankę dla niéj porzucił. I tak się zgodzić nie mogli na jedno, zostawały tylko fakta uznane, mianowicie, że Porajski starał się o Wandę, a ta wychodziła za Bogdana, że oświadczał się Toli, a ta mu odmówiła stanowczo.

Ale ani przyjaciele Karola, co pod pozorem pocieszań przygotowali cały arsenał ukłóć szpilkowych, ani szczególnie Sulimowski, który dolewając oliwy do ognia, opowiadał ciągle o nieudanych zamiarach swego niedoszłego zięcia, nie mieli przyjemności tryumfować nad nim. Tego samego wieczora wyjechał zagranicę.

Ślub Toli odbył się w październiku. Państwo młodzi wyjechali do Paryża i dopiero na zimę do Odesy wrócili. Salon pięknéj hrabiny zgromadza całą śmietankę odeskiego towarzystwa, ukraińskiéj i podolskiéj arystokracyi.

Nie pokaże się w mieście żadna znakomitość, żaden artysta ani autor znany, żeby się nie kazał przedstawić hrabinie Grimaldi, nie znajdował się na jej poniedziałkach. Między wielbicielami Toli, których ścisły zastęp otacza ją zawsze, można spotkać i Sulimowskiego.

Bogdan wywiózł młodą żonę do siebie, na wsi spędzają miodowe miesiące. Pod wpływem męża, jego matki i siostry Wanda roztajała i dziś wierzy gorąco, że szczęście istnieje, że je można spotkać na ziemi. Hrabina Sulimowska mieszka przy nich.

Złe języki utrzymują, że hrabina Grimaldi jest kokietką bez serca, że się kompromituje tym zastępem wielbicieli, co ją bezustannie otacza. Jednakże ci nawet, co najgłośniéj krzyczą, nie opuszczają ani jednego balu, wieczoru, rautu czy obiadu wydanego przez nią. Gdy jeden z takich Zoilów zanadto pozwolił sobie krytyki, a doszło to do uszu pięknéj pani, został wykluczony z jéj domu, inni rachują się ze słowami i tylko po cichu robią zarzuty różne.

Przy końcu zimy zjawił się dawno niewidziany w Odesie Karol Porajski. Odrazu stanął w rzędzie wielbicieli pięknéj Toli, ale ona go znosić nie może i stanowczo nie pozwala mu wstępu do swego domu. Za to, gdziekolwiek się obróci, czy to w towarzystwie, czy w teatrze lub na spacerze, zawsze go widzi przy sobie, z tym samym uśmiechem szyderczym co przystygł na jego twarzy wyżytéj, z tym samym sprytem szatańskim, który mu daje taką powagę w salonach, gdzie zawsze gra pierwszorzędną rolę. Dobijają się o niego piękne panie a on obojętny, szyderczy zawsze jednako, nie raczy się schylić do żadnéj.

Porobiły się zakłady, czy dopnie celu, lub czy téż piękna hrabina niewzruszoną zostanie na zawsze. Dotychczas nie mogły się rozstrzygnąć i kto wie czy rozstrzygną się kiedykolwiek. Ukraiński magnat i piękna Tola znają życie i tak grać dobrze umieją, że nikt nie odgadnie, patrząc na sztukę przedstawianą, co tam za kulisami się dzieje...

Julian Morosz.

MAŁPA-CZŁOWIEK

NIEZNANA SATYRA Z XVIII W.

II.

Przystępujemy do drugiéj części rękopismu, noszącéj tytuł: *Małpa-człowiek w obyczajach.*

Na pierwszém miejscu kładzie autor: *obyczaj chwały boskiéj i nabożeństwa*, wprowadzając jednocześnie nową formę do swego opowiadania, to jest dyalog. Rozmowa toczy się pomiędzy p. Mikołajem a panem Stanisławem, dwoma szlachcicami, przebywającymi w Warszawie. Pan Stanisław zachęca towarzysza, aby poszli razem „do kościoła panien Wizytek, bo tam jutro solenny odpust, dziś nieszpór, król na nim, wszystkich panów, pań i panien zgromadzenie i ludzi inszych nacisk wielki będzie.“ Inaczéj się króla (1) nie rozpozna w tumulcie. W pałacu go się nie zobaczy, bo warty wstępu bronią, w „karecie jako ptak lata, na koniu nieznacznie (2) biega i wyjeżdża.“ Nieboszczyka (3) króla znał p. Stanisław dobrze— był to pan pobożny, przykładny i paważny, „którego nabożeństwa obyczaj“ obiecuje potém opowiedziéć. Zachęta trafia do przekonania p. Mikołaja: i on chciałby widziéć króla, boć „tego pana wielkie renomie, osobliwie u białych-głów, które lada kogo nie pochwalą,“ wzbudziły w nim „chciwość poznania.“ Idą więc razem przyjaciele i na sam czas zdaje się przychodzą, bo oto już i biskup poznański we drzwiach z kropidłem stoi i baldachim rozbity oczekuje na przybycie monarchy. Gorszy ich jednak, że wszyscy obróceni tyłem do ołtarza, że „na przyjęcie i honor śmiertelnego pana wszystko się wygarnęło duchowieństwo, a nieśmiertelny wszystkich kró-

(1) Augusta II-go. — (2) Rzadko. — (3) Jana III-go.

lów monarcha nie ma i lajdosza (1) przy swoim majestacie.“ Oczekują długo, aż tu i biskup do zakrystyi wraca, świéce gaszą, bo pewno „pan wielą plejzyrami (2) zabawny zapomniał, a biskup mu też żaden nie przypomni, że to solennitas wielka i na nią się obiecał.“ Do tego pan Stanisław widział „kartki na komedyę czy operę,“ toć i król woli się zabawić w miłym osób braku (3) wesołemi scenami, aniżeli na pauzowaniu chórowém niecierpliwie w kościele siedziéć.“ Na zégarze zamkowym bije ósma, świéce znów zapalają, biskup bieży do drzwi kościelnych, ale po chwili wraca „zalterowany,“ a księża jego „między sobą ze śmiechem gadają, że król mimo kościół przejechał do ogrodu Kazimierzowskiego na kolacyą, kazawszy ksieni powiedziéć, że za dzisiejszy nieszpór będzie u niéj w miłéj kompanii jutro na obiedzie.“ Dwaj szlachcice odchodzą do gospody, prawiąc z oburzeniem o tém co widzieli. „Takiż to u naszych polaków pobożności obyczaj. Zrzadka kto idzie do kościoła bez interesu i okazyi. Ten i ów napatrzeć się białych-głów, ogień pożądliwości do serca porwać, z k. . . . się poznać i rozmówić, gdzie mieszka; z tym i owym widziéć się i rozgadać, wiadomości publicznych zasięgnąć, kapeli się chórowéj nasłuchać i przed gościem, albo importunem z domu uchronić. A cóż o białéj płci rozumieć? któréj wszystka rzecz odpustów, kiermaszów i nabożeństwa na tém stoi, aby się w urodzie, w kształcie, w modzie, w rzeźwości, w aparencyi pokazać i zalecić, tego i owego do siebie pociągnąć i obligować, inszych obmówić, potępić i otaksować.“ Na drugi dzień rano obudziwszy się, prawią szeroko szlachcie o „spowiedzi królewskiéj,“ a zebrawszy się, idą do Wizytek. Tam ludzi już ciżba wielka, a nie brak „i z kozikami domieszków.“ Następuje dość długa dysputa o lekkomyślném przyjmowaniu ciała i krwi Pańskiéj: „widzisz on śmigas (4) z wołoską czupryną, ilem go dobrze uważał, w pół mszy do kościoła przyszedłszy, spowiedź, komunię i wszystkie swoje nabożeństwo odprawił i już się z jakąś krygownisią za ręce prowadzi w takiéj minie efronteryi i dyspozycyi, jakby to było z tańca do łożnice.“ Wina w tém i księży, co spowiedzi niedbale słuchają. „Ja mam penitenta za pacyenta, a spowiednika za medyka. Medyk należycie kuruje, kiedy chory defekt swój należycie opowie. Często zabija, że się o więcéj nie pyta.“ — Nareszcie laski marszałkowskie pokazują się we drzwiach: król przybywa. Na ołtarz nie patrzy, nabożeństwem mało się zajmuje! Jemu jeszcze przebaczyć można, bo „młody, żywy i światowy, ale z siwowąsów i półbabek wielkie cuda

---

(1) byle kogo, lada kogo. — (2) przyjemnościami. — (3) wyborze. — (4) śmigły, smagły, wysmukły.

i zgorszenia: usta sine w umizgach, język jak na kołowrocie, twarz zmarszczona pod farbą, oko w pożądliwym świdrze, książki na pozór rozłożone, pod mizerne kolana puchy i jedwabie, osoby od czci i chwały boskiéj, jak przez morza dalekie.“ Lepiéj było za nieboszczyka króla: wiedział on zawsze o każdém nabożeństwie i odpuście, dwór swój i panów awizował o niém, sam go solennie ze spowiedzią i komunią św. odprawował i sprawował się w domu bożym pobożnie i przykładnie, zapomniawszy całe o godności swojéj królewskiéj, w obecności Najwyższego Pana swojego.“ A cóż dopiero mówić o dawnych królach i wiekach. Dziś nie ma nabożeństwa w sercu, a owe „srebrne koniki, pozłociste osóbki, woskowe i insze ofiarki daremnie zaprzątają ołtarze.“ Wydrze kto, albo „w inszy sposób nabędzie rumaka, zawiesi za to trzechłutowego konika. Krowę jałowicę, wołu sąsiadowi zabije, naleje jedną i drugą lampę. Pasiekę cudzą zrabuje, zaświeci parę świeczek woskowych.“ Również niewiele warte owe „seraficzne, strzeliste modlitwy,“ co tylko tytuł taki mają. „Lepiéj nie silić gęby na te tam wymyślne hymny, koronki i modlitwy, ale raczéj przestawać na jednym z uwagą i pobożnością pacierzu zwyczajnym....“ Tymczasem król dowiedziawszy się, że jego lekta już się skończyła, rusza z miejsca, spiesząc za klauzurę na obiad. Niedługo po nim wychodzą nasi szlachcice, i tém się kończy rzecz o obyczaju nabożeństwa.

Obyczaj miłości i przyjaźni bliźniego stanowi dalszą część satyry. Przyjaźń istnieje dopóty, dopóki przyjaciel nie jest w potrzebie; poratować go, wspomódz nie leży w zakresie obowiązków przyjaźni. Obłuda najwięcéj krzewi się na niwie téj „rzadkiéj cnoty.“ Spotka przyjaciel przyjaciela, ściska go, całując, zaprasza do siebie, a kiedy zaproszony przyjedzie, to „zamknij wrota, powiedz że mnie w domu niema, żona na odpust pojechała — czyć go dyabeł nadał!“ Przy hulance wznosi się toast „na całą gębę: ej kawaler że z ciebie dorodny, serdeczny i mężny; właśnie cię natura do buławy uformowała; rozum, godność i rozsądek do senatu prowadzi. Wiwat ozdoba narodu naszego, wiwat wódz nasz przyszły, regimentarz, kanclerz i nie wiem jaki monarcha,“ A pochwili mówca na uboczu żartuje z owego „regimentarza“: „owo drwiłem z niego, napiłem się z téj okazyi dowoli, wbiłem mu w głowę hipokondryą; nie spostrzegł się błazen, mam sposób najeść się i napić u niego, a mogę co i wydrwić.“ Jeżeli z pochwałą jaki mężczyzna wspomni o „z serca, serdecznie, jedynie kochanéj siostrzyczce,“ to druga przyjaciółka zaraz usłyszy od téj saméj, że owa serdecznie kochana „nadstawia się, płaszczy, umizga, a jest wielkie ladaco, krygownisia, pod farbą udatna i rumiana, bez niéj trup i glina...“

Przechodząc do *obyczaju inklinacyi i gotowości do małżeństwa*, autor poglądy swoje wyprowadza z dyalogu p. Wojciecha z panem Józefem. Pan Wojciech wyraża pojęcia autora, według którego jedyną wyrocznią przy zawarciu małżeństwa winna być wola rodziców,—siedmnastoletni zaś p. Józef pojęcia ówczesnéj młodzieży. Na jedno tylko zgodzić się można, że młody człowiek, przed dojściem do pełnoletności nie powinien myśléć o tworzeniu rodziny. Ale zdaje nam się, że ów 17-letni, a już pałający żądzą wejścia w związki małżeńskie p. Józef, był i jest do dziś dnia rzadkim wyjątkiem. To jest właściwie, ochota może objawiać się wcześnie, ale statystyka świadczy o małéj liczbie małżeństw w tak młodym wieku zawieranych. Ztąd niepotrzebne rzucanie gromów, a całkiem, jak dla nas, fałszywe wyobrażenia o „inklinacyi.“ Autora oburza to, kiedy młodzieniec „czołem bije, po ziemi się tarza, na komplementa wywnętrza, nogi całuje i liże, na węgiel się pali . . . w nocy nie sypia, ustawicznie wzdycha, nudzi, melancholizuje.“ Te czyste uniesienia serc młodych i niezepsutych są mu wstrętne, ztąd zaraz przypuszcza, że zakochany „na upominki ojca kradnie, na fortunę sekretnie zaciąga, muzyków, moczywąsów i darmostojów okrywa, chłopców na kozaki, na błazny i różne cudotwory strzyże.“ Gani młodę dziewczę, kiedy „na odjazd i pożegnanie jego truchleje, blednie i obumiera, bez niego melancholicznie szlocha, żałośnie nuci, jadać i sypiać nie może, przez sen lada co plecie. . . .“ W końcu autor przychodzi do wniosku, że małżeństwa z miłości zawarte są nieszczęśliwe, że zaraz „po pierwszéj miłości małżeńskiéj próbie, czuwają na zaciąg różni sekundanci, adjutanci i koadyutorowie, — ztąd zawsze kłótnie, niechęci,“ i t. d. Całe to małéj wartości rozumowanie kończy się dwoma „lamentami“ żony i męża źle dobranych. Żona narzeka i łaje małżonka, na co odpowiada „nieborak“ jeszcze większém narzekaniem. Oto i wyjątek:

Ja za twą winę nieszczęsny ginę,
Tyś żywa.
Udatna z twarzy, a przecie parzy
Pokrzywa.
O jak frantowska w złość białogłowska
Płeć bywa!
Krzywdy pozorem, grzechy rankorem
Pokrywa.
W sercu ma węża z żalem na męża,
A w gębie
Nucą miłosne treny żałosne
Gołębie.
. . . .

Wszystkie bestyje uznają, czyje
W dozorze
Ręce ich koją i tych się boją,
Jak tchórze.

Jedna kobiéta tak jadowita
W swéj wierze,
Że jéj nie zrówna bestya główna
W cholerze (w złości).

Darmo się miły ze wszystkiéj siły
Sposobisz:
Nie chce natura — toć z małpki tura
Nie zrobisz.

W pomocy nieba stanu potrzeba
Nabywać,
Bo przez womity trudno kobiéty
Pozbywać.

Wiersz, z którego wyjątek podaliśmy, stanowi przejście do *obyczaju wiary i miłości małżeńskiéj*. Przedmiot ten widocznie traktuje autor z upodobaniem, bo wraca doń już poraz trzeci. Może zapomniał o poprzedniém długiem kazaniu na ten temat, a może przypuszczał, że nie wszystko jeszcze i dokładnie wypowiedział. Niewierność małżeńska jest tutaj kanwą, na któréj wyszywa dość zblakłą włóczką swoje poglądy. Na ich poparcie czerpie z dziejów starożytnych niesmaczne i podejrzanéj wartości przykłady, nawet tłómaczy bardzo nieudolnie z greckiego „żale Kaminy.“ Wszystko na to tylko, aby dowieść wierności dawnych żon i miłości mężów, co często „dla całości żon swoich cudowne niebezpieczeństwa przebywali, całe królestwa i dostojeństwa, a nawet życie łożyli, czego świadkiem „żałosne dzieje, okropne pobojowiska....“ I w Polsce było „wyraźniéj względem wiary i miłości małżeńskiéj,“ choć się obywało bez strasznych przykładów zemsty i zawziętości. „Było co kochać, ale nie było o co się wadzić, bo każde stadło w parze i używaniu powinności swoich nie miało intervenientem, trzeciego....“ Nie brak jednak w tym traktaciku humoru, czego dowodem dowcipny nagrobek swarliwéj parze małżonków:

Tu leży cna para, wspólna życia kara:
Mąż jako trzepaczka, a żona pijaczka.
Gościu! chciéj ostrożnie mieć się tu nabożnie,
Aby czart i w ziemi nie zwichrzył co z niemi,
Było w życiu bowiem, co po śmierci powiem,
Że się z sobą żarli i w gniewie pomarli;
Więc zdaleka, tuszę, lepiéj rzec za dusze:
Panie! po tym boju zostaw ich w spokoju!

Obyczaj rządu i powagi wnika w głębsze zagadnienia społeczne. Miejsce dlań tu nieco niestosowne, treść zaś przywodzi na pamięć pierwsze ustępy satyry, gdzie o królach, monarchach i zwierzchnościach była mowa. Wielki pan, stojąc przed zwierciadłem, marzy o swéj potędze, o „wyniosłości czoła, podającéj się pod koronę,“ o wzroku wyrażającym surowość i zmuszającym do ślepego posłuszeństwa; ręka jego stworzona do berła, laski lub buławy, pierś do orderu, postać i „statura do rządu, do surowości i rozkazywania.“ Tak jest mości panie— dodaje satyryk — „bo czeladź i chłopi, wszyscy powiadają, że nie więcéj pięć katów swoją sztuką sprawi, jako WMPan wejrzeniem i postawą poważną. A gdybyś jeszcze mógł wleść w owe szkiełko, które *tubum opticum* nazywają (gdzie wsza jak baran, a pluskwa jak wielbląd wydają się pozorne i wielkie) tedy byś miary sobie we wszystkiem dobrać nie wystarczył, waliłbyś z nóg przez hypokondryę giganty, przez gardło Goliata piąłbyś się na majestata, ludzi ubogich jak brytan szczenięta deptałbyś, miliony tysiąców na obiad połykał, jeden nad wszystkich razem zdałbyś się najmocniejszym.“ Wszystko to służy za wstęp do małéj rozprawki o rządzie, jakim być powinien. „Nie to jeno, nie to, miły Długoszu, weź przed siebie zwierciadło: wleź całym sobą *in speculum exemplorum* i tam się dopiero przejrzysz do jakiéj miary osoby miał się rząd przed laty. Cnota w małém i wielkiém ciele jednakowo zawsze dokazywała, prawa dawała, narody pod posłuszeństwo skłaniała, w skałach, żelazach i minerałach twardych siłę łamała, łechczywy grzbiet morza ujeździła, wszystkie trudności i niepodobieństwa sfatygowała.“ Cnota jest podstawą rządu, opoką rządzących. „Łaskawość władzy serca niewoli do miłości, miłość wiarę sposobi, wiara jedność klei, jedność potęgę stanowi, na potędze rząd i powaga stoi, tém bezpieczniéj, im bardziéj ufundowana. Ale nie temi nieszczęśliwemi czasami, kędy wszystka rzecz rządu i powagi na tém tylko usiłowaniu i prezumpcyi zawisła, aby wymusić, nie wyperswadować, przyciągnąć a nie przyprowadzić, przyniewolić a nie zniewolić, przycisnąć a nie przytulić, ogolić a nie przystrzydz.“ Daléj wykazuje autor złe skutki zbytniéj surowości i despotyzmu, przytaczając słowa, jakie „jednemu wielkiemu z Łokietków człowiekowi na nagrobku położono.“ O kim tu mowa—niewiadomo, sens zaś taki, że nie ciałem, nie siłą, lecz duchem należy być potężnym, bo nieraz już to się zdarzyło, że „osoba karła olbrzyma zawarła.“

Dyalog powraca znowu w *obyczaju posłuszeństwa i submissyi.* Różnica pojęcia „skłonności“ od pojęcia uniżoności jest przedmiotem rozmowy pana Zygmunta z panem Wacławem. „Skłonność ma się do proporcyi stopniów dającego i odbierającego ukłony, uniżoność

zaś--przechodzi je w proporcyi.“ Ta ostatnia jest zazwyczaj wynikiem obłudy lub interesu. Jeżeli pan wojewoda, choć senator, tak nizko ukłonił się p. Zygmuntowi, że mu tenże, „choć fałdów nałamał,“ ukłonić się niżéj nie mógł,—to dowód oczywisty, że wojewodzie uśmiecha się pożyczka owych kilkunastu tysięcy, „które p. Zygmuntowi położono w grodzie.“ I ledwo p. Zygmunt, jako „wilk nie wpadł w samołówkę;“ szczęściem, że mu p. Wacław jasno wytłómaczył, jaki będzie koniec uniżoności pańskiéj: „granica i pretext submisii, układności, poszanowania, ludzkości i komplementu tych to miłych panów naszych póty, póki nie dasz, daléj żart, zawód... A gdybyś ich uważał, jak cygi, czyli cyganów w obrotach i dziarskości posłuszeństwa królom i zwierzchnościom swoim, tedy byś się jako ucieszną komedyą do woli nasycić nie mógł.“ Serwilizm i zabieganie o fawory czynią ich posłusznymi na wszelkie rozkazy i „nigdy tak powolnie niedźwiedzie cyganom, cygani błazeńskim obrywkom nie nadskakują, jako prywatnemu przez zgubę publiczną zyskowi nasi teraźniejsi niektórzy panowie.“ Sejmy, zjazdy, rady „i inne publiczne i sekretne akty, są to ich niejakie teatra, albo inaczéj targowiska, kędy jak się to oni uwijają, ubiegają, zginają, trudno bez przygany opowiedziéć. Ten za uszy, tamten za usta, ów za nogi, za ręce chcąc co na respekcie oberwać, jako złaja niedźwiedzia, pana łatwego rozbierają. Potrzebie swojéj bez wstydu nadskakują, póty słudzy ochotni, póki skarb nie ubogi. Dodać do tego należy zabiegi o ordery, choć „niewielka z tego klejnotu dystynkcya, a mnie się zda w proporcyi do polskiego kroju, jak figa do nosa. A za tém wszystkiem idą „wymyślne i klarowne tytuły.“ Dawniéj znajomi i przyjaciele mówili do siebie po imieniu: panie Jerzy, panie Stanisławie, chcąc zaś kogo uczcić dodawano: panie łaskawy, panie uczciwy, panie zacny; „tymi czasy wszystko to się zrównało; JMC Dobrodziéj Biskup, JMC. Dobrodziéj Wojewoda, JMC Dobrodziéj Podstarości, JMC Dobrodziéj burmistrz, JM Dobrodziejka w Kiernozi albo w Kusienicach wójtowa, Monsieur swiec (1), monseigneur doktór, albo podły od pęcherza galenus.“

Daléj występują p. Jacek z p. Wincentym i zastanawiają się nad obyczajem służby dworskiéj. Pierwszy syna swego Michałka oddaje do dworu, więc mu kazał głowę jako pudło ulepić, „kunią (2) go jakąś pohaną“ na bakier przykrył, niższą część ciala fałdami obłożył, i „przytaśmował do połowy jako tarcicę,“ w stąpaniu, minie i obrocie „modno ułożył.“ Nie w taki sposób ojcowie przygotowy-

(1) szewc. — (2) czy nie *gunią?* Kuni niema ani w Gołębiowskim (Ubiory) ani w Lindem.

wali młodzież do służby dworskiéj, bo nie o modę wówczas panom chodziło, ale o ćwiczenie młodzieży, o zyskanie wdzięczności rodziców, o przygotowanie dobrych obywateli krajowi. Służba dworska była rodzajem nowicyatu i szkoły. Kto okazywał umysłowe zdolności i chęci do nauki, tego zaraz „do pióra, do potocznych i publicznych expedycyi sposobiono, kierując przez dalsze lata na wielkie w grodach i województwach stopnie;“ kto téj chęci i zdolności nie posiadał, „znalazł ćwiczenie według sposobności swojéj w dziełach rycerskich: do oręża, do lancy, do reguły wojennéj sposobiąc się i zaraz brał stopień, na jaki go doskonałość przysposobiła;“ kogo wreszcie duch pobożności owionął, „znalazł i z téj miary drogę swoję, pomoc, aplikacyą i wysokie kościoła stopnie.“ Było to nawet ogólném przekonaniem, że „do rodziców spłodzić, do panów wychować należało.“ Dziewczęta oddawane do fraucymeru uczyły się zajęć kobiecych, w cnocie i pobożności się ćwiczyły, zostając ciągle pod okiem saméj pani i wyłącznie do tego przeznaczonéj dozorczyni. Dać zaś syna albo córkę „tymi czasy do dworu jest jedność, co i wypchnąć bez wiosła na morze, kędy szumów, wiatrów i bałwanów niebezpiecznych bez miary... Ledwo nie lepiéj zgodzić się na to, żeby dzieci nasze krów i stada w domu pilnowały. Rozmaitość jest dworów, ale wszędzie prawie panuje jeden obyczaj, wszędzie złe przykłady. „Dwór podobno królewski wyksztaltuje młodego? gdzie panowie sami nadskakują jak chłopcy, albo kędy czczy regestr bezpieczeństwa ustroniów i wygody sekretnéj asystuje prywatnie. Senatorski podobno? kędy jako psia jucha, krew szlachecka obmierzła, a puder lada szewca i knechty cudzoziemskiego nad zamiar pięknie i modno pachnie; kędy sikofancyi (1), pseudo-polityki, zdrady, sekretów na zgubę publiczną pełno... języka polskiego obyczaj ustał, szlacheckie dzieci na kozłach przy oddechu pohanego olędra woźnicy jak maznicę wieszają, kędy nie masz nic cale do pozoru, obyczaju i doskonałości polaków. Hetmański podobno? kędy przez sknerstwo, nad dostojeństwo i powagę większe, wszystkie usługi poprzejmował żołnierz, i w publicznéj poważnéj rezydencyi nadstawia się powinnościom prywatnym i potocznym, szarzając się za niemi w pancerzu, albo w tygrowej suce, jako w barwie hajduczéj. A może u innych panów i górniejszych w urzędach osób? kędy minę w paliwiosków przyjemność, kibić w słomiany mendel, chód i obrót w złodziejski pozór, głowę w *tarum farum* przedziwne, wszystkie obyczaje w konfuzję przyjemna panom w naśladowanie sili, przerabia maniera“... Słowem „pożal się Boże krwi szlacheckiéj, ba, i prostéj poczciwego

(1) Intryg, podstępów.

chłopa, którymi oni teraz najwięcéj figurują ozdobę dworów swoich na modelusz cudzoziemskiéj służby.“ Wieśniacy dziwacznie przybrani wyglądają „z pod peruk swoich jak z pod ogonów kobylich.“ Przy stołach pańskich, nie usłyszysz słówka polskiego (lubo czasem krój polski zagęści) dla dyskursu politycznego i nauki młodzieży, tylko kolejny brzęk kieliszków a ulubione parle, parle.“ Wielkie panie dziś nawet nie lubią fraucymeru i nie zajmują się nim wcale, dosyć im „w podróż jednéj baby dla wygody sekretnéj i pohanéj jak bukłada (1) karlicy; temi najdalsze drogi i publiki opędzać zwykły. Fraucymer zaś na ustroniu, bez oka, bez przyzwoitéj roboty, zabawy i wygody zostawiony, tuła się za inklinacyami, amorami, że pani powróciwszy, zastaje nieraz rzecz gotową do chrzcin i do ślubu razem, z czego niebożęta rodzice korzystają mizernie... bo z ludzi służałych, motłochu wszystko ladaco i nicdorzeczy. Browar, tytoń, cudza komora, pańska szkoda, piętna po barwie, ta jest wszystka téj kanalii życia maniera.“

Obyczaj służby wojskowéj bardzo szeroko jest traktowany. Autor, który jak powiada wyżéj, nauczył się wojować „z niemałą imienia swego reputacyą,“ pojmuje seryo obowiązki stanu wojskowego, i jaskrawemi barwami maluje jego upadek. „Kędyż leżysz złamana rządu i wojska potęgo? pod którą najmocniejszy nieprzyjaciel padać i grube karki łamać koniecznie musiał. Pod którą jako stalową tarczą, wiara i kościoły śś. niewzruszone stały. Pod którą wolność i swobody szlacheckie jako pod łagodnemi słońca darami, milusienko kwitnęły. Pod którą ludzie wszystkich prac i pożytków swoich zażywali spokojnie. Pod którą prawa powaga i powinności wszelakie regularnie chodziły. Pod którą trony i majestaty w zupełnych ozdobach i wzajemnéj konfidencyi reverenter stały. Pod którą sławy imienia polskiego cały świat dowoli nasłuchać się i wydziwować nie wystarczył. Pod którą sam Bóg z patronami świętymi za nas i dla nas dokazywał cudownie. Pod którą (słowem rzekę) nic przykrego, nic trudnego, nic niebezpiecznego, nic niedoskonałego nie bywało.“ Urok imienia hetmańskiego upadł, odkąd hetmani nadużywają swéj władzy dla celów osobistych i partyjnych. Waleczność żołnierza przerodziła się w burdy i pijatykę, religijność ustąpiła miejsca bezbożności, żądza wojennéj zdobyczy pokojowemu podbojowi serc niewieścich. Nie ten lepszy, kto waleczny: ale ten, kto piękniéj się przystraja, przechody wojskowe niszczą mienie obywateli; najwięcéj tu cierpią wdowy i sieroty, których dobra, pomimo ochrony hetmań-

(1) bukłada, bukład, buklak naczynie skórzane do noszenia wody (tatarskie).

kiéj „z przypisem własnéj ręki: *pod sądem zalecam,*“—są formalnie najeżdżane i grabione. Ledwo znak rotmistrzowski ukaże się we wsi, zaraz w niéj „okrutne zamieszanie: kwik, bek, gdak, hałas, lament, trzask, puk, grzmot i wszelka opresia przebijają obłoki. Już chłopstwo poranione, kobiety pokrwawione i przestraszone, biegają jak szalone, ręce załamując, w knieje i parowy uciekają, mróz i słotę z dziećmi nagiemi cierpią i ledwo się nie zagubią. Już okna w chałupach na wylot przeglądają, piece trupem leżą, naczynia, sprzęty, szkła i fanty potłuczone i porabowane. Już szkapy po uszy z siana wyglądają, owsem i ziarnem przez ochwat mierzą się. Pierza z drobiu jak śnieg po całéj wsi latają, ognie w stodołach palą się, we wszystkiém niekarny żołnierz pod niepoczciwą komendą bryka i exorbituje.“ Dwór koniecznie dostarczyć musi przynajmniéj „dwie beczki miodu, cztery piwa, dwadzieścia garncy gorzałki, tyleż korcy owsa, sześć flasz wina jmci panu namiestnikowi w dyskrecyi za siano, słomę i sieczkę.“ To téż po przejściu wojska cała wieś wygląda jak po bitwie. „Już i jejmość z drobiem dziatek swoich we dworze na zimnie bez drew w zęby jak w cymbały dzwoni, głód cierpi, spiżarkę wyszafowała, piwniczkę wyszynkowała... A mój miły nad babami Herkules, jako bela opity namiestnik zębami zgrzyta, na wąsy dmucha, jako papuć gębę odyma, władzą swoją bryka, ludziom przystępu, krzywdzie ucha, mizeryi serca, zbytkowi wstrętu, skargom sprawiedliwości nie pozwala..... ale hola, hola mój miły bohatyrze! na odwód proszę, nie tu dokazywać pole twoje, nie tu plac ubogich chałupki, w których jak w jazwce (?) (1) mizerne siedzą, wywracać i krwawić, albo z mizeryą ludzką pasować się okrutnie, dla któréj ochrony powołanie wasze krew lać i umierać rozkazuje koniecznie.“ Ale gdzie tam myśléć o tém żołnierzowi, kiedy „bronią władnie trwoga, szablę lekką jak piórko przypasuje moda, drugą niedbalstwo i niedozór do skórki węgorzéj przykleja nieużytecznie; kopia ręki nie ma, kurek panewki nie zna, sajdak z wiatrem igra, szkapa na ogień klęka, na huk wędzidła nie czuje...“ To téż obecnie żołnierz polski stał się pośmiewiskiem obcych, a „inwencya cudzoziemska“ wprowadza na „zabawne sceny, komedyi i opery całą jego pocieszną fantazyę, brawurę, stąpanie, ułożenie, junakieryę... przy nas samych i z pomocą chichotając ze wszystkiego do woli.“

III.

„Jako w cnotach, tak i obyczajach cale się nie mamy proporcyonalnie do oblicza ludzkiego z twarzy boskiéj przeformowanego,

---

(1) *Jażwce?* borsuki?

co samo pokaże się i w kroju.“ *Małpa człowiek w kroju* jest więc trzecią i ostatnią częścią satyry, „jako bowiem małpa chęcią i naśladowaniem rada się bierze do ubioru ludzkiego i przez zdradliwy stroju sposób wikła się i dostaje połowem w ręce człowieka.... tak i człowiek według inklinacyi nieostrożnéj do mody i krojów przeciwnych naturze, ułożeniu, miejscu i stopniowi swojemu, naśladując małpy, sidła się nieuważnie w kosztowne, długi, w szacowne expensa, w słuszne cenzury i błazeństwa u ludzi, wychodząc z znacznych dziedzictw, fortun, skarbów i własności domu i imienia swojego. Albo bierze na siebie postać i figurę owych komedyonalnych błaznów i trefnisiów, którzy... przerabiają się i układają w różne maniery i kroje obcych, na pocieszną patrzącym zabawę. A jakoż się przez Bóg do woli i rozpuku nie śmiać, kiedy się rzecz sama podaje ogromnie do tego przez uciesznął nieproporcyę kroju do kibici, kibici do stroju, stroju do osób, osób do gatunku, gatunku do intraty, intraty do kosztu, kosztu do stopnia, stopnia do kapitału i substancyi, substancyi do utraty i zażycia, zażycia do niewczesnego żalu i dobrowolnéj mizeryi, zgoła wszystkiego nie do twarzy, sposobności i powołania.“ Wszystko to zaś obaczy się obszerniéj „w następujących podziałach partykularnych, a naprzód—*w podziale kroju białogłowskiego.*

Nie idzie tu autorowi o wytworne i powabne stroje. Kto na nie ma—niech się niemi cieszy i chlubi. Chodzi mu tylko o wydatki na stroje, przechodzące możność ludzi średniéj, szlacheckiéj fortuny. „Żebym zaś przez bezpieczeństwo prawdy nie uraził kogo, biorę się z obserwancyą do nóg delikatnych, a póki granica pozwala, uważam trzewik, dratwy i kroju turobskiego, jako prośniak pohany, pończochę jedwabiu czyli sztamentu koziego, niby tłumok sudanną (1), podwiązkę jéj z ołowiem szlakowym, szlak koszuli w nici pracowitéj, zapracowanéj i ostréj, spodnicy duhat i podszewkę z pod szczotki; róg na szyję złodziejom przyzwoity. Widzę modny na wierzchu parter z kilkadziesiąt szacownych łokci wymierzony, modno, dostatnio i sudanno na szlak teraźniejszy pofałdowany, pokawałcony i urobiony. W nim wojewodzinę albo inszą od krzesła i kondycyi damę uczcić by się godziło, ale że wierzchni zbytek, spodni niedostatek, garnitury znaczą, tedy kogoś inszego od pysznéj emulacyi, a nie od intraty strojnego poznam.“ Gdzież są karety, sługi i cugi do tego stroju odpowiednie? „Facyatę dym wskoś przejął, wewnątrz pluskwy zasmrodziły, czerw na wylot strawił, kiczka (2) zaniedbana odkryła...

(1) Nadobną, udatną.

(2) Pokrycie dachu ze słomy, snop do „strzechy.“

zwierciadło mysz pod ścianę zawlekła, jegomość na pańskie woła jejmość z warzęchą się uwija, a przecie garnitury, stroje i mody aż przez morza Paryż przysyła... Pytam jeszcze żkąd przecie koszt i dochody na to? Maciek zrobi, Maciek zje; wół zagranicę nie pociągnie, skiba do Gdańska nie wyprawi, gęba i potrzeba dosyć nie mają, dzieci z...... połyskują, niedostatek w domu świta, a przecie w nim *Musiu Michel* przy kaganku kraje, deseń układa, do szlaku, jako strunę baranią, defekt materyi wyciąga, jejmość do miary coraz się nadstawia, jegomość jak na ukropie gołym z...... siedzi, niecierpliwy i bojaźliwy, aby znowu po przydatek do szlaku na kliny albo falbany do kramu posyłać nie musiał, zastawiwszy na dwa łokcie ostatniego półchłopa.“ Na to wszystko jest pospolicie odpowiedź: tak moda każe, „tak i pani wojewodzina, kasztelanowa i tam insze od czoła damy modne stroją się i przystojnie udają. A tu serdecznie rozśmiać się muszę. O niepomiarkowana rozumem płci słabiuchnéj emulacyo.... A kędyż róg do ufnala, gdzie są te majętności i intraty wojewodzin i kasztelanowych? Nie jeden klucz przez ręce kredytorów przejdzie, aby do kosztownéj garderoby drzwi otworzyć. Zresztą wielkie damy mają sposobność pokazania swych strojów: „wolne publiki, kompanie, wizyty, akty i ozdobne przytomnościom królewskim asystencye. Mają publiczne o sobie poczty, gazety, wiadomości i relacye...“ Ale co tobie po tym zbytku mościa wojska upicka, albo podczaszyno derpska? Męża krzywdzisz i rujnujesz a sama nic z tego nie masz. Jeżeli to czynisz dla szacunku osoby, to próżny zawód

Bo i dudek pstry bywa, a w ozdobę przecie
I w smak stołów nie wchodzi z bażanty w pasztecie;

jeżeli dla naśladowania i emulacyi, to sama z siebie żartujesz,

Bo i głowacz nie jest główna ryba, choć to bywa,
Że przez siłę pod wodę z jesiotrami pływa;

jeżeli dla podniesienia swych wdzięków poniszczonych latami, to mylna twoja rachuba,

Bowiem wiara powszechna ludzi na tém stoi,
Że orłowi południe, noc sowie przystoi.

A może dla przypodobania się mężowi i odświeżenia jego uczuć miłosnych? Ależ to rzecz zbyteczna,

Kto bowiem żabę kocha, rozumie że pannę
Z bogiń kocha piękniejszą nad insze Dyannę.

Strojnisie takie narażają się na żarty, na ludzkie obmowy. Nawet nazwać strojów nie umieją, zasłyszawszy coś o nich tylko zdaleka i przekręciwszy. Kupiec „przez wstrzemięźliwość śmiechu nieraz krwią plwać musi, kąsając język przy towarze swoim. Będzie tam bowiem i: musiu, mości panie, pokaż mi waszeć *pater* (1) z materyi *paruskiéj* (2); tylko niech będzie na niéj *rexen* (3) modny, a kolor *amorat* (4); potrzebny mi i *pastor* (5) pod kamizelę, *ba i rochatyna* (6) *w pensowym* (7) kolorze i t. d.“ Za paniami idą ich sługi. „Jeżeli pani pokaże się jak beczka, pewnie sługa przyczyni obręczy, wydawając się jako kufa ogromnie i tak szeroko, że się ludziom zdawa, iż ta dama zdobiąc tusz swoję, nie bywa bez czopa.“ Za sługami idą mieszczki, nie wspominając już o pannach „z lupanarów.“ Paryż nadaje prawa modzie, ale tam tylko bogate i wysokiego rodu damy do niéj się stosują. Każdy stan ma własny ubiór, nie naśladuje jeden drugiego. U nas zaś nie poznasz: która matka a która córka, która wojewodzina a biedna szlachcianka, która pani a sługa, która praczka a która senatorka. Dawniéj jedna i ta sama materya przechodziła w spadku z matki na córkę, a nawet wnuczka w tejże koronce i przerabianéj szubce ludziom się pokazywała, w któréj babka szła do ołtarza.

Przystępujemy do ostatniego rozdziału satyry, którego przedmiotem jest *strój męzki światowy*. Autor nie rozumie prawdziwie „żeby ktośkolwiek, poznawszy rzecz dyskursu niniejszego na sobie, rozgniewać się... musiał, wprzód albowiem niż ona przed oczy wynijdzie, każdy pójdzie za pochopem mieniących się ustawicznie kroków naszych i przeinaczy się tak usilnie, że od porzuconéj przed kwartałem mody jakoby wiekiem całym zdadząc się być oddalony, wszystko to co tu o sobie samym prawdziwie przeczyta, nie sobie, ale raczéj dziadom, pradziadom i naddziadom swoim należeć przyzna.“ Przedewszystkiém gniewa satyryka, że wielcy panowie nic „do szlaku godności, pańskości i dostojności“ nie noszą. Nie zobaczysz na nich owego „wieczystego półgranacia (8), szkarłatu, fioletu, aksamitu, półpalcowego atlasu i adamaszku.... sobola i marmurka“ (9), ale jakieś „wiotkie szypłuchy ladajakie pytle, podłe z nici i nazwiska łyczaki, kitajki (10).... wilki, barany, popieliczki i bielistki.“ Wszystko to zaś tak drogie jak najwspanialsze futra i materye, które przez czas długi wartości nie tracą i są poniekąd majątkiem rodzinnym. Kupcy sprzedając te „błazeństwa,“ zyskują jak „na

(1) Ma być *parter*. — (2) paryskiéj. — (3) deseń. — (4) amarant. — (5) kastor.— (6) ratyna. — (7) ponsowym. — (8) grube sukno granatowe. — (9) lisy czarniawe marmurowéj maści, jedno z najdroższych futer. — (10) jedwabna materya gorszego gatunku.

farynie.“ Mniejsza wreszcie o gatunek materyi, ale gdzie się podział stary krój polski. Oto „suknia opnie raz z.... jakby weń wrosła, tak pociesznie i gładko, że cała jego z podziałem fizyognomja pokaże się jak na afront patrzącym; drugi raz kupa fałdów obłoży, że się zda tonąć jak w bałwanach na morzu; trzeci raz nie dopędzi kupra, jak katanka góralska; owdzie niedostatek a tam zbytek niezmierny.“ Powaga sukni jest konieczna, stosować się zaś winna do znaczenia i stanowiska noszącego. „Niech twój modny dworzanin do mody teraźniejszéj błazeńskiéj z...... przed tobą i za tobą wierci, pozwalam, niechaj plastrami irchowemi biodra sobie okłada, fałdy łamie, grzbiet pytluje, z.... jak tarcicę taśmuje i w inwencyach pociesznego kroju i gatunku zbytkuje: — tobie bławat dyktowny, sukna okazały gatunek, guz w dyamencie, włos futra czarny, krój dostatni, strój otworzysty słusznie i poważnie należy.“ Szlachta naśladując panów, zmienia coraz modę, traci majątki na modne stroje. „Dobrze i nad zamiar pożytecznie bywało przed laty, gdzie każda sztuka ochędóstwa polskiego miała się wieczystym krojem i potém się pod szlak inszy przydała, według owéj do wyrozumienia łaciny: a pamiętasz kontuszu quando feresia fuisti, nunc modo żupan eris, postea curta brevis; z któréj znowu mogła być portka ba i czapka razem Antosiowi pańskiemu.“ Żołnierz po te czasy „w atłasowych portkach do pychy haruje, podjazdúje i wojennie pracuje, ubramowawszy je, jak sznurówkę Dorota, galonem, czyli pasamonem..........“ Służba dworska naśladuje w stroju kobiéty, włos pudruje, rękawiczki upiżmowane kładzie. Juryści, instygatorzy wszystkich naśladują po trochu: rodzajem rewerendy przypominają księży, kamizolą wdowy, pętlicą dworzanina ... Profesorzy, studenci „extra limen (za progiem) szkoły i skromności wychodzą pod kroje zbyteczne i pocieszne.“ Tęż samą niewłaściwość stroju napotyka autor u mieszczan i u chłopów.

Po kroju białogłowskim i męzkim światowym przyszła koléj na *krój duchowny*, i taki téż tytuł napotykamy w rękopiśmie. Ale zaraz po nim następuje: „koniec A. M. D. G.“ i czterowiersz:

Żyjcie w górnych ozdobach Chrystusowéj wiary
I zbawienia naszego o! święte filary!
Żyjcie w krojów wolności; nieprzeszkadzam póty
Póki za pierwszy dyskurs nie zmówię pokuty.

WPŁYWY GRECKIE

NA WYBRZEŻACH ZATOKI TARENCKIÉJ.

[La Grande-Grèce. Paysages et histoire, par François Lenormant, prof. d'archéologie près la Bibliothèque nationale. Paris 1881. Tome I—II].

Półtora roku temu z małéj górskiéj mieściny nad zatoką Salerno, robiłem wycieczkę do Pestum. Trudno o zupełniejszą sprzeczność z malowniczym, rojącym się ludźmi ogrodem „szczęśliwéj Kampanii“ od jednostajnie smętnéj i pustéj okolicy nadbrzeżnéj, przez którą prowadzi droga do szczątków greckiego miasta. Z tamtéj strony Salerno piętrzą się jedne po nad drugiemi u samego brzegu, góry wysokie, okryte krzakami i lasem, białe wioski czepiają się wesoło po urwiskach inne kąpią się w morzu wraz ze spuszczającemi się ku wodzie zielonemi zwojami mirtów i wina. Nad południowém wybrzeżem zatoki prawie na równi z morza poziomem rozciąga się obszerna płaszczyzna, zamknięta w głębi łańcuchem niewielkich, obnażonych pagórków. Na piaszczystym gruncie z rzadka widać trochę karłowatych drzewek oliwnych, pokrzywionych dziwnie i napół zeschłych. Czasem, rzadziéj jeszcze szarzeje na polu ferma, wielka massa czworoboczna rozsypujących się kamieni bez okien, z zakratowanemi strzelnicami jak forteca. Na szerokim gościńcu ani żywéj duszy oprócz kilku konnych i pieszych karabinierów strzegących okolicy osławionéj rozbójniczemi napadami. Cisza zupełna—tylko zdaleka dochodzi przytłumiony szum fal obijających się o niskie brzegi.

Wśród trzęsawisk i piasków, zdawna wyludnionych przez malaryą, stoją w całéj swéj imponującéj piękności świątynie dawnéj Poseidonii. Morze w ciągu wieków usunęło się od ich stóp. Tylko w oddaleniu oddzielona szerokim pasem ziemi od dawnego przylądka, wije się szmaragdowa wstęga i w powietrzu wilgoć solna miesza

się z ostrym zapachem traw i ziół, bujnie rosnących na około ruin. Wszystko zdaje się umarłem od wieków—ale poważnie i wspaniale jak dawniéj biegną w górę ogromne kolumny świątyni Poseidona i lżejsze kształty Bazyliki zarysowują się na błękicie morza i nieba z dawnym czarem nieporównanéj swéj harmonii.

Szukając wśród zarośli resztek murów i baszt miejskich, amfiteatru i świątyni Pokoju, łatwo przenieść się w tę przeszłość daleką, kiedy trzy doryckie świątynie i inne, dziś zrównane z ziemią, jaśniały młodzieńczą krasą, i na złocistém tle trawertynu gorącym blaskiem odbijały żywe barwy polichromicznych malowań. A od miasta, które się skupiało niegdyś około ołtarza Poseidona na tym opustoszałym przylądku, mimo woli zwraca się myśl do innego przylądka i innéj świątyni, do tego ogniska kultury grecko-italskiéj, jakim był przybytek Hery Lakińskiéj, do strzegącéj go Krotony i Sybaris bogatéj, zagrzebanéj pod falami rzeki Crathis. Cały ten świat grecki, rozwijający się na italskim gruncie z równą siłą i większą niemal świetnością niż wśród ojczystego morza, pociąga ku sobie niewypowiedzianym urokiem, może dla tego że tak dziwnie przeszedł, bez śladu prawie, jak oderwany dźwięk pieśni gubiący się w przestrzeni. Stara legenda grecka o Polikratesie, któremu szczęścia pozazdrościły bogi, zdaje się odbijać w jego losach.

Ani mnie, ani memu ówczesnemu towarzyszowi podróży, wiedeńskiemu profesorowi H., nie pozwoliły okoliczności doprowadzić do skutku naszego zamiaru odwiedzenia wspólnie tych wybrzeży Tarenckiéj zatoki, na które pomimo przechodzącéj tamtędy kolei, odważa się puszczać tak niewielu turystów. Wraz z Selinuntem i całą Sycylią włoski brzeg Jońskiego morza pozostał dla mnie niespełnionem marzeniem. Niewiedziałem o tém że równocześnie całą tę część Włoch przebiegał i studyował uczony francuski, którego wrażenia podróżne, złączone z historycznemi badaniami i odkryciami archeologicznemi, stworzyły jednę z najciekawszych książek, jakie wyszły w ostatnich latach, zdolną jeżeli nie zastąpić osobiste zwiedzenie tych miejsc, to przynajmniéj dać o nich zupełnie jasne i dokładne wyobrażenie.

W świecie naukowym francuskim p. Lenormant znanym jest z poważnych prac nad historyą pierwotną ludów Wschodu, po których z czasem mają podobno nadejść dzieje Grecyi. Kultura pierwotna Greków i rozwój stopniowy ich religijnych pojęć stanowić ma oddawna przedmiot specyalnych studyów autora. Szukając śladów téj kultury na Apennińskim półwyspie i rzucając na nie jasne i wszechstronne światło, p. Lenormant położył tém większą zasługę, że dotąd pole to zaledwo ubocznie i dorywczo dotknięte było przez historyków Rzymu i Grecyi.

O ile sądzić można, uczony francuzki zużytkował cały materyał naukowy, istniejący dotąd, opierając na nim szereg własnych wywodów i rezultatów, prawie zawsze gruntownych, często świetnych, czasem może cokolwiek za śmiałych. Na nieszczęście chęć, bardzo zresztą zrozumiała, uprzystępnienia poważnego dzieła dla szerszych kół czytelników, skłoniła go do obrania popularnéj formy podróży, przeplatanéj tylko epizodami historycznemi i archeologicznemi. Epizody te, zajmują prawda większą część dzieła, nie tworzą jednak organicznéj całości. Jakby ukradkiem, pomiędzy żywe i barwne obrazy miejsc i ludzi, autor wtrąca reminiscencye z przeszłości, oderwane, rozproszone tak, że niemałéj pracy potrzeba dla skupienia i uporządkowania w myśli tego chaosu wiadomości, spostrzeżeń i odkryć. W dodatku dla zmniejszenia naukowego balastu, wstrzymuje się stale od porównania źródeł z których czerpał, co najwięcéj ogólnie tylko wspominając o kilku powszechnie znanych uczonych, badających przed nim dzieje i kulturę wielkiéj Grecyi.

W zwyczajnéj książce popularno-naukowéj, reasumującéj z nowego punktu widzenia rzeczy zbadane wcześniéj, metoda taka może mieć pewne zalety—świadkiem jedyne w swoim rodzaju *Italienische Streifzüge* Gregoroviusa i nawet daleko niższe ich naśladownictwa Kadena. Ale książka p. Lenormant ma założenie szersze i daleko donioślejsze. Jest ona rezultatem długich badań i specyalnéj pracy w przedmiocie, mało zbadanym; chce w nim niejako wypowiedzieć jeżeli nie ostatnie słowo, to przynajmniéj najbardziéj gruntowne i pewne zdanie ze wszystkich jakie wypowiedziano dotąd, łącząc rozerwane spostrzeżenia poprzedników w pierwszą zupełną całość. Świetném piórem wytwornego stylisty kreśli autor, zaczynając od Tarentu, dziwne koleje i charakterystyczne cechy osad greckich na zachodniem wybrzeżu zatoki, nawiązując do téj dalekiéj przeszłości późniejsze wypadki i wycieczki naukowe we wszystkich kierunkach, w jakich się obraca jego różnostronna wiedza. Tém bardziéj żałować trzeba, że odjęta możność poważnéj kontroli nie pozwala czytelnikowi dostatecznie korzystać z niezmiernego bogactwa nowych szczegółów, jakie w książce spotyka—jakkolwiek dotychczasowe gruntowne i źródłowe prace autora byłyby w stanie dać porękę i téj, gdyby w ogóle wolno było w nauce wierzyć na słowo.

W obec zupełnego braku podstawy, na któréj dałaby się oprzéć krytyka źródłowa książki p. Lenormant, ścisłego jéj rozbioru i uzasadnionych zarzutów mógłby się podjąć jedynie ktoś równie oznajmiony z przedmiotem i z odnoszącym się do niego materyałem naukowym, jak sam autor. Natomiast zdało mi się, że podniesienie tych szczegółów książki, które się dadzą sprawdzić przy zestawieniu z in-

nemi źródłami nie będzie może pozbawionèm interesu. Spróbowałem je zużytkować do odmiennéj całości, zatrzymując się na podstawie Lenormanta wraz z Curtiusem i Niebuhrem przy kilku główniejszych momentach rozwoju wpływów greckich na południowéj części półwyspu Apenińskiego. Nie mając pod ręką ani prac nowszych Helbiga, ani dawniejszych ks. de Luynes, głównych i prawie wyłącznych powag co do archeologii grecko-italskiéj na które powołuje się p. Lenormant, zmuszony byłem całą odnośną część jego dzieła pominąć milczeniem, ograniczając się przebiegiem wypadków historycznych i prądów cywilizacyjnych.

I.

U południowych swoich kończyn, począwszy od *Monopoli* i *Polikastro* półwysep Apeniński rozdziela się na dwie odnogi, obejmujace w czworobok zatokę Tarentyńską. Jedna z tych odnóg przedłuża ten sam południowo wschodni kierunek, w jakim od ujścia *Po* równolegle do dalmackich brzegów idzie półwysep—druga wykręca się ku zachodowi i łamie w kapryśnych zagięciach przy Sycylii i Liparyjskich wyspach. Główny łańcuch Apenninów rozdzielający wzdłuż Włochy całe na dwie odmienne połowy, towarzyszy téj ostatniéj odnodze i kończy się aż za morzem wysokiemi szczytami gór Sycylijskich — w przeciwną stronę, ku Otranto, biegną mniejsze tylko odrośle pagórków.

Ten sam dwoisty charakter, jaki Apenniny nadają Włochom całym, stanowi cechę tych południowych kończyn półwyspu. Ku Adryatykowi schodzą ustępami góry rzadko lasem pokryte, częściéj nagie, wypalone od słońca, świecące białemi skałami. W dole idzie linia brzegów równo, regularnie, bez zatok i portów. Kraj cały ma dzikie, melancholiczne piętno, coś, co przypomina skaliste brzegi Morei albo równiny bulgarskie nad morzem Czarnem i ujściami Dunaju. Mało wody; po za *Pescaro* ani jednéj znaczniejszéj rzeki, tylko kilka górskich strumieni, wysychających latem, spływa ku morzu.

Zachodni brzeg półwyspu wije się cały w lekkich zakrętach i zagłębieniach, przedstawiając co chwila przystań bezpieczną i wchodząc w morze ostremi językami ziemi. Nad samym brzegiem, częściéj jeszcze w pewném oddaleniu, grupują się malowniczo faliste linie pagórków, między któremi przeglądają dalsze wierzchołki. Na górach rosną mirty i migdały, szarzeją srebrzyste liście gajów oliwnych i głębszemi tonami mieni się zieleń dębów i klonów. Gdzieniegdzie tylko dla odmiany fale morza obijać się będą o mętną, jed-

nostajną równinę rzymskiéj Kampanii, albo o niezdrowe trzęsawiska na południowéj stronie zatoki Salerno.

Pomiędzy temi dwoma typami kraju, z których jeden zdaje się wciąż uśmiechać wśród wieńców z kwiecia i zieleni, a drugi patrzy posępnie i surowo obnażonemi stokami gór swoich na wesołe wyspy Jonii i mgły szarzejące w dali od albańskich wyżyn, — za łącznik i ogniwo służy zatoka Tarentyńska. Główne pasmo Apenninów przechodząc w górze po nad nią ku *Reggio*, oddziela jéj brzegi od zachodniéj połowy półwyspu, okrążając je swemi rozgałęzieniami jakby wyniosłym amfiteatrem między którym tu i owdzie ścielą się nad wodą zielone równiny. Linie brzegów równie urozmaicone, jak w Neapolitańskiéj Kampanii, morze wrzyna się czasem aż w głąb lądu, tworząc słone jeziora — kraj zdumiewa miejscami zwrotnikowém niemal bogactwem roślinności, któréj nie starczy gdzie indziéj na nędzną trawę między skałami. Składowe czynniki jednego i drugiego brzegu zcierały się tu z sobą tworząc mozaikę różnobarwną, pełną jaskrawych przeciwieństw i gwałtownych przeskoków.

Pomimo spotykających się w nim co chwila rozdźwięków i dzikości, kraj jest wszędzie piękny, a oryginalny jego urok przewyższa nieraz najsłynniejsze z malowniczości okolice półwyspu. Liczne źródła i potoki odświeżają równiny nadmorskie, tak żyzne, jak przy Neapolu albo w dolinie *Po*. W niższych miejscowościach z zepsuciem lub zamuleniem kanałów, któremi w starożytności ściągano wody i osuszano grunta, opustoszały znaczne przestrzenie, dawniéj uprawiane jak najpiękniejszy ogród i tylko trzody bydła pasą się na trzęsawiskach zarosłych trawą bujną, między którą gdzie niegdzie przeglądają wielkie płachty stojącéj wody. Febry i zgniłe gorączki panują tu wszechwładnie. Cała ta część kraju jest zupełnie bezludną, w reszcie co lato zatrute wyziewy z bagnisk dziesiątkują mieszkańców. Uprawa roli, zwłaszcza na takich opustoszałych przestrzeniach, jest prawdziwą walką na życie i śmierć i z kilkuset robotników pracujących w polu, co dzień zabójcze promienie słońca lub niezdrowe mgły wieczorne zabierają nowe ofiary.

Nic nie może dać wyobrażenia o nędzy, ucisku, zdziczeniu ludności. Nagi Lazzaron neapolitański, wylęgający się na *Chiaia* i *S. Lucia*, ma codzień bez pracy garść makaronów i fig świeżych—wieśniak kalabryjski pracować musi przez całe życie jak bydlę robocze, żeby zaspokoić nietyle nieobecnego właściciela gruntów ile raczéj całą drabinę dzierżawców, eksploatujących częściami czynsz i pańszczyznę, podobnie jak to się dzieje w Turcyi z podatkami. Niema kraju w którymby prawo mniéj się opiekowało niższemi warstwami społeczeństwa, i nigdzie téż cyniczny egoizm liberalnego mieszczaństwa

nie uwydatnił się jaskrawiéj, jak w ustroju zjednoczonych Włoch. Wierzenia religijne, zupełny brak potrzeb i dobroduszność wrodzona ograniczyły dotychczas wybuchy przewrotnych dążności do kilku sporadycznych objawów mistyczno-socyalistycznego sekciarstwa.

Trzeba widzieć chłopów południa zaprzężonych w pługi, noszących z bagnisk błoto na pole w koszach, z których czarne smugi spływają im nieustannie na głowę i ramiona; trzeba wejść do nór z ziemi i liści albo walących się gołębników kamiennych, do których wracają na noc, żeby ocenić ich nędzę i poniżenie. Pomimo to, lud ten ma wiele wrodzonych zdolności, instynkt piękna niemniéj rozwinięty jak w Rzymie i Toskanii, pewną szlachetność, któréj błaznującemu i zepsutemu Neapolitańczykowi brak zupełnie. Gościnność jego weszła w przysłowie na równi z polską i szkocką; kradzież niewiele częściéj się zdarza jak na muzułmańskim Wschodzie. Prawda, że bandyta królujący do niedawna jeszcze wśród gór w oczach wieśniaka, podziwiającego jego czyny, wyrastał na takiego samego bohatera, jakim był dla chrześcian serbskich i bośniackich hajduk z Czarnéj góry; ale téż położenie czynszownika wobec klas wyższych, przeciw którym wyłącznie zwracała się nienawiść rozbójników, nie wiele się różni od stosunków *rai* do tureckich bejów. Dotąd jeszcze codzień się zdarza, że wyrzucony bez powodu z gruntu wieśniak albo syn jego, któremu *fattore* uwiódł gwałtem narzeczonę, uderza idącego wieczorem między żebra sztyletem lub kulą z za krzaka i ucieka w góry, żeby tam zasłynąć jako nowy bohater albo po kilku miesiącach wrócić do swéj wioski.

Ze sztyletem u pasa i strzelbą przewieszoną przez plecy, w kapeluszu spiczastym nasuniętym na czoło, z pod którego wyglądają czarne, ponure oczy i smagła twarz, obrosła cała, wieśniak każdy z okolic Tarentu lub Reggio mógłby pozować jako typ bandyty. W krwi mu pozostały resztki dumy i energii przedsiębierczych greckich plemion, których reminiscencye odbijają dotąd w jego mowie. Jest to jedyny z Włochów, który nietylko o jałmużnę nie prosi, ale jéj zazwyczaj odmawia. To co ma, wydaje z łatwością na zabawę, na festyny i illumacye po odpustach i jarmarkach, na jaskrawe wstążki i stroje. Pieśni jego miłosne są pełne poezyi i wdzięku; tworzą się z nich oktawy z rytmem poprawnym, bo omyłki nie zniósłby śpiewak ani słuchacze, choć żaden z nich nie wie nawet, jak wyglądają nuty.

Wsi, podobnie jak w większéj części Włoch, niema tu wcale. Po wzgórzach i polach porozrzucane pojedyńczo fermy, nędzne i brudne, opustoszałe z pozoru daleko więcéj od sąsiadujących

z niemi kamiennych wieżyc, z których co jesień możniejsi właściciele całemi dniami strzelają na ptaszki po stokach gór i nad morzem; dużo miasteczek, również nędznych i brudnych ale czasem dość ludnych. Od Tarentu począwszy brzegiem zatoki idzie kolej aż do Reggio dotykając znaczniejszych miejscowości. Minąwszy rzekę *Bradano* najznaczniejszą z wpadających do zatoki Tarentyńskiéj spotykamy *Policoro*, koło miejsca na którém się wznosiła Heraklea, *Cassano* na miejscu *Cossa* Pelazgów, a w górach nad niém również starożytne, ożywione mieściny *Murano* i *Castrovillari*. Daléj trochę leży jedno z pierwszych gniazd normandzkich we Włoszech *S. Marco*, a za niém najludniejsze miasta téj części wybrzeża, *Corigliano* i *Rossano*. W środku kolonii Albańskiéj, która odtąd zachowała obyczaje i dyalekt ojczysty, podobnie jak wszystkie inne kolonie rozsypane po południu Włoch, znajduje się *Spezzano albanese*. W pobliżu świątyni Hery Lakinii, *Cotrone* zajmuje zwaliska sławnéj stolicy Pitagorejczyków, a za niém malownicze i bogate *Catanzaro* łączy właściwości kalabryjskich miasteczek z tendencyami do europejskiego miasta.

Kraj cały, nawet w reszcie Włoch nieznany prawie zupełnie po za obrębem Tarentu, nie mający ruchu handlowego, nie zdolny wyzyskać bogactw, jakie się w nim znajdują. Rząd o te „Calabrie lontane" nie troszczy się wcale, zostawiając je bez szkół i dróg; zamożniejsi właściciele ziemscy na jesień tylko zjawiają się dla polowania; zrzadka gazety neapolitańskie i rzymskie donoszą o jakiéjś większéj *coltellacie* albo nowym „królu gór" i na tém się kończy stosunek Kalabryi ze światem cywilizowanym.

Taką jest dzisiejsza postać kraju, który przez długie wieki był równolegle z państwem Etrusków ale w większych rozmiarach ogniskiem kultury i ruchu handlowego na półwyspie.

Z potężnych kolonij greckich, przedstawiających nam obraz dojrzałych organizmów państwowych w chwili gdy Rzym był w pierwszym swym zawiązku, nie zostało żadnych prawie śladów. Kilka ruin, trochę monet i naczyń znalezionych w grobowcach, parę napisów—oto cały materyał, z którego czerpać można chcąc odtworzyć sobie ten świat dziwny, pełen blasków i czaru. We mgle wieków gubią się jego zarysy, czasy i ludzie promienieją legendowém światłem— i nie łatwo wśród fantastycznych baśni i heroicznych podań odnaleść ścieżki, któremi szły, rozwijały się i chyliły do upadku cywilizacyjne prądy sąsiedniego Wschodu, odbijające się potężną falą na tém wybrzeżu pomiędzy dwoma morzami.

II.

Niema może ciekawszéj karty w dziejach od losów téj garstki ludzi, skupionéj na kilkunastu obrywkach ziemi i wyrywającéj się wciąż w dal nieznaną, z gorączką dziwną i odwagą, któréj prawie uwierzyć trudno. W pierwszym tomie swojéj historyi E. Curtius wprowadza nas do wnętrza tego greckiego ula, z którego we wszystkie strony świata rozlatywały się roje pszczół przemyślnych i pracowitych, niosąc za morze dalekim lądom nadmiar swoich sił żywotnych i owoce ojczystéj kultury. Pierwszym ich celem były najbliższe Archipelagu wybrzeża Azyi mniejszéj. Żywioł grecki rozwinął się tam z niezwykłą szybkością i siłą i wkrótce Milet ze swemi czterma portami i niezliczonemi zastępami miejscowych żeglarzy, z których mogła się oddzielna potężna partya „morska" utworzyć, stał się punktem środkowym handlu greckiego. Ztąd poszły na północ i na południe drogi handlowe, któremi wpływ grecki przedzierał się nad brzegi Nilu i Borystenu. Począwszy od morza rozszerzyły się powoli kolonie Miletu na południowéj stronie Euxynu: między niemi słynna *Synopa* i *Kyzicos*; na północnym brzegu morza *Odessa* nad limanem Teligulskim, *Olbia*, *Tyras* przy Dniestrze, *Tanaïs* w pełnym niebezpieczeństw kraju okrutnego scytyjskiego plemienia *Maitów*. Przez te kolonie szły mileckiemi statkami na południe kosztowne towary krain północnych, bursztyn z nad Baltyku, złoto z gór Uralskich, futra rzadkie z puszcz scytyjskich.

Z drugiéj strony wyprawy mileckie opierały się o Egipt — chociaż przy panującym tam systemie odosobnienia i surowości dla cudzoziemców, niebezpieczeństwa i trudności wyrównywały tym, z jakiemi walczyć trzeba było w dzikich krainach Scytów. Aż do Psammetycha kupcy greccy mieli sobie wyznaczone przez Faraonów jedno tylko miejsce dla wyładowania towarów; dopiero po upadku etyopskiéj dynastyi i rozdziale kraju pomiędzy kilku tuziemnych książąt, pod wpływem asyryjskim polepszyły się warunki i Grecy mogli się osiedlić na oddanym im lennie przez Psammetycha Peluzyjskim brzegu Nilu, dając początek téj mieszanéj ludności, która późniéj miała zająć miejsce dragomanów całego Wschodu.

W handlu z Zachodem spotykały się z sobą dwa rywalizujące wpływy Jonii i Eubei. Jako najbardziéj wysunięta na północ przednia straż hellenizmu, *Korcyra* miała niepospolite znaczenie. Dwie drogi handlowe ztąd wychodziły a z niemi podwójny prąd emigracyjny: jedna dążyła wschodnim brzegiem Adryatyku do Illiryi i Istryi, drugiéj celem był przeciwległy brzeg włoski, tak bliski, że na nim

łatwo było dostrzedz wśród obłoków wierzchołki Apennin. Ta część półwyspu, ostrym klinem wschodząca w morze Jońskie, oddawna zamieszkana była przez pochodzących z Krety Messapijczyków, których greckie tradycye ułatwiały stosunki i kolonizacyą nowym przybyszom.

Żeglarze dwóch handlowych miast na Eubei, *Eretryi* i *Chalcis*, zwrócili się przedewszystkiém ku południowym i zachodnim brzegom półwyspu, monopolizując w swych rękach stosunki handlowe Grecyi i Azyi mniejszéj z morzem Tyrreńskim. Dalsze części Sycylii i najlepsze punkta handlowe były już pozajmowane przez Fenicyan; po założeniu dwóch pierwszych osad greckich w Sycylyi i Włoszech, *Naxos* i *Kumy* w Kampanii, Chalcydejczycy postarali się przedewszystkiém o zamknięcie wejścia do Tyrreńskiego morza innym żeglarzom greckim i wschodnim, zajmując obydwa brzegi Messyńskiéj cieśniny swemi osadami *Rhegion* i *Zankle* (dzisiejsza Messyna). Wiedzieli przytém dobrze że okrążenie Sycylii południowemi brzegami było również niemożliwém, tutaj bowiem strzegli zazdrośnie morza przeciw cudzoziemskim okrętom Kartagińczycy, osiedleni w *Melicie*, *Gaulos* (*Gozzo*) *i Cossyrze* (dzisiejsza *Pantellazia*). W ten sposób dopiero we dwa wieki późniéj i jak się zdaje nie bez poprzedniego porozumienia i zgody ze strony Chalcydejczyków, już zresztą wtedy bardzo osłabłych, w VI stuleciu puszczają się na Tyrreńskie morze Focejczycy i zakładają na zachodnim brzegu półwyspu włoskiego *Velię* i *Pizę*, wśród Gallijskich Ligurów *Massalię* i aż na południowych krańcach Hiszpanii rywalizują zwycięsko z monopolem kartagińskim.

Jeżeli jednak interesa handlowe Chalcydejczyków pociągały ich głównie ku Tyrreńskiemu morzu, dla reszty Greków, niemających dostępu na tamtą stronę półwyspu, nie chcących téż rywalizować z kupcami i kolonistami z Korcyry na wschodnim wybrzeżu, zostawała wolną jedna tylko zatoka, Tarentyńska. Okolice jéj słynęły oddawna z urodzajności, fenickie okręty zawijały tu często po produkta miejscowe a zwłaszcza po purpurę, nie zostawiając jednak stałych osadników. Mieszkańcy większéj części tych wybrzeży Enotryjczycy, wedle podań zebranych późniéj przez kolonistów Wielkiéj Grecyi, wywodzili swój początek od głównéj emigracyi Pelazgów na dwa tysiące lat przed naszą erą. Rzeczywiście w religii ich i tradycyach odnaleść można wspólne pierwiastki z Pelazgami greckimi. Jak się zdaje, opanowali ich później przybyli z północy Sykulowie, gałęź aryjskiego szczepu Ligurów, odepchnięta następnie do Sycylii nowonapływającemi falami ludów Auzońskich. W początku VIII w. przed Chr. Enotryjczycy byli znów niezależni i zajmowali zachod-

nią i północną część zatoki granicząc na samém południu z Sykulami, otaczającymi obie strony Messyńskiéj cieśniny, z Chonami rozciągającymi się na Północ i Wschód w równinach bliskich Tarentu, wreszcie z Messapijczykami i Salentynami, którzy zaludniali całą wschodnią końcową odnogę półwyspu.

W tym czasie rozwinął się w Grecyi z niewidzianą przedtém ani później siłą prąd emigracyjny, który się skierował bardzo naturalnie do tych niezajętych jeszcze przez Greków wybrzeży, pełnych wówczas śladów dawnéj greckiéj kultury, pamiątek i wspomnień schronionych tu po upadku ojczystego miasta kolonistów Trojańskich. Emigracya ta nosiła całkiem odmiennny od dotychczasowéj charakter. Wychodziła nie z wielkich ognisk handlu i żeglugi, jak tamte i na celu miała nie opanowanie w danym punkcie handlowych stosunków, ale raczéj stworzenie sobie nowéj ojczyzny z czynników składowych dawnéj. Zwycięstwo Achejczyków w Peloponezie wywołało wśród dawnych jońskich plemion dość ogólne wychodźtwo, przy którém uderza dziwny fakt, niedostatecznie wyjaśniony przez Curtiusa i Lenormanta, że przywództwo całego ruchu dostaje się wkrótce w ręce Achejczyków i wpływ ich urządzeń, obyczajów i pojęć wyciska się znamienną cechą na osadach, zawdzięczających ruchowi temu swe powstanie. Curtius wprawdzie przypuszcza w początkach dwa odrębne prądy, z których jeden joński, skupił się przeważnie około Sybaris, a drugiego wyrazem stała się Krotona. W każdym razie jednak zlanie się tych prądów i przewaga zupełna achejskiego pierwiastku nastąpiła bardzo szybko. Wybitnie za to odróżnia się dorycki pierwiastek w trzeciém wielkiem ognisku kolonizacyi greckiéj VIII w., w założonym przez Lakończyków Tarencie, jakkolwiek i on zostawał pod achejskim wpływem, i sądząc z pozostałych monet, do wielkiéj federacyi republik wielko-greckich należał.

Na około tych trzech głównych punktów powstawać zaczęły wkrótce mniejsze osady, bądź jako ich kolonje, bądź jako punkt oparcia nowych fal napływających z Grecyi. Tak na miejscu dawnéj siedziby Trojan, jońscy koloniści założyli *Siris*, tak Sybaryci dali początek *Metapontowi*, mającemu być przednią strażą Achejskich wpływów na granicy doryjskich mieszkańców Tarentu; tak odnowione rojami greckich przybyszów, zhellenizowały się stare grody, wywodzące swój początek od wracającego z pod Troi Filokteta — *Petelia*, *Crimisa*, *Macalla*, *Chone*; z emigrantów greckich powstały również *Scylletion* i *Locri*. Wbrew Chalcydyjczykom, których kolonje były tylko handlowemi faktoryami, kolonizacya grecka tych wybrzeży nosiła poważną polityczną cechę, dążyła prze-

dewszystkiém do rozszerzania się w głąb kraju, do opanowania tuziemnych żywiołów i stwarzania sobie coraz to nowych centrów działania i wpływu. W innych krajach, takich nawet gdzie Grecy zakładali stałe i potężne osady, polityka podobna trudną byłaby do przeprowadzenia — w Egipcie byli wobec wiele starszéj cywilizacyi i silnie zorganizowanego społeczeństwa, które ich tylko jako kupców i tłómaczy cierpiało w pośrodku siebie; na całém wybrzeżu między Egiptem a Azyą mniejszą działalność ich hamowała potężna rywalizacya; nad Euxynem i w Galii mieli do czynienia z bitnemi plemionami tuziemców, których z trudnością mogli odeprzéć. Tutaj przeciwnie, plemiona enotryjskie, w których kraju skupiła się kolonizacya grecka z téj epoki, poddawały się bez oporu, odżywiały dawne swoje tradycye pochodzenia bądź od greckich Pelazgów, bądź od Trojan, spieszyły przejmować język, obyczaje i religijne wierzenia przybyszów. Do sympatyi rasowéj i wrodzonéj łagodności plemion tych pasterskich i rolnych, dołączało się zapewne długoletne przyzwyczajenie do jarzma Sykulów i innych z północy napływających szczepów.

Bez przeszkody więc mogli się rozszerzać grecy koloniści. Najbardziéj na północ wysunięty i najszczęśliwiéj ze wszystkich położony przy olbrzymim porcie Tarent, rozwijał wpływy swe handlowe i polityczne w górę po brzegach Adryatyku i wschodnich stokach Apenin, pośrednicząc równocześnie w handlu téj części Włoch z Grecyą przed wzrostem *Brundisium*. Panowanie jego obejmowało całą wschodnią kończynę półwyspu, gdzie z dwóch stron Tarentczycy założyli wielkie kolonie *Callipolis* (Gallipolis) i *Hydrantum* (Otranto) żeby strzedz zatoki Tarentyńskiéj i morza Jońskiego; na zachodniéj stronie zatoki naprzeciw Tarentu wzmogła się ich potężna i świetna kolonia *Heraklea*; na północy zaś od napaści plemion wojowniczych ze środka Włoch bronił ich szereg fortów i osad w górach Samnickich. Sybaryci przeszli na tamtą stronę Apenin i zacząwszy od założenia obszernego portu *Laos*, dla stosunków handlowych z Etruryą i całém Tyreńskiém morzem, puścili się w górę, opanowując całe to wybrzeże aż do najbardziéj na północ leżącéj z ich dwudziestu pięciu kolonii — *Poseidonii-Pestum*. Krotończycy wreszcie opanowali całą dolną część zachodniéj odnogi półwyspu, hellenizując na północy owe miasta Filokteta, o których mówiliśmy przed chwilą, a na południu w pobliżu zajętego przez nich *Scylletionu* tworząc nową osadę *Caulonia*. Podobnie jak Sybaryci, i oni także przeszli Apeniny, zajmując silne pozycye nadbrzeżne, dla opanowania téj części Tyreńskiego morza, która obecnie nosi nazwisko zatoki S. Eufemii. Założyli tam własne osady i zawojowali miasta tuziemców.

Zarówno te trzy wielkie republiki jak i mniejsze miasta i kolonie rozwijały się każda w pewnym, sobie tylko właściwym, kierunku; żyły życiem samodzielném, stosownie do odrębnych swych interesów i potrzeb. Jedne zajmowały się handlem lub pośrednictwem handlowem jak Tarent a zwłaszcza Sybaris; w innych kwitnął przemysł i rzemiosła; inne jeszcze, leżące jak *Pandosia* wewnątrz kraju oddane były przeważnie rolnictwu. Ogniwem łączącém wszystkie, była religijna i polityczna tradycya, wyniesiona z Achei. Achejskie prawa służyły za jednostajną podstawę ustroju każdéj z republik; kult *Zeusa Homariosa*, opiekuna Achei panował w równym stopniu we wszystkich. Potężniejszym jeszcze łącznikiem była świątynia *Hery Lakinii* na przylądku bliskim Krotony. Dawniéj plemiona miejscowe czciły tam wielką boginię enotryjską, *Vitulię*, która pod postacią krowy służyła za małżonkę głównemu bogu, odpowiadającemu w byczéj formie *Dionizosowi* u Greków. Koloniści greccy na tę *Vitulię* przenieśli kult *Hery* z rodzinnego *Argos* i świątynię jéj zrobili punktem środkowym swego religijnego i politycznego życia. Tutaj wylądowywali naprzód ich żeglarze, powracający z wypraw dalekich, tu składano przywożone z obczyzny towary, tutaj odbywały się pod kierunkiem krotończyków uroczystości i procesye, na które wszystkie miasta Italiotów przysyłały ofiary i poselstwa umyślnie w tym celu utrzymywanemi gościńcami świętemi. W ten sposób pomiędzy wszystkiemi grekami tworzył się węzeł stały, mający zarówno państwowe jak religijne znaczenie. Zewnętrznym jego wyrazem była jedność monetarna, któréj ślady napotykamy w numizmatach różnych miast z podobnym wizerunkiem Hery Lakinijskiéj, z rozpuszczonemi włosami i metalowym dyademem na czole, przejętym od Hery Argijskiéj, zdobnym w palmy, kwiaty i wystające gryfy.

III.

W historyi każdéj bez wyjątku osady w Wielkiéj Grecyi uderza nas jeden ciekawy szczegół: wszystkie wyprowadzają swój początek bądź od bajecznych greckich półbogów i bohaterów, bądź od kolonistów z różnych stron Grecyi tu przybyłych, o wiele wieków przed emigracyą z VIII stulecia. Jakkolwiek tradycye te mają przeważnie mityczny charakter, nie ulega przecie wątpliwości, że osadnicy greccy starali się wyszukiwać sobie takie siedziby do których się wiązały jakieś rodzinne ich legendy albo też łączyć się z tuziemnemi grodami, założonemi przez Greków. Co więcéj, zarówno oni jak późniejsi osadnicy rzymscy, którzy się osiedlali na miejscu zniszczonych do

szczętu miast greckich, starali się przeważnie zakładać nowe siedziby nie obok dawnych, ale na samych ruinach, tak że obecnie, chcąc poszukiwać zagrzebanych najstarszych zabytków, trzeba przechodzić przez parę piątr okrywających je szczątków osad późniejszych. Źródło tego zjawiska leżało niewątpliwie w religijnych wierzeniach bardziéj jeszcze niż w uczuciu rasowem: budując się na miejscu, które posiadało niegdyś swoich bogów opiekuńczych a zapewne nieraz i ich głośne świątynie, nowi przybysze oddawali się niejako pod ich opiekę i stawali się spadkobiercami szczęśliwych losów swoich poprzedników.

W ten sposób na miejscu Sybaris podania kładły w dalekiéj starożytności osadę rodyjską, inne znów kolonię Lokryjczyków, ubarwiając ich założenie dziwacznemi podaniami, z których jedno o smoku Sybaris, przeznaczonym dla niego na ofiarę młodzieńcu Alcyonie i mężnym zabójcy smoka Eurybatosie, w mało zmienionéj formie powtarza się wiele razy w starożytności a nawet i w wiekach średnich. (Legenda o rycerzu rodyjskim L'Isle-Adam i zabitym przez niego potworze). Znaną była na południu Włoch świątynia narodowego boga Rodyjczyków, Apolina Heliosa, czczonego tutaj i pod jego skrzydłami osiadła nowa kolonia, przybyła z wielkim prądem emigracyjnym VIII w. z Achai.

Żadne z miast założonych w tym czasie nie miało równie szczęśliwego położenia. Na środku drogi, pomiędzy punktem w którym brzeg zatoki zaczyna iść na dół po zachodniéj stronie a przylądkiem *Lakinion*, linia brzegów tworzy zagłębienie w półkole, przedstawiając port ogromny i bezpieczny. Nad morzem rozciąga się szeroka, falująca lekko równina, zamknięta w głębi łańcuchem gór, podnoszących się ustępami coraz wyżéj, aż do najwyższego szczytu *Sila*, który na południu zatoki ostrym klinem wchodzi w morze. Wązkie szczeliny rozdzielają góry, pozwalając przedrzéć się wędrowcowi na ich przeciwną stronę, ku Tyrreńskiemu morzu. Ziemia tak się zwęża w tém miejscu, że tworzy rodzaj międzymorza i pomimo trudnéj drogi wśród gór, ledwie dwóch dni potrzeba dla dostania się z jednego brzegu na drugi. Z wąwozów między skałami spływają na dół dwie rzeki, dodając swą wilgocią urodzajności płaszczyznie, najobfitszéj ze wszystkich na brzegach zatoki.

Pomiędzy temi rzekami, które otrzymały nazwy *Crathis* i *Sybaris*, osiedlili się przybysze z Achai i pośpieszyli skorzystać z niezwykłych warunków swego położenia. Jedynym przykładem w dziejach jaśnieje istnie czarodziejski wzrost Sybaris. W sto lat po założeniu widzimy ją miastem mającém 300.000 ludności, z których 100.000 wolnych obywateli. Mury graniczne same ciągną się 50 stadyów

(9 kilom.). Handel całego południa półwyspu skupia się w jéj rękach. Prawie aż pod Neapol dzisiejszy sięga jéj panowanie, któremu się poddały bez oporu wszystkie ludy tuziemne i ich miasta. Jako przednie straże państwa Sybarytów wznoszą się: na północy Siris i Metapont nad zatoką Tarencką, Poseidonia trezeńska nad Tyrreńskiem morzem. Na południu aż do Krotony docierają ich wpływy i władza.

Rozpatrując się w przyczynach fantastycznego prawie podniesienia się miasta, łatwo się przekonać, że najważniejszym czynnikiem było ukształtowanie w owym czasie stosunków handlowych Grecyi i Wschodu z Włochami i sprowadzenie ich, dzięki założeniu Sybaris, na nowe całkiem tory. Była to chwila największego rozkwitu handlu zagranicznego we Włoszech środkowych. Założone tam w X w. państwo Etrusków wzrosło szybko do rzadkiéj potęgi i bogactwa. Arystokratyczny jego ustrój wytworzył w nim liczną warstwę ludności z wytwornemi instynktami, z przyzwyczajeniem i potrzebami zbytku, którym miejscowy przemysł nie był jeszcze wstanie odpowiedziéć. Z południa więc i ze wschodu poszły drogi handlowe Kartagińczyków, Fenicyan i Greków, którzy przywozili bogatym panom etruskim kosztowne towary swoich krajów, klejnoty złote i srebrne, rzadkie sprzęty domowe, naczynia metalowe i gliniane, malowane ozdobnie, delikatne tkaniny, kość słoniową. W zamian powracające statki ładowano tuziemnemi produktami, zacząwszy od miedzi ze słynnych kopalni etruskich.

Żegluga na tych morzach dalekich połączoną była z licznemi niebezpieczeństwami, raz z powodu niezmiernego mnóstwa rozbójników wodnych, grasujących szczególniéj na Tyrreńskiem morzu, którego imieniem jeszcze w parę wieków późniéj Sofokles nazywał Scyllę w swéj *Medei*, powtóre zaś dla nienawistnéj konkurencyi walczących z sobą o pierwszeństwo narodów kupieckich. Pomimo to zyski były tak znaczne, że na żeglarzy odbywających te wycieczki, patrzano z zazdrością—w Grecyi szczególniéj monopol Eubejczyków na morzu Tyrreńskiem drażnił kupców jońskich, którzy towary swe i polityczne wpływy roznosili z jednéj strony na spiekłe piaski nad Nilem z drugiéj do scytyjskich puszcz i stepów. W VIII w. Milet był największém i najbogatszém z miast greckich. Żeglarze tworzyli najbardziéj wpływową warstwę jego ludności. Założenie Sybaris dało im pożądaną sposobność stworzenia sobie nowéj drogi handlowéj, zyskowniejszéj od wszystkich, jakiemi dotąd chodziły ich statki.

Znaném jest znaczenie i bogactwo, jakie Korynt zawdzięczał swemu położeniu na wązkim przesmyku, między dwoma morzami,

nad któremi panowały jego porty. W najdawniejszych czasach już urządzili tu przemyślni Fenicyanie kantor handlowy, pośredniczący w przeładowywaniu towarów z okrętów przybywających do jednego portu na inne, czekające w porcie przeciwnym. Oszczędzało to im długiéj i niebezpiecznéj podróży na około Peloponezu. Późniéj pośrednictwo to wzięli koryntczycy w swoje ręce i stali się, dzięki jemu, panami handlu między morzem Jońskiem a Archipelagiem.

Położenie Sybaris niewiele różniło się od tego jakie zajmował, Korynt. Dzięki otwartéj przez góry drodze do *Laos* i opanowaniu przez Sybarytów całéj téj części brzegów morza Tyrreńskiego towary, wylądowane na brzegu Tarentyńskiéj zatoki, dostawały się z łatwością na okręty etruskie, czekające po drugiéj stronie wązkiego lądu. Nie wchodząc w drogę chalcydyjczykom strzegącym zazdrośnie morza Tyrreńskiego za pośrednictwem Regionu i Zankle, handel Miletu mógł w ten sposób przynosić z pierwszéj ręki Włochom środkowym ulubione tam wówczas, jak to widzimy z przedmiotów pozostałych po grobowcach, wyroby asyryjskie i egipskie, niemniéj jak i ich naśladownictwa z wysp Archipelagu; nadewszystko zaś nieznane przedtem zapewne i jemu tylko dostępne produkta krajów leżących nad Euxynem, albo przysyłających zdala swe karawany do tamecznych osad greckich, futra z ziemi Scytów, bursztyn z nad Baltyku, złoto i minerały kosztowne z Uralu. Sybaris stawała się wielkim rynkiem, w którym nie parę bliskich krajów jak w Koryncie, ale Wschód cały i najdalsza Północ spotykały się z Italią i całym Zachodem. W tych warunkach zbyteczném było mieć własny handel przemysł i wywóz, samo stanowisko pośredniczące między spotykającemi się tu żywiolami, wystarcza dla wytłómaczenia wielkich bogactw i niesłychanego rozwoju szczęśliwego miasta.

Zdaje się jednak że przez długi czas Sybaryci nic nie zaniedbywali, żeby ze swojéj strony przyczynić się do zwiększenia czynników swego powodzenia. Dolina Sybaris, obecnie okryta trzęsawiskami i wyludniona śmiertelnemi ich wyziewami, została umiejętnie osuszoną przez przeprowadzenie całego systemu kanałów idących do morza i zmienioną w jeden ogród, w którym zboże dawało plon stokrotny. Wystarczało ono zaledwie na potrzeby ogromnéj ludności, rojącéj się w stolicy i naokoło niéj, ale za to przedmiotem znacznego wywozu były słynne wina, doskonała oliwa, wełna i skóry z ogromnych stad pasących się po górach, srebro z bogatych kopalni w dolinach rzek *Crathis* i *Trionto*. Inżynierowie zdolni, Sybaryci pierwsi z Italiotów połączyli główne punkta swego państwa równemi, szerokiemi drogami, ułatwiając sobie w ten sposób zarówno handel jak i rządy. Pomimo uległości łagodnych plemion enotryjskich,

otoczyli je, po obu brzegach morskich oraz w ważniejszych stanowiskach strategicznych wewnątrz kraju, koloniami swemi i fortecami. Dla wzmocnienia się coraz nowemi siłami, przyjęli za zasadę udzielać praw obywatelskich każdemu, kto do nich przybywał z ich ojczyzny, wbrew zwyczajowi panującemu w innych osadach. Jednocześnie jednak, dla utrzymania jednolitego charakteru stolicy i ochrony panującego w niéj pierwiastku szczepowego, od zatopienia przez inne lub walki z niemi, znaczniejsze oddziały emigrantów, przybywające z innych niż Achaja prowincyi, nie były przypuszczane do saméj Sybaris, ale z jéj pomocą i opieką, na zależnych od niéj terytoryach zakładały odrębne kolonie.

Nie odrazu zatém zasłużyli mieszkańcy największego z miast wielkiéj Grecyi na zarzut zniewieściałości, tak stale spleciony z ich imieniem w naszych czasach. Jak inne miasta, i ich stolica miała swoję epokę bohaterską i pełną czynów—jak u innych także upadek jéj spowodowany został wewnętrznym rozkładem raczéj niż obcą przemocą. Tylko, że jak wzrost i świetność przeszły z szybkością błyskawicy i dosięgły bajecznych rozmiarów, tak i o tym rozkładzie opowiadają rzeczy, nigdzie indziéj nieznane, a wynikła z niego katastrofa przeszła wszystko bodaj, co przedtem znały dzieje greków.

Oczywiście że świadectwa zepsucia Sybarytów, podawane przeważnie przez rzymskie źródła, przyjmować należy z tém samem zastrzeżeniem, co wszystkie zarzuty, zwrócone przeciw Grekom italijskim przez ich uprzedzonych zwycięzców. Nieda się jednak zaprzeczyć, że bogactwo bez pracy rozwinęło szybko u Sybarytów gorączkę używania, zmieniając wytworność obyczajów w zbytek nierozsądny i wyuzdanie. Dzieci małe ubierano już w purpurę i złote dyademy—z dorosłych nikt nie mógł włożyć na siebie innéj odzieży, oprócz słynnych z delikatności i haftów bogatych tkanin Mileckich, które wówczas uważano na całém Pomorzu śródziemném jako ostatni wyraz elegancyi i zbytku. Jednę z takich sukien, sprawioną przez Sybarytę Alcystena w fabrykach Azyi mniejszéj na procesyę doroczną w świątyni Hery Lakinii, sprzedano późniéj za 120 talentów czyli dwa miliony rubli.

Uczty publiczne, towarzyszące u Greków obrzędom ofiarnym, stały się u mieszkańców Sybaris niejako kwestyą stanu, obchodzącą ogół żywiéj niż wojna lub prawodawstwo. Na najgłówniejsze rozsyłano zaproszenia na rok wcześniéj, dla nadania aktowi temu większéj wagi. Najhojniejszym amfitryonom miasto dawało złote wieńce, a co gorzéj, zaszczyt ten dostawał się także w udziele najlepszym kucharzom. Myśliwcy i rybacy, dostarczający przysmaków na stoły miej-

skie, zwolnieni byli od podatków, jako dobrze zasłużeni ojczyznie. Uczty kończyły się zazwyczaj pijatyką i rozpustą. Dla wykształcenia młodych dziewcząt z najlepszych rodzin w umiejętności podobania się mężczyznom, istniały publiczne szkoły, w których, urzędowie zatwierdzone nauczycielki, wykładały tajemnice miłości. O wykładach tych ciekawe szczegóły zachowali starożytni zbieracze anegdot skandalicznych.

Zepsuciu towarzyszyła bezbożność i bezmierna pycha. Sybaryci głośni byli z lekceważenia zarówno starych tradycyj i zwyczajów, jak i wierzeń religijnych. Oni jedni z pomiędzy Greków nie szanowali prawa przytułku w świątyniach, nie wahali się nawet ich rabować. Upadek ich przypisywano zemście Jowisza Olimpijskiego za wyrządzone mu zniewagi. Nie dość, że dla podkopania igrzysk olimpijskich i obrócenia na własną korzyść połączonego z nimi zbiegowiska wszystkich ludów greckich, urządzili u siebie w tym samym czasie inne igrzyska, od tamtych świetniejsze,—ale raz okręty ich wylądowawszy na pobliskim brzegu zabrały skarby olimpijskie.

Potężna reforma Pitagoresa, która nowe siły wlała w zaczynające się chylić do upadku życie osad greckich, wywarła tylko zewnętrzny wpływ na Sybaris. Zbyt zniewieściałém i do gruntu zepsutém było miasto, żeby je mogła przerobić ascetyczna nauka mistrza z Samos. Zwolenników jego było w niéj prawda wielu i nawet do ligi utworzonéj pod jego wpływem Sybaris przystąpiła wraz z innemi miastami, jak to widać z jéj monet, należących do ogólnego związku monetarnego. Ale przystąpienie było tylko chwilowe. Hegemonia, jaką pobyt Pitagoresa w Krotonie nadawał z natury rzeczy temu miastu, była dla przywykłéj do przywództwa Sybaris nieznośną. Wkrótce téż wybuchła demokratyczna reakcya przeciw przywróconéj przez Pitagorejczyków oligarchii pierwotnych czasów istnienia Sybaris, zwolennicy tego ustroju zostali wygnani i uciekli do Krotony, a gdy za wpływem Pitagoresa krotończycy odmówili wydania ich, poselstwo przynoszące odmowę do Sybaris zostało zamordowane przez rozwścieklony motłoch.

Dla pomszczenia niegodnego czynu, który u Greków był nietylko pogwałceniem prawa narodów ale i największą obrazą bogów, Krotończycy zebrali stotysięczne wojsko pod wodzą słynnego atlety Milona, który znając zniewieściałość Sybarytów na czele wojska umieścił muzykę i kazał jéj grać znane motywa przy zetknięciu z trzy razy liczniejszą armią Sybarytów. Konie ich, wytresowane przez jezdców do tańca i skoków sztucznych przy igrzyskach, zaczęły robić zwykłe swe lansady na odgłos znanych dźwięków, i sprawiły w szeregach taki popłoch, że ogromna armia poszła w rozsypkę.

W Sybaris tymczasem panowało przerażenie. Opowiadano o strasznych groźbach bogów, wieszczkowie opuszczali miasto nie chcąc zginąć w jego zagładzie, w świątyni Hery tryskały zdroje krwi, wyrocznia Apolina, zapytana o wynik wojny, przysłała w odpowiedzi same przekleństwa. Chcąc ubłagać nieprzyjaciół Sybaryci zamordowali u stóp ołtarzy wraz z jego rodziną i doradcami trybuna, którego deklamacye wywołały rewolucyę ludową i zabójstwo posłów. Następnie zdali się na łaskę i niełaskę. Straszną była zemsta krotończyków nad odwiecznemi rywalami. Mieszkańców miasta wygnano do Laos i Scidros nad morzem Tyreńskiem. Następnie zniszczono mury i zrównano z ziemią wszystkie znaczniejsze gmachy miejskie, dodając z najuroczystszym rytuałem religijnym przekleństwa straszne na tych, którzyby się poważyli odbudowywać miasto potępione. Wreszcie, dla dokończenia dzieła zniszczenia, zwrócono bieg rzeki Crathis i zalano jej wodami miejsce na którém się wznosiła Sybaris. Działo się to w roku 510, tj. w 210 lat po założeniu miasta.

Dla losów całéj Grecyi italskiéj fakt ten smutne miał następstwa. Z ubyciem czynnika tak potężnego, nawet w jego rozkładzie, jakim była Sybaris, grecy znaleźli się niespodzianie na pochyłości, na któréj każden krok naprzód ujmował im gruntu z pod nóg i do przepaści zbliżał. Ze wszystkich stron żywioły wrogie hellenizmowi podniosły głowę i rozpoczęły walkę, która miała się zakończyć zupełną klęską kolonizacyi greckiéj. Rzym, który za ostatnich królów stał się przednią strażą kultury greckiéj w środkowéj Italii, przejąwszy u Greków z Cumae pisownię wraz z większą częścią ich obyczajów i instytucyi, rewolucya, wywołana przeważnie przez Sabińską arystokracyę, popchnęła na odmienną zupełnie drogę, a niedługo potém zwycięstwo Porsenny obezwładniło go i wplotło w koło polityki etruskiéj. Mając z téj strony wolną rękę, Etruskowie rozpoczęli podbój i kolonizacyę Kampanii, skupiając się głównie około Kapuy. Równocześnie Samnici rozszerzali się szybko na wschód i południe, a w górach, bliskich dzisiejszego Benewentu, z wiosennych emigracyi rycerskich szczepów pokrewnych tworzyły się zawiązki nowego Lukańskiego narodu, który w pół wieku po upadku Sybaris, rozpoczął podbój należącéj do Sybarytów Enotryi. Plemiona tuziemne, z natury miękkie i przywykłe od wieków do obcego jarzma, nie mogły stawić oporu i pod nowemi panami pozbyły się równie szybko swojéj greckiéj kultury, jak niegdyś ją sobie przyswajały. Miasta greckie, dawne kolonie Sybaris, rozsiane wśród obcych terytoryów, pozbawione łączącego je w silną całość ogniwa metropolii wspólnéj, rozdzielone waśniami i egoistyczną odrębnością interesów, nie stanowiły poważnéj przeszkody dla najeźdców, którzy szybko usadowili się w prze-

chodzących środkiem kraju górach. Osadnicy greccy znaleźli się w ten sposób rozdzieleni na dwa nadbrzeżne pasy, które już nigdy nie miały się połączyć w taką jak dawniéj całość. Dzieje ich odtąd, z wyjątkiem Tarentu, który wtedy dopiero dochodził do szczytu świetności i w przejściach innych miast mało brał udziału, przedstawiają smutny obraz walki ciężkiéj o byt, zagrożony z jednéj strony przez Samnitów, Lukanów i mających wkrótce wyjść z ich łona Brutyjczyków, z drugiéj przez tyranów Syrakuzy, zaczynających już bez miłosierdzia gnębić swoich italskich sąsiadów. W początku IV w. tyran Dyonizyusz zdobywał szturmem Krotonę, niszczył do szczętu Caulonię i Hipponion, mścił się okrutnie na Rhegionie za okazany mu opór. Dawna Enotrya zaś cała w tym czasie zmieniła się już na Lukanię.

Na miejscu Sybaris tymczasem, któréj upadek stał się pierwszem ogniwem tego długiego łańcucha klęsk i nieszczęść dla greków italskich, próbowali kilkakrotnie na nowo się osiedlać wygnani jéj mieszkańcy, ale mściwi krotończycy za każdym razem burzyli rozpoczęte budowy i rozpędzali osadników. Wygnańcy posłali upomnieć się o sprawiedliwość u dwóch największych miast ówczesnéj Grecyi, między któremi miała już niedługo wybuchnąć wielka wojna peloponezka. Dla Sparty, choćby z powodu demokratycznych tradycyi Sybaris, sprawa jéj odbudowania nie mogła być bardzo sympatyczną; w Atenach przeciwnie ujrzano w tém sposób utworzenia takiego samego centru upływów politycznych i morskiéj hegemonii w Italii, jakie już stolica demokracyi greckiéj miała w Azyi mniejszéj i na wyspach Archipelagu. Powstał silny prąd emigracyjny, któremu dla rozszerzenia go, nadano ogólno grecki charakter. W połączeniu z potomkami Sybarytów, przybysze osiedlili się w górze niedaleko miejsca dawnéj Sybaris, ustępując w tém wyrokowi bogów, skazującemu miasto na zagładę — i od źródła tryskającego w tém miejscu nazwali nową osadę *Turioi*.

Od samego początku dzieje Turioi są przepełnione walką wewnętrzną składających ją pierwiastków. Naprzód czynnikiem niezgody są Sybaryci, niezmienni w swéj zarozumiałości pomimo nieszczęść. Po krwawem starciu wypędzeni z miasta założyli nową Sybaris, już trzecią z rzędu, która po stuletniem istnieniu jako kolonia Turioi została zniszczona przez Brutyjczyków. W Turioi tymczasem zaczęła się rywalizacya pierwiastku peloponeskiego z ateńskim, podniecana wojną prowadzącą się w Grecyi, oraz długa walka z Tarentem o posiadanie otaczającego *Siris* terytoryum, na którém w końcu Tarentczycy założyli swą kolonię *Herakleę*. Późniéj znowu zwykłe ucieranie się o władzę i przywileje pomiędzy oligarchią

a ludem. Tymczasem nadeszły stanowcze wypadki dla południowéj Italii. W wojnach Rzymian z Tarentem i Kartaginą mieszkańcy Turioi próbowali się ocalić zwykłą polityką słabych — stojąc po stronie mocniejszéj ile razy zmieniła się szala wypadków. Jak zwykle téż bywa, nieustanne lawirowanie i zmienianie obozu skończyło się klęską i upadkiem miasta, które choć dalekie od świetności swéj poprzedniczki, miało jednak dość znaczenia i ludności skoro mogło wystawiać kilkonastotysięczne wojsko. Przedtém już raz zwyciężone przez Brutyjczyków i obrócone w niewolę, z któréj uwolnił je Alexander Epirski, zostało do szczętu zniszczone przez Annibala, następnie zaś Rzymianie powrócili wprawdzie wygnanych mieszkańców do dawnéj siedziby, tworząc z niéj jednak wojskową kolonię na łacińskiem prawie pod nową nazwą *Copia*. Odtąd imię *Turioi* spotyka się tyłko przez kilka wieków pierwszych chrześciańśtwa w tytule biskupów tego miejsca.

Ruiny znajdujące się obecnie na miejscu obydwóch miast, odnoszą się wyłącznie do czasów rzymskich. Greckich zabytków trzeba byłoby szukać w niższych pokładach ziemi, pod szczątkami Copii. Na cmentarzu starożytnym, w pobliskim lesie, odkopują przy grobach naczynia greckie, ozdobne malowaniami i blaszki złote ze staremi napisami greckiemi, mówiącemi o nieśmiertelności duszy i o szczęściu zagrobowem wśród świętych łąk i gajów Persefony.

Z królowéj Italii greckiéj, z bogatéj, wytwornéj, świetnéj Sybaris, nie zostało żadnego śladu. Po jéj zapomnianych ruinach płyną od dwudziestu kilku wieków mętne fale Crathis, przykrywając je z rokiem każdym nową warstwą mułu i błota.

IV.

Zbliżając się do przylądka *Lacinium*, linia brzegów zagłębia się w obszerną zatokę, nad którą aż do podnóża Apenin rozciąga się równa płaszczyzna, przecinana podłużnie licznemi strumieniami. Na téj płaszczyznie w dziesięć lat po założeniu Sybaris, osiedliła się nowa kolonia achejska, ściągnięta może do tego właśnie miejsca tradycyą o istniejącéj tu dawniéj osadzie Pelazgów, wywodzącéj swój początek od Herkulesa, gdy tędy powracał odprowadzając Geryonowe woły. Niemniéj téż wpłynąć musiały na zatrzymanie tutaj kolonistów port doskonały, żyzność gruntu i klimat najzdrowszy z całego południa Włoch. Kraj otaczający, obecnie nagi, kamienisty, pozbawiony cienia i ludzi, zdradza przecież tu i owdzie pomimo opustoszenia bogactwo wielkie roślinności dziko rosnącéj i pastwisk;

do eksploatacyi rolnych produktów łączyły się w starożytności dochody z bogatych min srebrnych. Nie dziw też że wzrost miasta był szybki, i choć nie doszedł takich rozmiarów jak równoczesne podniesienie się Sybaris, następował jednak bezpośrednio za niem. Widzieliśmy jak szeroko rozpostarło się państwo Krotońskie, poddając swoim wpływom całą część kraju na południu od Sybaris.

Dobry klimat wpływał korzystnie na rozwój fizyczny mieszkańców. Kobiéty uchodziły za najpiękniejsze w Wielkiéj Grecyi, mężczyzni słynęli jako najsilniejsi greccy atleci, tak, że wedle przysłowia, ostatni z krotończyków był jeszcze pierwszy pomiędzy grekami. W istocie oni byli zwycięzcami w większéj części igrzysk olimpijskich. O Milonie dotychczas przechowały się podania w bajecznych rozmiarach przedstawiające siłę tego atlety. Zajęcie ulubione fizycznemi ćwiczeniami, któremu krotończycy zawdzięczali indywidualnie taką siłę, niezawsze przecie bywało dla nich rękojmią zbiorowego powodzenia. Pierwsza wielkich rozmiarów walka, jaką wywołało w połowie VI w. starcie się ich na południowych kresach z osiadłemi tam dawniéj Lokryjczykami, zakończyła się dla Krotończyków haniebną klęską. Równocześnie z dwóch stron żywioł achejski, w którym jeszcze nie uwydatniła się nienawistna rywalizacya głównych dwóch miast, uderzył na graniczących z nim na północy i południu Doryjczyków. Walka połączonych pod przywództwem Sybarys Achejczyków przeciw Tarentowi zakończyła się zwycięskiem opanowaniem terytoryum otaczającego Siris; ale gdy późniéj, wróciwszy z pierwszéj wyprawy, Krotończycy ze stotysięcznem wojskiem poszli ukarać Doryjczyków i Lokrów za pomoc okazaną przez nich północnym współbraciom, kilkanaście tysięcy Lokryjczyków pobiło nieprzyjaciół pod *Sagra*. Zwycięstwo to, tak nieprzewidziane i nienaturalne, wyobraźnia ludowa ubrała mnóstwem podań cudownych i nadprzyrodzonych zjawisk, przypisując je głównie opiece Dioskurów.

Zawstydzeni i zniechęceni porażką, Krotończycy zaniedbali na długo swoje zajęcia wojskowe, które im tak mało się przydały, i wpadliby zapewne w podobną do sybaryckiéj zniewieściałości, gdyby nie nadejście Pitagorasa. Po długiéj wędrówce po Egipcie, Krecie, Fenicyi, Chaldei, gdzie już dawniéj kapłani wprowadzili liczby jako idealny pierwiastek teologiczny, mistrz z Samos przybył do Wielkiéj Grecyi chcąc utrwalony już i dojrzały systemat swój filozoficzny wprowadzić w życie. Każde z miast kolejno usłyszało jego naukę, która szybko ogarnęła szerokie koła zwolenników; wszystkie, z wyjątkiem Lokrów zamkniętych w swych doryjskich instytucyach, udały się do niego z prośbą o reformę praw i radę

w sprawach rządu Znalazłszy w Krotonie najodpowiedniejszy grunt dla swego działania, Pitagoras z niéj rozciągnął wpływ swój na całą Grecyę italską, gotując w niéj silną reakcyę najzdrowszych pierwiastków przeciw rozszerzającemu się nietylko w jednéj Sybaris zepsuciu.

System Pitagorasa o ile o nim możemy sądzić z późniejszych relacyi, przedstawia się najbardziéj jednolitym, logicznym i wszechstronnym ze wszystkich jakie wydała starożytność przed Platonem Arystotelesem. On pierwszy skupia w jedną całość rozpierzchłe przedtém w odrębnych doktrynach próby systematów filozoficznych, kosmicznych, teologicznych, łącząc je równocześnie z praktycznémi celami życia ludzkiego, opierając na nich zarówno ideał państwowy jak obowiązki jednostki. Wiadomo, że podstawę jego stanowi owe dziesięć par żywiołów głównych świata, będących właściwie tylko rozszerzoną antytezą dwóch pierwiastków walczących od urodzenia człowieka o panowanie nad jego duszą: dobrego ze złem, twierdzenia z negacyą, prawdy z fałszem, nieskończoności Bożéj z ograniczoną skończonością ludzkiéj natury. Między temi przeciwieństwami, wyrażającemi się w parzystych i nieparzystych liczbach, ogniwem, wielkim czynnikiem chroniącym wszechświat od kolizyi i dysonansów, harmonią ogólną i doskonałą jest pojęcie jedności jako źródła i twórczego pierwiastku wszystkich żywiołów składających świat. Bóg jedyny, stwórca wszechrzeczy, jest tą jednością górującą nad wszystkiem. Zarówno wielkie pojęcia moralne, jak bogowie mitologiczni, uosabiający wielkie siły przyrody, z niego wychodzą, podobnie jak liczby z jedności. W nim téż źródło nieśmiertelnéj duszy ludzkiéj, która szeregiem przeistoczeń stara się w ziemskich swych wędrówkach wciąż zbliżać ku wiecznéj doskonałości, ku jedynemu, podnosząc się stopniowo przy coraz większéj cnocie do wyżyn półboga i demona.

W ten sposób obok wyrażonéj poraz pierwszy zupełnie jasno idei jedynego Boga, występował również nowy u Greków etyczny pierwiastek, podniesiony prawie do chrześciańskiéj doskonałości, wprowadzający jako nić przewodnią życia ludzkiego wolną wolę w miejscu dotychczasowego fatalizmu, i za ideał stawiający linię spiralną, zakończoną w niebie. Dawne wierzenia pozostawały jako zmysłowa powłoka, z któréj przed oczyma adeptów, stosownie do stopnia ich wtajemniczenia, wyłaniała się coraz czystsza i doskonalsza idea religijna i moralna. A jak kult oczyszczał się i uszlachetniał nawet dla mas, tak i moralność była najpiękniejszą przed pojawianiem się nauki Chrystusa. Całe życie ludzkie, stosunek rodziców z dziećmi, męża z żoną, pana ze sługami ujęty był w szeregi

przepisów, pełnych znajomości natury ludzkiéj i troski o jéj udoskonalenie. Nieliczne grono wybranych, pragnących wyższéj doskonałości nad zwykłą ludzką, tworzyło rodzaj zakonu, rządzącego się odrębnemi przepisami bliskiemi chrześciańskiéj ascezy. Nie dziw że doktryna taka wydała przez kilka wieków najpiękniejsze charaktery świata greckiego. Sławny cnotą Archytas z Tarentu, Eschil dający tak wysoce religijny nastrój swoim dramatom, Epaminondas byli uczniami szkoły Pitagorejskiéj.

Będąc wszechstronną, nauka Pitagorasa określała nietylko obowiązki i cele jednostki, ale także i zadania zbiorowych organizmów społecznych. Z saméj natury systemu, opartego na stopniowaniu zaczynającém się od zwierząt a kończącém na ogólnym Stwórcy, wynikał arystokratyczny kierunek w zastosowaniu tego systemu do urządzeń politycznych. Jak hierarchia wewnętrzna Pitagorejczyków koncentrowała się w nieliczném gronie najwyżéj inicyowanych i najwyższych cnotą, tak i wodze państwa winny były spoczywać w ręku największych i najlepszych. Republiki grecko-italskie miały w początkach podobnie jak Ateny ustrój *timokratyczny*, oparty na rozgraniczeniu wysokością podatku warstw społecznych, oprócz miast doryjskich, które przyniosły z sobą arystokratyczne tradycye ojczyzny swéj. Te ostatnie utrzymały się dłużéj — ale achejski ustrój pierwotny uległ szybkiéj zmianie pod wpływem coraz silniejszych demokratycznych prądów, dążących do bezwzględnéj równości.... pod jarzmem jednego. Wszędzie téż prawie kwitła tyrania w chwili nadejścia Pitagorasa. Równocześnie, pierwotne połączenie osad między sobą rozpoczęło się już i wszystkie zaczynały chylić się do upadku w zobopólnych waśniach i ogólném zepsuciu obyczajów.

Jakkolwiek nawet w Krotonie, w któréj się osiedlił, Pitagoras nie chciał przyjąć żadnego urzędowego stanowiska, pomimo ciągłych o to nalegań, zadawalniając się tylko godnością prawodawcy świętych obrzędów — reforma jego opanowała całą Grecyę italską, z wyjątkiem Lokrów, które może przez nienawiść do Krotony odmówiły wejścia do ogólnego związku. Wszędzie się potworzyły zakonne gminy pitagorejskie i demagogiczna tyrania ustąpiła miejsca arystokratycznym instytucyom, albo téż takim, na cenzie opartym, jakie panowały dawniéj. W obyczajach na jakiś czas powróciła cnota i skromność, poszanowanie dla prawa, kult bogów, szacunek dla niewiast. Wreszcie udało się Pitagorasowi przyprowadzić do skutku najpiękniejszą z jego myśli politycznych—zjednoczenie Wielkiéj Grecyi. Na krótko, ale w rozmiarach potężnych, których późniejsze ligi na wzór achejskich były tylko słabem odbiciem, połączyły się wszystkie miasta greckie pomimo różnic szczepowych, jakie

oddzielały Chalcydyjczyków z Regionu od Doryjczyków tarenckich lub Achejczyków z Sybaris i Krotony. Świątynia Hery Lakińskiéj stała się punktem środkowym, naokoło którego skupiło się życie i interesa Greków półwyspu, a świetniejsze niż przedtem, dzięki rozporządzeniom Pitagorasa, uroczystości i procesye podczas dorocznych panegyryi przyciągać zaczęły ze wszech stron daleko większe tłumy. Jednolity system monetarny zatwierdził tę unię federacyjną italskich greków. Ale kierunek przeważnie religijny, prawie zakonny, ściśle wykluczający wszystkie odrębne pierwiastki, nie mógł długo się utrzymać u steru rządów. Szczególniéj cecha jego arystokratyczna podbudzała przeciw niemu masy. Widzieliśmy jego losy w Sybaris. Po śmierci Pitagorasa powtórzyło się to samo w innych miastach, w saméj Krotonie. Wygnani zewsząd zwolennicy Pitagorasa czas jakiś jeszcze utrzymali się w Metaponcie, ale i tam dosięgła ich proskrypcya. Późniéj jako sekta religijna bez politycznego znaczenia, wracają znowu i rozkrzewiają się swobodnie, jednostki zdobywają sobie nawet wpływ przeważny mądrością swą i cnotą; ale wraz z upadkiem idei politycznéj ich mistrza, oraz środków, jakiemi ją chciał wprowadzić w życie, świetny rezultat osiągnięty chwilowo rozwiał się bez śladu, rozprzęgła się unia greków italskich.

Krotona tymczasem pomimo wewnętrznych niezgód między stronnictwami rozwijała się szybko i świetnie. Zwycięstwo nad Sybaris zatarło pamięć o klęsce pod Sagra, z upadkiem współzawodniczącego miasta Krotończycy stali się dziedzicami jego bogactw, wpływów, potęgi, rozciągając swą hegemonię nad wszystkiemi miastami z téj strony zatoki. Wzbijając się w pychę, postanowili na wzór Sybaris, zaćmić igrzyska Olimpijskie własnemi. Do tego czasu odnosi się téż wewnętrzne przyozdobienie przez Zeuxisa, z rozkazu Krotończyków, świątyni Hery Lakińskiéj, oraz znaczna część niezmiernych bogactw, które ten główny przybytek greków italskich posiadał. W rzeczach sztuki zresztą Krotona górowała nad innemi miastami italskiemi, nie ustępując ani Grecyi ani Sycylii. Najpierwszych rzeźbiarzy znanych ona dała półwyspowi, goszcząc u siebie również znakomitych mistrzów z innych miast. Zeuxis przybywał tu długo i wpływ jego odbił się na monetach, naśladujących główne typy jego malowideł. Do najświetniejszego ze wszystkich, Heleny, w któréj chciał przedstawić ideał piękności kobiecéj, dorównywający bogom, służyły mu za model z rozkazu senatu, obnażone dziewice krotońskie. Z ich pojedyńczych rysów, połączonych w idealną całość, mistrz z Heraklei stworzył owo słynne dzieło, uchodzące za ostatni, najwyższy wyraz starożytnéj sztuki.

Ale świetność Krotony jeszcze krócéj trwała od téj, jaką jaśniały dzieje Sybaris. Wraz z bogactwem przyjęli w spadku po swoich współzawodnikach Krotończycy miękkość i zepsucie obyczajów, nie umiejąc równocześnie naśladować mądréj polityki kolonizacyjnéj, która tak silnie starała się utrwalić żywioł grecki na szerokiéj przestrzeni. Terytorya należące do Sybaris pozostały opuszczone przez nowych władców i jak to widzieliśmy szybko przeszły w ręce Lukańczyków. Z drugiéj strony zagroził Krotonie śmiertelny odtąd wróg italskich Greków Dyonizyusz z Syrakuz, który, uwolniwszy Sycylię od Kartagińczyków, zapragnął pod okrutne swe jarzmo nagiąć wszystkie republiki na południu od Tarentu. Wobec ogólnego niebezpieczeństwa utworzyła się między niemi liga podobna do współczesnéj Achejskiéj, z punktem centralnym w świątyni Zeusa Homariosa w Krotonie.Doryjski Tarent i Region chalcydyjski najbardziéj zagrożony przez Dyonizyusza przystąpiły również do ligi. Ale zaraz prawie po jéj założeniu, wojska sprzymierzeńców zostały na głowę pobite przez Tyrana, który kilka miast następnie zupełnie zniszczył, przesiedliwszy ich mieszkańców do Syrakuz, innym zaś—głównym przebaczył z warunkiem rozwiązania związku. Potęga ich była złamaną. Tylko oddalony zupełnie od tych wypadków i niebezpieczeństw Tarent wchodził w najświetniejszy okres swoich dziejów i Lokryjczykom, z nienawiści do Krotony wiernym sprzymierzeńcom tyrana, łaska jego nadała władzę nad całą południową częścią półwyspu niepodbitą jeszcze przez Lukańczyków. W końcu, łamiąc swe przyrzeczenia, Dyonizyusz zawładnął Krotoną podczas pokoju, niespodzianym szturmem nocnym, i aż do śmierci swéj przez kilkanaście lat okrutnemi wyrokami i strasznym uciskiem mścił się na jéj obywatelach za dawny opór jego podbójczym zamiarom i niezmienne przywiązanie do republikańskiéj swobody. Późniéj, za młodszego Dyonizyusza, Archytas Tarencki dopomógł Krotonie do odzyskania niepodległości, wprowadził ją do odnowionego przez siebie związku grecko-italskiego, ale już tylko jako podrzędny czynnik. poddany hegemonii Tarentu, do którego kolonii Heraklei się przeniosło środkowe ognisko ligi. Odtąd pomimo chwilowych odbłysków swobody i lepszego losu, Krotona przestaje już grać poważną rolę w dziejach południowéj Italii. Nowy nieprzyjaciel straszniejszy od poprzednich, miał ją wkrótce znów obrócić w niewolę, têm wstrętniejszą że barbarzyńską. Było to Bruttium, wyszłe tak samo z łona Lukanów, jak ci niegdyś powstali ze Samnitów. Rodzaj Szwajcarów południowych, przepędzających życie całe na walkach i wysyłających wszystkim ludom okolicznym zastępy najemników wojennych, przywykli od dziecka mocować się z siłami przyrody i przezwyciężać wszystkie

przeszkody, górale ci prawie dzicy stanowili siłę, któréj zniewieściali Grecy nie byli wstanie się oprzéć. Na chwilę wstrzymał ich i pokonał Agatokles z Syrakus—ale zaraz potém znów podnieśli głowę i niewstrzymaną falą zaleli wszystkie miasta greckie, które dopiero Rzymianie wydobyli z pod upokarzającego jarzma, własne narzucając im w zamian.

W wojnach, towarzyszących podbojowi zatoki Tarentyńskiéj przez Rzym upadla resztka zamożności i znaczenia Krotony. Walczyły w niéj zawzięcie dwa przeciwne prądy, arystokratyczny przychylny rzymianom, demokratyczny, wyciągający ręce do walczącego z niemi Pirrusa. W rezultacie, każda ze stron prowadzących wojnę mściła się na całém mieście za agitacye nieprzyjazne znajdujących się w niem przeciwników swoich. Później w tenże sam sposób zarysowały się stronnictwa podczas drugiéj wojny punickiéj, w któréj lud zwrócił swe sympatye ku Hannibalowi podczas gdy arystokracya wierną pozostała Rzymowi, rozwijającemu na wzór Sparty w podbitych miastach ściśle oligarchiczny ustrój. Podczas poprzednich wojen zniszczona do szczętu przez tuziemców Krotona została teraz opanowana przez sprzymierzonych z Hanibalem Brutyjczyków, po przeniesieniu się greckich mieszkańców do Lokrów. Resztki ich powróciły po skończonéj wojnie, ale nie mogły już utworzyć odrębnego organizmu społecznego. Rzym wzmocnił ich własną swą kolonią, któréj zadaniem stała się obrona téj części kraju od Brutyjczyków. Bez śladów prawie przechodzą odtąd dzieje zniszczonego miasta, w którém jednak jak się zdaje tradycye przeszłości nie wygasły, i żywioł grecki utrzymał się niezmiennie aż do chwili, gdy panowanie Byzancyum we Włoszech nadało mu nową siłę i życie. W VIII w. dyecezya tutejsza, zależna od metropolitów z Reggio, przeszła na wschodni obrządek i poddała się władzy konstantynopolskiego Patryarchy; w ludności, wzmocnionéj nowemi przybyszami ze wschodu, pierwiastek grecki zaczął wyłącznie panować i przez kilka wieków Krotona stała się jedném z głównych ognisk helenizmu we Włoszech. W XII w. jeszcze grecki język przeważnie używanym był w mieście; w okolicy, po wsiach przetrwał znacznie dłużéj. Dotąd w wielu miejscowościach typ grecki zachował się w całéj czystości, a w kilku wioskach jeszcze w XVII w. nie mówiono po włosku. Kiedy od końca XI w. polityka normandzka przychylna Papieżom i walcząca z helenizmem, zaczęła wprowadzać na stolice biskupie łacińskich prałatów i rzymski obrządek, w niektórych dyecezyach wpływy przeciwne były dość silne, żeby jeszcze przez kilka wieków starą hierarchię i rytuał zachować. Nawet gdy już wszyscy biskupi byli łacińskiego obrządku, w Krotonie i innych miejscowościach po-

zwolono znacznéj części mieszkańców swobodnie trwać przy dawnéj liturgii z warunkiem uznania Papieża, Rządził nią odrębny protopop, naznaczany przez biskupa.

Obecnie na tém samém miejscu na którém stała potężna współzawodniczka Sybarytów, znajduje się wesoła, zamożna mieścina, która z przestawką *r* zachowała dawną swoją nazwę. Na ruinach greckich, rzymskich, bizantyjskich zbudowane są domy i wille stawiące nieprzepartą przeszkodę poszukiwaniom archeologicznym. To co zostało na powierzchni, rozebrali w ciągu wieków mieszkańcy i inżynierowie, fortyfikujący port i miasto. Tylko na otaczających płaszczyznach, których lśniące pokłady kredowe odbijają żywo od ciemno-szafirowego tła nieba, w winnicach i gajach, zarosłych bujną trawą, tak wysoką jak drzewa, znajdują się nieraz stare monety i klejnoty z czasów greckich.

Na południe od Cotrony ze szczytu górzystego przylądka Lacynium patrzą jeszcze na morze ruiny staréj świątyni z VII w. p. C. Grecy lubili stawiać na takich wyżynach nadbrzeżnych ołtarze bogom. Za jedyne tło służył im jednostajnie przezroczysty błękit nieba, drugi błękit kąpał ich stopy, rozbijał się srebrnemi snopami fal szumiących zcicha o jasne marmury ich podstaw. Wracającemu z długiéj wędrówki żeglarzowi miło było zbliżając się ku brzegom rodzinnym dostrzedz zdala witające go kolumny białego przybytku, z którym się zrosły od dzieciństwa jego wspomnienia, uczucia, wierzenia. Dziś jeszcze w téj części Jońskiego morza widzi się daleko podstawy potężnego gmachu, wieńczące stromy przylądek, i wyniosłą kolumnę, jedyną, którą tu zostawiły kilkakrotnie powtarzane grabieże. Stoi osamotniona i smętna na swéj wyżynie, najstarszy zabytek architektury greckiéj na półwyspie, szczątek jedyny kultury świetnéj i potężnéj, która niegdyś jaśniała na tych brzegach, rozsyłając swe promienie najdalszym zakątkom Italii.

(*dok. nast.*) *Jan Gnatowski.*

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

XI.

Kiedy te ważne wypadki przygotowywały się w Europie, tymczasem p. Stanisław Grabowski oświadczył się o rękę mojéj siostry, został przyjęty, nastąpiły zaręczyny i wzajemna wymiana podarków. Przyszedł list do generałowéj Grabowskiéj oświadczający radość jéj z wyboru syna i rodzice z odpowiedzią umyślili wysłać mnie do Warszawy. Jakkolwiek miałem dopiero lat szesnaście, nie wątpiłem jednak, że z téj dyplomatycznéj misyi dobrze się wywiążę, na dworze bowiem Puławskim przywykły byłem do życia wielkoświatowego.

Wybór w drogę był niedługi i przybywszy do Warszawy prezentowałem się najprzód pani generałowéj. Chociaż już w wieku, posiadała ona płeć dziwnie świeżą, a na twarzy pozostały wyraźne ślady wielkiéj piękności. Blondynka, oczy miała duże niebieskie, nos mały i kształtny, tylko otyłość przy nizkim wzroście, zgrabność figury zniszczyła. Towarzystwo jéj, oprócz licznéj rodziny, składało się także z niejakiéj pani Lnińskiéj, któréj mąż gdzieś tak się zawieruszył na świecie, że o nim nigdzie języka powziąść nie mogła, z małą więc córeczką, którą generałowa bardzo kochała, przy niéj osiadła. Zaproszony zostałem na dzień następny na obiad, a tegoż dnia jeszcze w towarzystwie Żaboklickiego pooddawałem inne prezentacyjne wizyty familii, w którą siostra moja wchodziła. Stanowili ją bracia rodzeni i siostry, o których już wspomniałem i bracia pani jenerałowéj, Szydłowscy, starosta Mielnicki i ksiądz Opat. Pierwszy elegant niegdyś ogromny i ścisly króla, a więc i Rosyi partyzant, słynął z doskonałego strzelania z pistoletu. Odstrzeliwał żonie korki od trzewików i pieniążki trzymane przez nią w palcach nad głową

Nie wiem czy z tych szczególnych egzercycyj, czy téż z innych powodów żona jego popadła w nerwową słabość, która jéj do końca życia nie opuściła. Ksiądz Opat Szydłowski mieszkał na Starém Mieście. Był to bardzo miły i grzeczny staruszek, lubił pasyami Włochów i ciągle po włosku mówił i na czekoladę do kawiarni przy bramie Ś-to-Jańskiéj uczęszczał, żeby tam z nimi się spotykać. Nakoniec do bliskiéj rodziny należał także Ludwik Gutakowski, miły starzec, u którego późniéj byłem prawie domownikiem. W młodości swéj musiał być nadzwyczajnie piękny, bo i teraz oprócz dziwnéj przyjemności oblicza, regularne rysy zachował. Ożeniony był w powtórném małżeństwie z Zabiełłową, wdową po Zabielle, którego w 1794 roku wskutek wyroku sądowego życia pozbawiono. Odwiedzałem także dom ks. Pelagii Sapieżyny, znajoméj mi z Puław i pani Bagration, która jadąc do wód, dłużéj się w Warszawie zatrzymała.

Za powrotem do domu nie zastałem już mojéj matki, która w części dla wyprawy, w części dla kuracyi wyjechała do wód w Lubieniu, gdzie późniéj przybyła także księżna Czartoryska. Książę feldmarszałek wybrał się do Bardyowa.

W początku września przybył niespodzianie do Puław p. Hoppe, komisarz cyrkułu lubelskiego, i wezwawszy p. Nestorowicza, mandataryusza i Belkie marszałka, oznajmił im, że za dni kilka przybędzie tu czterdziestotysięczny korpus rosyjski i że główna kwatera ma się osiedlić w Puławach. Dlatego prosił, żeby dwie oficyny z gości tymczasowych uwolnić. W niebytności księcia zwrócono się do mojego ojca. Ten wysłał zaraz sztafety do Bardyowa i do Lubienia, zawiadamiając zarazem, o czem p. Hoppe pod sekretem powiedział, że rzecz jest prawdopodobna, że cesarz Aleksander Puławy odwiedzi.

Lecz nim gospodarze przybyć zdołali, ściągnęli Rosyanie. Zjechał na ich przyjęcie gubernator Urmeni z konsyliarzem Baumem, zrobił się ścisk nie do opisania i przez kilkanaście dni taki rwetes, jakiego nigdy późniéj w życiu nie widziałem. W miastach łatwiéj pomieścić liczne sztaby, ale na wsi jest to zadanie bardzo trudne. Wprawdzie konieczność zmusza wtedy do ograniczania wymagań i w Puławach po trzech i czterech jenerałów w jednéj izbie kwaterowało, ale niemniéj ambaras był ogromny. Wynoszono na łeb na szyję wszystkich zwykłych Puław mieszkańców z ich rzeczami i tłomokami i lokować się na strychach musieli. Całe dnie i nocc zajeżdżały fury, składano rzeczy, a tragarze uwijali się z kuframi, pakami i tłómokami. Każdy o niczém innéni nie myślał, tylko gdzieby się podziać i gdzie ulokować.

Przybyła też i główna kwatera i naczelny dowódzca generał Michelson. Był to starzec już siedmdziesięcioletni, silnéj budowy ciała, łysy, z twarzą ogromną i rysami wydatnemi, pochodził ze sfer dosyć nizkich i wywyższenie swe zawdzięczał téj okoliczności, że udało mu się ująć słynnego Pugaczewa. Nie mówił żadnym innym językiem tylko po rosyjsku i trochę po polsku, że zaś hr. Urmeni, zabity madziar tylko znał język swój rodzinny i kochaną łacinę, przeto porozumiewali się przez pośrednictwo Bauma, konsyliarza, niemca sprytnego, który mówił wybornie po niemiecku, po łacinie, po polsku i po francusku.

Armia Michelsona—o ile wiem—składała się z dwóch korpusów o kilku dywizyach piechoty i jazdy. Gwardyami dowodził — pod zwierzchnictwem W. Księcia Konstantego — ks. Bagration, lecz ten z wojskiem swojém w Lublinie pozostał. Po Michelsonie głównymi dowódcami byli Buxhevden i Langerau. Pierwszy niski, gruby, gwiazdami — jak to u Rosyan we zwyczaju — okryty, małomówny i dla podwładnych wielce surowy. Drugi cienki, chudy, wysoki, francuz z pochodzenia i emigrant, nosił przy szpadzie zbiór wstążek różnokolorowych—dary od rozmaitych pań otrzymane. Dla wszystkich a szczególnie dla dam wyszukanie grzeczny, był trochę gaduła, ale gaduła przyjemny, bo wykształcony i dowcipny. W niższych stopniach znajdowali się generałowie, którzy późniéj do najwyższych doszli godności, jak: Sacken i Wittgenstein, obaj późniéj książęcemi tytułami i stopniem feldmarszałków udarowani, Lambert, Wintzingerode, Gogiel, Czaplic, Giżycki, Miłoradowicz i wielu innych.

Organizacya wojska odmienna była od dzisiejszéj. Pułki liczyły po dwa bataliony i każdy oprócz pułkownika miał właściciela, szefa w stopniu generał-majora. Toż samo miało miejsce i w jeździe. Mundury mało krojem różniły się od tych, jakich używano jeszcze przed 1854 r. i tylko generał-majorowie nosili mundury swych pułków. Piechota miała *szako* u góry szersze jak u dołu z wysokimi na dwanaście cali pióropuszami splecionemi z włosienia, spodnie opięte i kamasze po kolana. Niektóre jednak pułki jak grenadyerski, Fanagorijski ks. Suwarowa zachował dawną organizacyą i mundur. Liczył 4000 ludzi, a ubiór jego był rzeczywiście oryginalny: szerokie szarawary czerwone, buty palone, kaszkiety niskie blaszane okryte szerścią włosianą, nakształt szczotki przystrzyżone. Kilka pułków zachowało także wysokie nakształt głowy cukru piramidalne blaszane czapki, przez cesarza Pawła wprowadzone.

Jazda liczyła najwięcéj półków dragońskich. Kozacy wcale nie mieli przepisanych mundurów i każdy ubierał się jak mu się podo-

bało. Prawie wszyscy nosili ogromne brody, szerokie szarawary i najrozmaitsze czapki. Niektóre pułki miały jeszcze muzyki rogowe i często generał Langerau dla zrobienia przyjemności, kazał orkiestrom tym grywać. Efekt téj muzyki był szczególny, coś jakby koncert na puzonach o rozmaitéj skali.

Ogólnie mówiąc, wojsko rosyjskie przedstawiało się korzystnie. Ludzie wszystko rośli, silnie zbudowani i dobrze odziani. Jeden tylko zarzut możnaby mu zrobić, że prowadziło ono za sobą nieskończoną ilość taborów i powózek. Przez most postawiony na Wiśle, wskutek téj nadzwyczajnéj ilości bagażów zaledwie jeden pułk w krótkim dniu październikowym przez dzień cały mógł się przeprawić. Wadę tę dostrzegł cesarz, i naznaczono ilość podwód, jakie pułk może ciągnąć za sobą i od téj pory adjutant cesarski liczył za każdym pułkiem powózki i zawracał te, które przenosiły oznaczoną liczbę.

Wszyscy generałowie, pułkownicy i urzędnicy przez dni czternaście zbierali się w salach pałacowych na obiady i kolacye. Późniéj zaczęły przybywać kancelarye rozmaitych ministeryów: najliczniejsza dyplomatyczna, 4 października nakoniec przybył i sam cesarz Aleksander. Już wtedy księstwo byli z powrotem, a także i moja matka, któréj na kwaterę przeznaczono jeden pokój na dole, do sali ze słupami przytykający. Zabrała ona do siebie swoję bratowę, Wojciechowę Narbuttową, hr. Tarnowską z Drążkowa, Bentkowską z Ulęża i pannę Laurę Potocką, a wieczorami zbierała się tu masa osób, cesarz bowiem nie jadając kolacyi przychodził na herbatę do pokojów księżnéj w towarzystwie tych tylko osób, które sam przeznaczył. W czasie jego pobytu tutaj śpiewacy nadwornéj kaplicy cesarskiéj w owéj sali ze słupami, wykonywali cudowne chóry.

Ponieważ dwór cesarski, sztaby, biura i ogromna masa gości w Puławach bawiąca podejmowana była kosztem księstwa, dołożono więc wszelkich starań, żeby przyjęcie było uczciwe. Pan Zamojski oddał do pomocy całą swą służbę, brykami zewsząd sprowadzano drób i zwierzynę, sztafetami dostarczano ostrygi i codziennie o mil kilkanaście pocztą wyjeżdżało mnóstwo posłańców dla sprowadzania rozmaitych prowizyj. Fruktów dostarczały ogrody Puławski i Maciejowicki, a w niedostatku Kock i Warszawa. Oprócz tego gruszki, winogrona, arbuzy, melony, figi wytworne przywozili codzień feldjegrzy z cesarskich cieplarni, a także sterlety i inne rosyjskie frykasy, w Polsce nieznane.

Stół podzielono na cztery oddziały. Pierwszy dla osób dwór składających i młodzieży płci obojéj o godzinie 12 pod olbrzymiemi namiotami na ten cel rozbitemi. Drugi o godzinie 2-éj dla części

sztabu, generałów niższego stopnia, gości i osób poważniejszych w Puławach stale mieszkających. Ten dawano na sali górnéj jadalnéj. Trzeci o godzinie pół do czwartéj dla urzędników, dyplomatów i wojskowych wyższego stopnia, którzy nie byli zaproszeni do stołu cesarskiego. Ten obiad podawano w sali złotéj. Czwarty o piątéj wieczorem, obiad cesarski na trzydzieści nakryć, do którego zapraszano osoby z woli Najjaśniejszego Pana wybrane i przez ks. Wołkońskiego wzywane. Ten podawano w sali białéj. Przy pierwszym stole gospodarza zastępował marszałek, przy drugim mój ojciec, przy trzecim książę Konstanty.

Jeśli stół pierwszy obyczajem Puławskiego dworu był dosyć skromny, za to drugi i trzeci, a osobliwie czwarty nic nie pozostawiał do życzenia. Dla cesarza gotowali Francuzi, kucharze Zamojskiego, a puławscy i maciejowiccy cukiernicy wysadzali się na coraz nowe koncepta. Pan major Orłowski marszałkował przy stole cesarskim. Serwisy były srebrne, albo szczerozłote i *en vermeille*, środkiem cudne ornamenta srebrne z rzeźbami z figur starożytnych, dzieło najsłynniejszych paryskich artystów, własność Zamojskiego. Dalej stół ozdabiały bukiety z najcudniejszych kwiatów w kryształowych naczyniach i kosze srebrne do wina, misternie rzeźbione.

Podczas dwudziestodniowego pobytu cesarza Aleksandra, wbrew przyjętym tutaj obyczajom nie było ani fet, ani balów, ani teatrów. Zwiedził tylko cesarz ogród, nieskończony jeszcze Domek gotycki i Sybillę, do którój darował kopułę szklanną i dwa sfinksy z ingryjskiego marmuru. Mieszkanie cesarskie znajdowało się w pałacu na pierwszém piętrze, obok sali złotéj i jadalnéj. Składało się z jednego obszernego pokoju przepierzonego, drugiego wybitego zielonym adamaszkiem i z małego gabinetu. Codziennie o dziesiątéj rano monarcha udawał się do apartamentów księżnéj Czartoryskiéj, tam bawił pół godziny i wychodził na dziedziniec na paradę i zaciąg warty. Warta ta z jednéj kompanii złożona, między pałacem a oficyną ogrodową, pod gołym niebem straż trzymała. Szyldwachów żadnych ani w pałacu, ani przy komnatach cesarskich nie rozstawiano. Na paradę codzień przybywał coraz nowy batalion piechoty, a przy nim oficerów od 9-éj godziny oczekujących bez liku. Ponieważ lokalność dziedzińca, w którego środku znajdowała się sadzawka wiekuistemi lipami obsadzona, nie dozwala na obroty dowolne, batalion więc szykował się tylko wzdłuż oficyny ogrodowéj i następnie rozmaitemi rodzajami marszów przed cesarzem defilował. Parada kończyła się zwykle o 12 i od téj pory aż do obiadu cesarz zwykle z ministrami u siebie pracował. Czasami jednak dla rozmaitości po ogrodzie spacer od-

bywał. Między szóstą a siódmą obiad się kończył, a o ósméj na herbatę do apartamentów księżnéj przychodził. Ponieważ kolacyi nie dawano, przy herbacie więc roznoszono ciasta i rozmaite zimne specyały. Reszta towarzystwa zbierała się do sal górnych, gdzie także stołów nie zastawiano, ale roznoszono herbatę i przekąski. Te zebrania były niezmiernie ciekawe, oprócz tego bowiem, że dwór i sztab cesarski był bardzo liczny, codziennie oprócz tego przybywały rozmaite nowe osoby z rozmaitych stron Europy, deputacye, poselstwa nawet z głębi Azyi. Ścieranie się zdań rozmaitych, opisy nieznanych miejscowości, projekta na przyszłość rozogniały młodzieńczą moję imaginacyą.

Cesarz Aleksander liczył wówczas lat dwadzieścia ośm i był w całéj sile wieku i piękności. Wysokiego wzrostu, zgrabny, o kształtnéj figurze, oczy miał niebieskie, włosy blond i twarz okrągłą. Podówczas jeszcze nie łysy, płeć miał delikatną, prawie kobiecą. Największego uroku dodawała mu łagodność na twarzy rozlana i dobrotliwy uśmiech prawie nigdy z niéj nie schodzący.

Tymczasem starcie sił francuzkich z austryackiemi stawało się nieuchronném. Według otrzymanych w końcu sierpnia rozkazów poruszyły się wojska Napoleona z Hanoweru i Holandii dążąc ku Menowi, z Boulogne zaś skierowały się na Strasburg i Moguncyą. W końcu września pozycye wskazane zostały już zajęte, a 26 Napoleon przybył do Strasburga i naczelne objął dowództwo.

W Berlinie i Monachium dyplomacya działała czynnie. Oba te państwa znajdowały się mniéj więcéj w podobném położeniu, stanowiąc bowiem przegrodę między Francyą z jednéj, a Rosyą i Austryą z drugiéj strony, mogły przypuszczać, że starcie się tych dwóch potęg neutralności zachować im nie dozwoli. Bawaryą naciskał dyplomata francuski Otto, skłaniając ją do połączenia się z Napoleonem. Elektor po długiem wahaniu przymierze to przyjął, aliści zjawia się poseł austryacki ks. Schwartzenberg i oświadcza, że za przystąpienie do koalicyi Austrya ofiaruje Bawaryi Saltzburg i część północną Tyrolu. Trudno było dla korzyści tych zawartego z Francuzami przed jedenastu dniami przymierza odstąpić, ale może być, że elektor byłby to uczynił, zwłaszcza że i królowa i panowie radni do tego go skłaniali, gdyby nie wiadomość, że Austryacy bez pytania przekroczyli pograniczną rzekę Inn. Ten ich samowolny postępek oburzył kraj cały i elektor potajemnie w nocy stolicę opuścił i do Würtzburga przybywszy, z Francuzami się złączył.

Inaczéj rzeczy miały się w Berlinie. Oddawna już polityka dworu pruskiego polegała na tém, żeby traktaty zawierać i zawartych dotrzymywać tylko o tyle, o ile to korzyści dla państwa przy-

niesie. W ten sposób państwo to sformowało się i wzrosło i nie miało wcale zamiaru tradycyjnych obyczajów odstępować. I teraz więc przybyłego Duroc'a z dnia na dzień przetrzymywano, wyczekując zkąd zawieje wiatr pomyślniejszy. Kiedy wojska francuskie z Hanoweru wyszły i kiedy Bernadotte, przechodząc Anspach, neutralność pruską naruszył, pruskiemu dworowi nastręczyła się inna perspektywa. Myślał on, że opuszczony przez Francuzów Hanower łatwo wojskami swemi zajmie i bez względu na to jaki obrót przyjmie wojna, władzę tam swoję ustali. Odpowiedziano więc Durocowi, że ponieważ Francuzi nietykalność granic pruskich zgwałcili, przeto Prusy nie mogą dziś wzbraniać przejścia wojskom rosyjskim i same, niechcąc się mieszać do wojny, sił swych zbrojnych użyją do zajęcia Hanoweru, gdzie wskutek wyjścia Francuzów wybuchnięcie nieporządków jest nieuniknione.

Żeby dokładnie matactwa te dyplomatyczne zrozumieć, potrzeba jeszcze dodać, że w planie medyacyi zbrojnéj, podług Thiersa przez Piatolego wypracowanym, leżało ustanowienie królestwa Polskiego, mającego się składać z prowincyi zabranych przez Rosyą złączonych z tém, co wzięły Prusy w drugim i trzecim rozbiorze. Liczono, że Prusy do koalicyi nie przystąpią i koalicya Napoleona zwyciężywszy, karząc je za upór, prowincye te odbierze. W sformowaném tém państwie miał panować cesarz Aleksander i podobno projektowi temu był on wielce przychylny. Duszą tego pomysłu był książę Adam Czartoryski, ale w politykach rosyjskich, lękających się że takiego rodzaju postąpienie Rosyą na ciągłe narazi wojny, spotykał licznych przeciwników.

Te zamiary tłómaczą nam postępowanie armii rosyjskiéj. Kiedy Kutuzow wkroczywszy do Galicyi, głęboko już w państwie austryackiém się posunął, Michelson tymczasem nieporuszony stał ciągle nad Wisłą. Napróżno Urmeni o pośpiech naglił, dowódzca rosyjski to zbytniem znużeniem wojska, to oczekiwaniem na gwardyą się wymawiał i poprzestał na wysłaniu kilku oddziałów kozackich nad Pilicę. Współcześnie dwaj oficerowie polscy: Sałacki i Buńczukiewicz, dostawszy po 500 dukatów na drogę, wysłani zostali do Prus południowych, żeby przejrzeć jakie są siły pruskie i czy rzeczywiście Prusacy Łowicz i Łęczycę fortyfikują. Kiedy zaś przybył do Puław cesarz i kiedy Urmeni nanowo o pośpiech naglić począł, odpowiedział Aleksander, że zostawiwszy państwo swe bez osłony, nie może się zbytnio angażować, dopóki dokładnie się nie przekona, co zamyślają Prusy i współcześnie wysłał do Berlina dyplomatów Alopeusa i Dolgorukiego, obudwóch projektowi ks. Czartoryskiego nieprzyjaznych.

W Berlinie toczyły się z Duroc'iem układy i poseł francuski otwarcie oświadczył, że Napoleon za przymierze Prus ofiaruje 80 tysięcy wojska dla obrony Prus od Rosyi. Misya Alopeusa była daleko treściwsza. Rosya kategorycznie od Prus żądała przystąpienia do koalicyi, grożąc w przeciwnym razie wkroczeniem w granice pruskie całéj siły rosyjskiéj. Król pruski zwołał radę i zamiast odpowiadać na żądanie posłów, uchwalono naprzód zwiększenie armii do 80 tysięcy i jak najprędsze ściąganie sił zbrojnych. Ten krok przezorny wydał rezultat. Alopeus doniósł cesarzowi Aleksandrowi, że żadną miarą gwałtownie na Prusy naciskać nie można, bo jeśli one z taką siłą na stronę Napoleona się przerzucą, położenie koalicyi nie będzie bardzo wygodne.

Wśród tego wszystkiego wojska austryackie zalały Bawaryą i doszedłszy do Ulmu, przygotowywały się do dalszego ku Renowi pochodu. Bernadotte 27 a Marmont 29 września stanęli w Würtzburgu, główne zaś siły francuskie 25 i 26 września przez Ren pod Strasburgiem się przeprawiły. 1 października Napoleon objął dowództwo i wysławszy część swych wojsk w góry Czarnego Lasu aby ukryć główny swój pochód, zabawiał Austryaków w Bawaryi i z tyłu od Dunaju ich zachodził. 7 października przeprawił się przez Dunaj pod Donauwerth, a kiedy generał Mak, głównodowodzący austryacki wysłał tam kilka batalionów, rozbił je i opanował Augsburg. Od téj chwili los armii austrackiéj był już prawie rozstrzygnięty. Ściskano ją coraz ciaśniejszą obręczą koło Ulmu, 9 nastąpiła bitwa pod Guntzberg a 12 Bernadotte zajął Monachium.

Jakkolwiek rozwiązanie téj tragedyi jeszcze nie nastąpiło, skutki jednak osaczenia Maka już się dawały przewidywać. Wiadomość o zajęciu Monachium w Wiedniu najsmutniejsze wywarła wrażenie i natychmiast kuryerem do Puław przybiegł poseł austryacki książę Auersperg, błagając cesarza Aleksandra, aby Kutuzow spieszył na ratunek zamkniętego pod Ulmem Maka i żeby wojska z nad Wisły raczyły osłonić Wiedeń, który z sił ogołocony i odkryty, bardzo łatwo mógł być zajęty. Równocześnie jednak z ks. Auersperg przybył od Alopeusa z depeszami z Berlina ks. Dołgoruki. Napróżno wtedy książę Adam Czartoryski używał wszystkich swych wpływów i dowodził, że chwila działania nastąpiła. Napróżno przekonywał, że wojska pruskie rozproszone po leżach oprzeć się nie zdołają, że oficerowie rosyjscy do Prus wysłani przywieźli jak najpomyślniejsze raporty, że uporanie się z Prusami wynagrodzi sowicie straty całéj armii Maka, napróżno żądał, żeby Aleksander nie czekając, zaraz królem polskim się ogłosił. Wszystko zostało bez skutku i cesarz nagle cały zamiar zmienił. Wojska rosyjskie za

Wisłę cofać się zaczęły, a do Berlina poraz drugi wysłano Dołgorukiego nie z groźbą wojny, ale z oświadczeniem, że dla bliższego porozumienia się cesarz Aleksander sam do Berlina przyjedzie. Thiers podaje, że król pruski lękał się téj wizyty i osobistych nalegań cesarza, ale królowa i ministrowie przemogli i zaprosiny na ten ważny w historyi zjazd wysłano. To mogę tylko stanowczo panu Thiers zaprzeczyć, że zjazd ten nie mógł się odbyć—jak on podaje—w pierwszych dniach października, gdyż cesarz Aleksander 22 tego miesiąca Puławy opuścił.

Gwardye z księciem Konstantym na Rachów ruszyły, Michelson dla organizowania rezerw wysłany do Wilna a Buxhewden objął komendę jego korpusu.

Po wyjeździe cesarskim cisza straszna i jakaś pustka zapanowała w Puławach, mimo to że się zwykłe towarzystwo tu zostało, ale była to mała garstka w porównaniu do téj masy różnonarodowéj, jaka się tak długo przewijała. Do rozlania jakiegoś uczucia smutku przyczyniła się zapewne ta okoliczność, że zamiary cesarskie nie mogły się zupełnie utaić, a imaginacya stanowiąca jednę z charakterystycznych cech naszéj natury i tu przeszła miarę robionego projektu. Nie wierzono że Królestwo Polskie ma tylko z prowincyj należących do Rosyi i z tego, co w drugim i w trzecim rozbiorze zabrały Prusy się składać, ale liczono, że będzie do niego włączona i Galicya, a Austrya łatwo kompensaty bądź w Belgii, bądź we Włoszech uzyska. Nadzieje te rozwiewały się z wyjazdem cesarskim i nic dziwnego, że wszystkie głowy pochyliły się pod brzemieniem smutnych myśli.

Nastąpiło też w Bronicach w końcu października wesele mojéj siostry. Cały dwór puławski, sąsiedzi z okolicy i kilku Polaków w służbie rosyjskiéj zostających hulali przez trzy dni i po tém terminie siostra moja wraz z mężem wybrała się do Warszawy dla zaprezentowania się pani generałowéj, która na wesele przyjechać nie mogła. W darze weselnym dostała ona od księżnéj Czartoryskiéj prezent zostawiony jéj przez cesarza Aleksandra, sznurek pereł z fermoarem topazowym.

Dotknąwszy pobieżnie wypadków naszych prywatnych, trzeba nam przenieść się na scenę, gdzie się rozwijały dzieje Napoleona, mające z naszą historyą tak ściśle się połączyć. Zostawiliśmy generała Maka okolonego i ścieśnionego pod Ulmem. Miasto to nad Dunajem położone dopiera do ostatniego krańca Schwartzwaldu, do góry Michelsberg zwanéj, która panuje nad miastem i całą płaszczyzną. Pierwszém staraniem Napoleona było odciąć wojskom austryackim komunikacyą z Tyrolem. W tym celu Bernadotte, spędziwszy

Kinmajera zajął Monachium, Napoleon—Augsburg, gwardye i Ney—Weisenharn, Lannes i Murat—oba brzegi Dunaju koło Güntrburga, Soult—Landsberg, a Davoust stanął między Monachium a Augsburgiem. Generał Mak dopiero w ośm dni po takiem uplacowaniu się Francuzów odebrał wiadomość od pułkownika Colloredo, że Francuzi przeprawili się przez Dunaj. Dopiero bitwy pod Güntzburg i Landsberg przekonały go, że jest otoczony i że z calą armią będzie miał do czynienia. Dla tego postanowił bronić się w Ulmie, wszystkie siły tutaj zgromadzał i w 60.000 ludzi Michelsberg obsadził!

Jedenastego października generał Dupont, dowódzca dywizii z korpusu Neya, posuwając się od Dunaju z oddziałem sześciotysięcznym znalazł się u stóp Michelsbergu, a zobaczywszy tu takę masę żołnierza, nie śmiał iść daléj tylko postanowił pozycyi swéj bronić. Arcyksiążę Ferdynand pod Helsach napadł z 25.000 na tę drobną garstkę, ale Francuzi cudów waleczności dokazawszy z pozycyi spędzić się nie dali i wzięli nawet parę tysięcy niewolnika. To niepowodzenie skłoniło Maka, że postanowił Ulm opuścić i do Tyrolu się przedrzéć. Jako pierwszą pikietę posłał jenerała Spangen w 5.000 ludzi, na Meiningen skierował 10 tysięczny korpus Jelaczicza, a dla wzmocnienia pozycyi pod Helsach jenerał Riesse zajął klasztor Elchingen. Wszakże 14, Ney przeprawiwszy się przez Dunaj klasztor ten zdobył, a Soult jenerała Spangen do kapitulacyi zmusił. Jenerał Jelaczicz także się poddał, a arcyksiążę Ferdynand bojąc się, aby do niewoli nie został wzięty, w kilka tysięcy koni ku Czechom uciekał. Murat nie dawał mu wytchnienia i zanim do granie czeskich dotarł, 1.700 niewolnika mu zabrał.

15 października Napoleon zaatakował Michelsberg i Mak osłabiony poprzedniemi bitwami, tudzież odłączeniem się arcyksięcia nie mógł się bronić i kapitulacyą podpisał, tak w dziewięciu dniach kampania ta skończona została bez walnéj bitwy, niszcząc całą armią austryacką.

Cesarz Aleksander przybył do Berlina 25 października i przyjęty był z serdecznością przez króla, a z uniesieniem przez mieszkańców, kilka dni pobytu wystarczyło mu do zjednania dworu całego na swoję stronę, nie zdołał jednak wymódz na królu pruskim formalnego przystąpienia do koalicyi. Warunkowo tylko w umowie z listopada zobowiązywał się król pruski do związku przystąpić, jeśli Napoleon nie zgodzi się na wynagrodzenie za Piemont, na ustąpienie części Włoch Austryi po rzekę Mincio i na uznanie niepodległości Holandyi, Szwajcaryi i Neapolu.

Obie podpisujące strony obiecywały sobie z tego układu wielkie korzyści. Cesarz Aleksander był pewny, że król pruski już do

koalicyi należy, można bowiem było być pewnym, że Napoleon, szczególniéj po doznaném szczęściu warunków tych nie przyjmie. Król pruski znowu liczył, że Napoleonowi koniecznością przyjęcia umowy, kiedy miał już nóż na gardle, się usprawiedliwi, przekonać go wszelako potrafi, że dotrzymać jéj nie miał zamiaru. Duroc, który dotychczas w Berlinie siedział, starając się napróżno o przedmiocie układów dowiedziéć, opuścił pruską stolicę i do głównéj kwatery podążył.

Napoleon w ostatnich dniach października przeprawił się przez Inn i wkroczył do posiadłości austryackich. Generał Kutuzów złączył się w téj okolicy z Kinmajerem i Merfeldem z Czech przybyłym i sformował siłę koło 70,000 wynoszącą. Nie ośmielił się jednak iść na obronę Wiednia, ale prawie pod okiem wojsk francuzkich przez Dunaj pod Krems się przeprawił. Korpus Mortiera pod Dornstein zastąpił mu drogę i tu nastąpiły dwie mordercze bitwy w dniach 11 i 12 listopada. Oba wojska dały dowody cudów męztwa i korpus Mortiera prawie zupełnie został zniszczony. Jednakże wskutek cofnięcia się Kutuzowa do Morawii Wiedeń został odkryty i Murat wraz z Bertrandem pomimo obrony ks. Auersperga, tego samego, który był w Puławach, zajęli mosty na Dunaju. Lannes tymczasem i Oudinot ściskali Kutuzowa koło Berna, 19 listopada Napoleon rozkwaterował się w zamku Dietrichsteina Nikolsburgu i z okien salonu widząc dokładnie gościńce wiedeński i Berneński kazał tu zatoczyć działa. Z trudem, po rozebraniu lawet dało się to uskutecznić, a Napoleon pewny, że z Austryakami sprawa już skończona, spał wygód niepomny pomiędzy kanonierami. Giulay i Stadion, dyplomaci austryaccy przybyli ofiarować mu pokój. Warunki były bardzo trudne. Napoleon żądał zupełnego ustąpienia królestwa włoskiego i weneckiéj prowincyi, a gdy wysłani posłowie rozmaitemi bronili się sposobami, niechcący wymknęła się im pogróżka, że król pruski przystąpił do koalicyi i że wygrana Napoleona nie jest jeszcze kompletna. Cesarz Francuzów posłów do Talleyranda do Wiednia odesłał, a sam nad tą wiadomością rozmyślać począł.

Cesarz Aleksander z Berlina udał się do Ołomuńca, gdzie zastał Kutozowa z Buxhewdenem złączonego. 18 listopada zaczęto się ku Bernu posuwać, gdzie Napoleon swoje siły gromadził, spotkano się 2 grudnia pod Austerlitz u stoku gór wśród płaszczyzn poprzecinanych stawami, klucz pozycyi ze strony sprzymierzonych stanowiła wzgórzysta wyniosłość Pratzen; tu zgromadzono wszystkie siły. Że jednak postanowiono odciąć Francuzów od traktu Wiedeńskiego, oddzielono więc w tym celu korpus Buxhewdena z dywizyami Kinmajera, Langerona, Przybyszewskiego i Dochturowa. Było to wła-

śnie w miejscu, gdzie rozciągały się stawy. Napoleon, żeby nieprzyjaciela łatwiéj do zasadzki zwabić, słabo obsadził wioskę, a gdy korpus naprzeciw stawów się znajdował, uderzył na niego całą siłą i napędził go na błoto, gdzie działa i mnóstwo ludzi poginęło. Współcześnie zaatakowano Pratzen i siły sprzymierzonych nie były w stanie się oprzéć.

Na drugi dzień po bitwie nastąpiło osobiste widzenie się cesarzów Franciszka i Napoleona w młynie Paleny. Kiedy pierwszy upraszał o zawieszenie broni i pokój, Napoleon za główny warunek układów położył wycofanie się wojsk rosyjskich z Austryi. Armia więc rosyjska do swych granic wracała, a pertraktacye pokojowe rozpoczęły się naprzód w Bernie a następnie w Presburgu.

Chociaż Napoleon odniósł świetne i zupełne zwycięztwo, armia jego jednak była bardzo osłabiona. Uzyskawszy ogromne powodzenie i zwycięztwo jedynie dzięki niesłychanéj szybkości ruchów, wpadał w drugie niebezpieczeństwo głodowe. Wojsko nie miało magazynów i żywiło się rekwizycyami. Gdzie armia przeszła wszystkie zapasy zostały zjedzone, bydło wyrżnięte, stodoły popalone i zostawała zupełna pustka, nie mogąca drugi raz dostarczyć żadnego pożywienia. Wojna w 150.000 rozpoczęta, po dwóch miesiącach zostawiała armią nie wynoszącą więcéj jak 60.000. Wprawdzie po dołączeniu do tego korpusa Neya w Tyrolu 10.000 i Maseny we Włoszech 40.000 było tu jeszcze dość wiele, ale po odtrąceniu koniecznych załóg, na plac boju nie mogło wyjść więcéj jak 90.000. Przeciwko temu Austrya po bitwie Austerlickiéj posiadała jeszcze: szczątków rozbitéj armii 15.000, armia Włoska i Tyrolska 100.000, siły rosyjskie pozostałe z pod Austerlitz 35.000 i armia Beningsena na Szląsku 40.000 czyli wszystkiego razem 250.000. Napoleon przez uzyskanie odwrotu Rosyan wielką otrzymał przewagę, niespokojny jednak co do tego, co zamierzają Prusy, przeniósł swą kwaterę do Schönbrunu i tutaj p. Haugwitz bawiącego w Wiedniu wezwał. Poseł pruski nie wspomniał o zawartéj z Cesarzem Aleksandrem umowie, a ponieważ Napoleon propozycyi robionych Prusom przed wojną nie cofał, przeto zawarto między Prusami a Francyą zaczepno odporne przymierze. Hannower przyłączono do Prus, księstwo Kliwii i Neufchatel dostały się Francyi, a Anspuch oddano Bawaryi.

Jeżeli orężem w przeciągu dwóch miesięcy Napoleon odniósł wielkie korzyści to w porównanie z niemi iść nie mogą zyski osiągnięte na drodze dyplomatycznéj, uzyskane w dniach trzynastu. Wojska rosyjskie cofały się do siebie, król pruski od koalicyi na francuzką stronę przeciągnięty i Austrya pozostawiona na łasce zwycięzcy.

Musiała się więc zgodzić na następujące upokarzające warunki:

1. Książęta Badeński i elektorowie Wirtemberski i Bawarski do godności królewskiéj wyniesieni i Austrya traciła wszystkie posiadłości w Szwabii, Ortenau i Brisgau.

2. Dla królestwa włoskiego odstąpiła Wenecyą—dla Francyi Istryą i Dalmacyą.

3. Dla Bawaryi odstąpiono Tyrol.

4. Za to wszystko dostawała tylko Saltzburg, którego książę na króla Wirtemberskiego został przeznaczony.

Pokój ten 26 grudnia podpisano w Presburgu. Napoleon powrócił do Paryża, a wojska francuzkie cofnęły się do Bawaryi.

Cesarz Aleksander ujrzał rozbitą koalicyą i dla tego z cesarzem Franciszkiem, który sobie obrał kwaterę na zamku w Haliczu chłodno się rozstawał! Do Petersburga wracał na Lublin, gdzie go w przejeździe witał książę Feldmarszałek, ale o wojnie, ani o polityce w czasie tego widzenia się, ani cesarz, ani otaczający jego nie wspomnieli ni słówka. Wojska wracały także powoli jedne przez Galicyą, drugie przez Prusy.

Mówiono, że między Wadowicami a Krakowem u powozu cesarskiego złamało się koło. Aleksander pieszo udał się do najbliższéj wsi i zaszedł do Proboszcza. Ksiądz staruszek nie wiedząc o godności gościa, zaprosił go na kawę i rozpoczął polityczną rozmowę.

— Oj młody człowiek ten cesarz, mówił—młody, rad wojować a sam nie wie po co, krew słowiańską przelewać za Niemców? A niech ich tam Francuzi tłuką i niech Bóg im dopomaga.

Do pokoju wszedł adjutant, donosząc, że powóz naprawiony proboszcz zmiarkował z kim ma do czynienia, ale nie tracąc fantazyi ekskuzował się:

— Nie wiedziałem, że mnie dziś takie spotkało szczęście mieć w swém domku potężnego władcę północy. Mówiłem śmiało, ale mówiłem co myślałem. Proszę mi darować.

Cesarz śmiejąc się odpowiedział:

— Mówiłeś do oficera rosyjskiego, ale nie do cesarza, a może i cesarz z tego skorzysta. I zdjąwszy z palca pierścionek ofiarował go, dodając:

— Proszę za doznaną gościnność przyjąć tę pamiątkę.

Myśmy rok ten w Puławach skończyli w tém przekonaniu, że Napoleon został zwyciężony i, że sprzymierzeni zaszczytny pokój zawarli. Dopiero przybycie Konstantego Dembowskiego, który pod Austerlitz wzięty był do niewoli, objaśniło nas o rzeczywistym obrocie wypadków.

XII.

Rok 1806 rozpoczął się dla nas w Puławach jak zwykle zabawami. Żeby dać o nich krótką wzmiankę przytaczam wyjątek z listu Grabowskiego.

„Puławy 18 maja 1806 r. Gorąco tu niesłychane, a rwetes coraz większy nikt dotąd z gości nie wyjechał i prawdopodobnie wyjechać nie myśli. Dziś ma się agitować Marya Ludwika (feta, dwór téj królowéj we współczesnych strojach reprezentująca). Wczoraj było wesele szóstéj już panienki z pensyi p. Januszowskiéj (Kruszyńskiego z panną Barbarą Poświatowską). Zosia (Matuszewiczówna) na czele pozostałych panienek, wszystkie, ubrane w białe sukienki, pannę młodą poprzedzały i wyglądały ślicznie. Kruszyński był bardzo rozczulony tak jak i ja, kiedym sobie Bronice przypomniał. Proboszcz zwyczajem swoim grymasił, nie chciał przyjechać i zgodzinę na sali wszyscyśmy z państwem młodem czekali. Po ślubie nastąpił podwieczorek pod lipami, potém spacer na wodzie, późniéj objechano kępę aż do Włostowic i wrócono na bal suty, wesoły i do białego dnia trwający. Onegdaj był chrzest jednéj panny z rana i Zosia z ks. Radziwiłłem, a p. Zamojska z ks. Jabłonowskim jéj kumowali. Połowa towarzystwa potém pojechała do Celejowa, a połowa, w któréj ja się znajdowałem, udaliśmy się do Parchatki, ale balu nie było. Na św. Zofią naprzód znajdowaliśmy się u księżnéj, późniéj przeszli na śniadanie do sal górnych i tam zatrzymali się aż do obiadu, który był strojny, suty i długi bez końca. Po obiedzie koło godziny szóstéj ruszyliśmy do Sybilli. Muzyka grała śpiew: „nad szumnym Dniestrem"—a skorośmy do świątyni doszli, z wnętrza jéj wyszły procesionalnie panny w białych sukniach i białych welonach, jedna tylko Zosia na czele ich idąca ubrana była w ponsową tunikę. Niosła ona na poduszcze szkarłatnéj, złotem haftowanéj; złote klucze od świątyni i zbliżywszy się do księcia Feldmarszała, jemu je ofiarowała. Ta muzyka, ten widok zebranych polskich pamiątek, myśl o przeszłości, powaga obrządku i uroczyste milczenie, które po ustaniu muzyki nastąpiło, miało w sobie coś świetnego, ale zarazem tkliwego i żałośnego. Łzy się gwałtem cisnęły do oczu i nie jeden myśląc o przeszłości, szczerze zapłakał, książę był mocno wzruszony i wszyscy przejęci a zasmuceni wracali. Bal wieczorem był liczny, ale niesłychane gorąco nie dozwoliło długo tańcować i około 2 godziny po północy rozeszliśmy się.

Jutro mamy jechać do Buńki, gdzie wieczorem będzie maskarada dziecinna. Po jutrze feta w Celejowie, we środę gramy „*Le*

Mariage sécret, a panna Ewa Kicka, pani Wincentowa Tyszkiewicz, mój brat (Michał), Rautenstrauch, ks. Konstanty i ja bierzemy w nim udział. We czwartek mamy przedstawić *les Metamorphoses*, a pani Wincentowa Tyszkiewicz, która do tych zabaw wielkiego nabrała gustu, obszerne na przyszłość robi projekta.

Ponieważ o zabawach już mowa, muszę wspomnieć, że mieliśmy liczne bale rozmaitego rodzaju, zwykłych co nie miara i kostiumowe, ulubione szczególniéj przez damy, które na rozliczne i różnorodne stroje się sadziły. Rzeczywiście przedstawiały garderoby bardzo piękny widok, tak z powodu ich różności, jak i bogactwa. Maskarady znowu dziwactwem swojem śmiech obudzały. Niechodziło tu bowiem jedynie o przywdzianie domina i maski, ale o ukrycie się w jakimś przedmiocie tak, żeby osoby ukrytéj widziéć nie można było. Pamiętam, że na jednéj z takich maskarad książę Puzyna ukryty był w ogromnym bucie, ja w trzewiku, a p. Khitel w wieży. Na maskaradach tych można było odbyć dokładny kurs historyi naturalnéj, tyle się tu bowiem zbierało rozmaitych zwierząt i ptaków. Niewygoda wszakże podobnych przestrojeń sprawiała, żeśmy je po godzinie rzucali i bal w zwykłych odbywał się ubiorach.“

Polityka w tym roku w ważne bardzo wypadki była obfita. Napoleon, powodzeniem zachęcony, w grudniu jeszcze ozwał się z zamiarem, że chce z tronu Neapolitańskiego usunąć dynastyą Burbonów. Zdobywcze jego zamiary, powstające co chwila, trudno nawet bardzo zrozumiéć, boć i tłómaczenie to jakie podał późniéj na wyspie św. Heleny, nie objaśnia ich dokładnie. W pamiętnikach swych przyznał się, że zamiarem jego było utworzenie trzech mocarstw federacyjnych pod zwierzchnictwem Francyi. Hiszpania i Portugalia, złączona w jedno, Włochy i Francya stanowić miały tę trójcę romańską. Zwróciwszy jednak uwagę na to, że nie bardzo granice tych państw szanował i szczególniéj wiele ziem od Włoch do Francyi przyłączał, powątpiewać można, czy to wyznanie jest szczere. Dla téj szczególnéj gorączki podbojów sam na największe narażał się niewygody. Kiedy w młynie pod Austerlitz z cesarzem austryackim się spotykał, przyjął go przy ogniu rozłożonym pod gołym niebem i rzekł jakby z wyrzutem te słowa. „Przyjmuję cię, cesarzu, w kwaterze, którą z twojéj łaski od dwóch miesięcy jedynie posiadam.“ W czasie kampanii na lada chacie poprzestawał i żądał tyle tylko miejsca, żeby plany topograficzne i mapy rozłożyć się dały. Nieodstępny jego towarzysz Baeler d'Albe, nad mapami temi czuwał i z rozkazu Napoleona na nich szpilkami, na których uczepione były etykiety noszące nazwiska dywizyi, wytykał pozycye. Kiedy plan dalszych ruchów był ułożony, przewoływano Berthiera, naczelnika

sztabu i jemu wykonanie powierzano. W czasach w których podburzone przeciw Napoleonowi umysły, rozmaite na niego wymyślały oszczerstwa, kiedy go o brak odwagi, a nawet o tchórzostwo posądzano, utrzymywano także, że wszystkie jego wojenne talenta w głowie p. Baeler d'Albe się mieszczą. Jest to przesada wyraźna, bo choć Baeler był doskonałym malarzem, rysownikiem i topografem, przy Napoleonie pełnił funkcye ślepéj maszyny, wypełniającéj wszystko, co jéj polecą. Posiadam roboty jego widok z kampanii Szwajcarskiéj i Hiszpańskiéj, bitwy pod Arcole i Austerlitz i cenne mapy Włoch.

W czasie kampanii Napoleon ze szczególną także bystrością umiał chwytać wszelkie wskazówki udzielane przez ludzi miejscowych, i nie wahał się zniżyć do wypytywania nawet najnędzniejszego chłopka. Wielkie jego czarne oczy zdawały się tajemnicę zgłębi serca dobywać, a oprócz tego wzrok ten pewne zaufanie budził. Obok szybkości pojęcia posiadał on nie pojęty dar wynajdywania odpowiednich środków i energią, tak że czyny u niego zdawały się biedz z takąż samą szybkością jak i myśli.

Skoro tylko w 37 bulletynie wielkiéj armii ogłoszono, że dynastya Burbonów przestaje w Neapolu panować, zaraz w pierwszych dniach lutego Massena zajął te kraje a 30 marca 1806 r. Józef Bonaparte królem Neapolitańskim został ogłoszony. Podobnież Holandya, wierna aliantka Francyi, dotąd jako rzeczpospolita się rządząca została królestwem i Ludwik Bonaparte 5 czerwca objął jéj berło, 12 lipca na gruzach upadłego cesarstwa Niemieckiego utworzoną konfederacyą Reńską i królowie: Bawarski, Wirtemberski, książęta Badeński, Hessko-Darmsztadzki, Bergski, Nassauski i wielu innych drobnych weszli do niéj i zwierzchnictwo Francyi nad sobą przyznali. W tydzień potém Franciszek II, złożył od czasów Karola W. piastowany tytuł cesarza Niemieckiego, a nazwał się cesarzem austryackim.

Te wszystkie zmiany zaniepokoiły umysły, a i pokój mimo świeżo zawartych traktatów nie zdawał się zbyt trwałym. Austrya ociągała się z oddaniem Dalmacyi, a Napoleon zatrzymał jéj twierdzę pograniczną Braunau. Nadto w czasie, kiedy Napoleon zwyciężał pod Ulmem, Nelson pod Trafalgerem zniszczył prawie doszczętnie flotę francuzką, zwycięztwo to sam przypłacając życiem, a Rosya, z którą wojna urzędowo zakończoną nie została, poleciła admirałowi swojemu Sieniawinowi zająć Cattaro. Napoleon, który do miasta tego, jako graniczącego z Turcyą szczególną przywiązywał wagę zagroził Austryi, że jeśli Rosyi do opuszczenia zajętego miasta nie skłoni, on nanowo kroki wojenne rozpocznie.

Równie trudne było położenie Prus. Haugwitz do Berlina z przymierzem zaczepno odpornem powróciwszy doznał jak najgorszego przyjęcia. Królowa, rodzina królewska, wojska i lud czuli się upokorzonymi, że dozwolili pognębić współbraci swych Niemców, że nie tylko zerwali traktat zawarty co dopiero z Rosyą, ale nadto zawodzili Anglią, z którą Hardenberg w grudniu zawarł o subsydya umowę. W gruncie rzeczy było tam zapewne najwięcéj obawy o los swój własny i żal za utraconemi Anspach, Neufchatel, księstwem Bergu i Kliwii, których Hannower nie wynagradzał w zupełności, tém więcéj, że o niego prawdopodobnie potrzeba było jeszcze z Anglikami prowadzić wojnę. Zwołano wielką radę cywilno-wojskową i na niéj postanowiono umowę ratyfikować dopiero po porozumieniu się powtórném.

Pan Haugwitz pojechał więc do Paryża, ale tu zamiast uzyskać jakich korzyści musiał poczynić nowe ustępstwa. Wkładano na Prusy uznanie nowego królestwa Neapolitańskiego i zamknięcie dla angielskiego handlu ujść Elby i Wezery. Posłowi za powrotem z Paryża wszystkie okna wybito, a Hardenberg podał się do dymisyi. Przyjęto jednak przymierze zaczepno-odporne i współcześnie do Petersburga wysłano ks. Brunswickiego, tłómacząc się że traktat z Francyą nie ma nic więcéj na celu jak zapewnienie neutralności, że Hannower zajęto dla tego, żeby z północnych Niemiec oddalić wpływy francuzkie. Rząd rosyjski otwarcie zaproponował Prusom zawarcie tajnego przymierza, przyrzekając, że jeśli król pruski wojnę Francyi wypowie, Rosya całą swą potęgą podtrzymywać go będzie. Ks. Brunświcki tłómaczył się, że nie ma odpowiednich pełnomocnictw, a i w Berlinie władza pomiędzy różnemi prądami się chwiała.

W tym roku także umarł w styczniu (23) Wiljam Pitt i następca jego Fox okazał się skłonnym do układów. Poufnie wybadywano rząd francuzki i Napoleon oświadczył, że gotówby był zwrócić Anglii oddany dopiero co Prusom Hannower, gdyby Anglia ze swéj strony zwróciła Francyi, lub sprzymierzeńcom jéj, zajęte posiadłości. W tym czasie także ks. Adam Czartoryski, widząc, że wszystkie jego plany co do zbrojnéj medyacyi upadły, podał się do dymisyi, a dowiedziawszy się o tém w Paryżu bawiący Oubril podpisał traktat, w którym warunki pokoju w Presburgu i późniejsze zabory Napoleona w imieniu Rosyi zatwierdził. Aleksander wszakże ratyfikacyi odmówił, nie mógł bowiem zgodzić się na opuszczenie zupełne Burbonów i na myśl, że Rzesza Niemiecka ma pozostać pod wpływami Francyi. Nadziei pokoju jednak nie odepchnął, oświadczył tylko że traktować będzie razem z Anglią.

W Berlinie, depesze posła pruskiego Lucchsiniego donoszące że Napoleon gotów Hannower oddać Anglikom, jak największe wywołały oburzenie, królowa, książę Ludwik Pruski i Haugwitz, który teraz najgwałtowniejszym reakcyonistą się zrobił, krzyczeli na nieposzanowanie traktatów i gwałtem domagali się wojny. Zaczęły się dyplomatyczne objaśnienia i rząd francuzki lojalnie oświadczył, że nic jeszcze w tym względzie nie postanowiono i że gdyby przyszło do oddania Anglikom Hanowera, zrobi się to jedynie za wiedzą Prus i po odpowiednich kompensatach. Mimo to Haugwitz odwołał z Paryża margrabiego Luchesiniego i na jego miejsce posłał Knobelsdorffa, żądając, aby wojsko francuzkie za Ren cofnięto. Napoleon żądaniu temu byłby się prawdopodobnie nie opierał, ale, dowiedziawszy się, że cesarz Aleksander ratyfikacyi podpisanego przez Oubrila traktatu odmówił, przypuścił, że nowa koalicya przeciwko niemu już zawiązana i że układy angielskie są tylko prostem łudzeniem, aby go nieprzygotowanego można było zaskoczyć. Dlatego żądaniom pruskim odmówił i już w początku października wojska swe nad Menem gromadzić począł.Król pruski także wyjechał do obozu, który wzdłuż Saali w okolicy zwanéj Thüringer Wald rozciągał.

Na starcie niedługo potrzeba było czekać. Współcześnie zaszła potyczka pod Schleitz i ośmiotysięczny oddział ks. Ludwika pruskiego 10 października przez jenerała Lannes pod Saalfeld rozbity został. Sam ks. Ludwik, obiecujący wielkie nadzieje, tu poległ. Klęska ta zamiast ostudzić, obudziła raczéj ducha w wojsku pruskim. Król objął naczelne dowództwo i armią do 150.000 żołnierza liczącą na dwie podzielono części, jednéj przywodził ks. Brunswicki, drugiéj ks. Hohenloe. Niżsi jenerałowie: marszałek Mölendorff, Rüchel i Kalkreuth, i pomiędzy sobą i z główną komendą niezgodni, nie ułożyli żadnego innego planu, jak tylko ciągle iść naprzód, w nadziei może, że jeszcze nieprzyjaciela przygotowanego nie zastaną. Niestety nie długo osiągnięto pewność, że armie Napoleona do zaczepnego boju gotowe i marszałkowie Dovoust i Bernadotte skierowali się do Naumburga, Lannes i Augereau ku Jenie, a Soult i Ney pozostali w średniéj między temi masami pozycyi.

Prusacy w pierwszéj chwili byli, zdaje się, zdecydowani bronić wybrzeżów Saali, ale ks. Brunświcki przestraszony zajęciem Naumburga i, obawiając się, żeby go nie odcięto od Berlina, zamierzył cofać się wzdłuż Saali ku Elbie i ks. Hohenlohe polecił powstrzymać Francuzów przy Jenie. Generał Rüchel miał służyć za rezerwę i ściągnąć do siebie ks. Weymarskiego, który poprzednio wysłany był w góry Turingeńskie.

13 października ks. Brunswicki w stronę Naumburgu wyruszył, a Napoleon podstąpił pod Jenę. Miasto to położone jest w głębokim rozdole, w środku którego płynie rzeka Sala, ani zbyt bystra, ani zbyt głęboka, żeby obrotom wojennym mogła przeszkadzać. Dolina rzeki aż po Weisenfeld jest wszędzie wązką, a oba jéj wybrzeża pasmem niezbyt wysokich gór są otoczone. Droga ku Weymarowi zamknięta jest stromą górą Mühlthal i tę Prusacy silnie obsadzili. Nad samém miastem Jeną wznosi się najwyższa góra Landsgrafenberg i u jéj podnóża znajdował się pruski jenerał Tauentzin ze swym oddziałem. Dywizya Suchet'a z drugiéj strony postępując, opanowała wierzchołek téj góry, a Napoleon postanowił wprowadzić na nią gwardye i korpus jenerała Lannes. W nocy przy pochodniach sapery przy osobistym nadzorze Napoleona drogę tu dla dział kuli i przed świtem artylerya była na stanowisku.

Kiedy główne siły francuzkie tak blizko Prusaków obozowały, ks. Hohenlohe przekonany, że armia nieprzyjacielska od Nauenburga ku Lipskowi się skierowała, przypuszczając, że co najwyżéj dwa korpusy z pod Saalfeld mogą się tu znaleść, jenerała Tauentzin zostawił pod Jeną, a sam na trakcie ku Weymarowi się wyciągał. Rankiem zagrzmiała kanonada i kiedy głównodowodzący posiłki Tauentzinowi chciał posłać, odebrał od ks. Brunswickiego rozkaz, aby, unikając walnéj bitwy pod Dornbergiem, o dwie mile niżéj śpieszył.

Tymczasem korpus Lannes'a jak lawa spadając z góry już o 9 rano korpus Tauentzina rozbił, zabrał działa i mnóstwo niewolników. Ks. Hohenlohe na pomoc mu się rzucił, ale napotkał korpus Neya i z nim utarczkę zwieść musiał, kiedy zaś pierwsze tylko zaczynały się szarmycle, nagle Lannes z przodu, Augereau i Soult otoczyli go z boków. Generał Rüchel, który już był pod Weymarem, na głos strzałów przybywa, ale przybywa zapóżno i sam na polu walki ginie. Popłoch zrobił się nie do opisania, na wszystkie strony zaczęto uciekać, a tu tymczasem Murat rozpuścił swoję kawaleryą, która na wszystkie strony zabierała jeńca. Bitwa po Jeną zniszczyła zupełnie całą tak zwaną armią szląską, z Prusaków i Sasów złożoną.

Nie lepszego losu doznała i druga jéj połowa, chociaż tylko z marszałkiem Davoust miała do czynienia, kiedy Davoust zajął Nauenburg i posuwał swe eksploracye na drugą stronę rzeki do Kösen, schwytani jeńcy donieśli mu, że ks. Brunświcki tu dąży. Ponieważ posiadał tylko 26.000 żołnierza i na otwartym miejscu z 70 tysięczną armią mierzyć się nie mógł, w nocy więc obsadził wąwóz Kösen i uszykował się pozaniem na wzgórzach. Ks. Brunświcki wyruszył z Auerstädt i wojska pruskie wązkim gościńcem postępowały gęsiego. Najpierwszy na plac boju przybył Blücher z jazdą i Schmetau ze

swym korpusem. Porwały się te dwa korpusy na przełamanie francuzkiéj linii, ale dokonać tego nie mogły. Przybyła dywizya Wartenslebena nie zdołała jeszcze przeważyć szali, a tu tymczasem generał Schmetau ranny, ks. Brunswicki śmiertelnym strzałem w twarz ugodzony i pod królem konia zabito. Przybywa z kolei ks. Oranii, ks. Wilhelm Pruski na czele 10.000 jazdy, bitwa krwawa, ale Francuzi nie opuszczają pozycyi. Pozostał jeszcze nietknięty korpus Kalkreutha i wszelkie szanse przewagi były po stronie pruskiéj, król jednak nie chciał słuchać Blüchera, domagającego się złamania linii francuzkiéj i postanowił cofnąć się, aby się połączyć z Hohenlohem. Cofanie odbyło się w porządku, ale kierując się ku Erfurtowi i Magdeburgowi najgorszą wybrano drogę. Spotkano się tu z niedobitkami z pod Jeny i nieporządek a zamęt powstał jak największy. Odbiegano dział, wozów amunicyjnych, a Francuzi bez trudu zabierali jeńców.

15 października Napoleon ogłosił, że elektor Hessen—Kasselski przestał panować. Monarcha ten posiadał ogromne bogactwa, zebrane głównie z opłat za pozwolenie Anglikom rekrutowania w swojem państwie. Kiedy marszałek Mortier do Kassel się zbliżał zmuszony był uciekać i nie wiedząc co ze skarbami swemi począć, pozostawił je w depozyt Frankfurckiemu negocyantowi Rotszyldowi. W 1815 r. Rotszyld sumę mu powierzoną elektorowi zwrócił z procentami, ale zyski przy nim pozostały i to było początkiem fortuny Rotszyldów.

Dalsze zwycięztwa były już tylko zabawką i Francuzi bez trudu pozostałe korpusy rozbrajali i zabierali fortece. Najdłużéj trzymał się Blücher, ale i ten zagnany aż za Lubekę i przyparty do błot i morza poddać się musiał, a kiedy Kistrzyn i Magdeburg wzięto, Napoleon stał się panem całych Prus oprócz Szląska.

25 października marszałek Davoust zajął Berlin i Napoleon założył tu główną kwaterę, oczekując póki resztki pruskich niedobitków niezostaną wyłowione. Tu przyszły mu na myśl naturalne szczególnych zwycięztw tych skutki. Starcie z Rosyą stawało się nieuniknione, a kwestya na tém tylko polegała, czy nad Odrą wojsk rosyjskich czekać, czy rzucić się naprzód i spotkać się nad Niemnem i Wisłą. W obu przypadkach nastręczały się nie małe trudności. Przedewszystkiém nie można było dowierzać Austryi, tém więcéj, że wszystkie warunki pokoju Presburskiego nie były jeszcze wypełnione i że Austrya gromadziła wojsko w Czechach. Za zbliżeniem się wojsk rosyjskich i połączeniem ich z niedobitkami pruskiémi można było napewno spodziewać się odżycia koalicyi. Wówczas to powstał w umyśle Napoleona projekt wyzyskania usposobienia i uczuć Pola-

ków. Poraz pierwszy tu, ten, który we własnym kraju republikańskie rządy zdusił i woli swojej nigdy szranków nie zakładał, udał się do środka poruszania mas przez ukazanie widma wolności.

Przywołano z Neapolu generała Dąbrowskiego, z Paryża Wybickiego i jednocześnie zaproponowano Austryi, czyby za odstąpienie obu Galicyi nie zdecydowała się przyjąć Szląska. Austrya odmówiła i był to najlepszy dowód, że z koalicyą myśli się połączyć, a Napoleon nie chcąc rozkiełznywać narodowego zapału, w połowie postanowienia swego się zatrzymał. Niemniéj przeto wezwano Kościuszkę, aby objął dowództwo nad siłami z Polaków mającemi się utworzyć, ale Kościuszko, składając się wiekiem, słabością i daném w Petersburgu słowem się wymówił. Tymczasem Dąbrowski i Wybicki podpisali 3 listopada odezwę do narodu i natychmiast swoim rodakom ją rozesłali. Odezwa ta głosiła:

1. Napoleon wielki i niezwyciężony wkracza do Polski na czele 700.000 wojska bez wnikania w tajniki jego zamiarów starajmy się zasłużyć na jego wspaniałomyślność.

2. Zobaczę, powiedział nam, czy godniście stać się narodem—jadę do Poznania, tam myśli moje o was się ukształcą.

3. Wasz mściciel i wasz twórca znaleziony, teraz od was zależy mieć istnienie i ojczyznę.

4. Działajcie—powiedział,—dajcie mi wasze serca i ramiona i dowiedźcie, że zasługujecie mieć ojczyznę—nie macie broni, dostarczę jéj wam.

5, Polacy, którzy zostajecie w obcéj służbie, łączcie się z nami.

6. Niedługo Kościuszko przywołany do was przybędzie. Pomnijcie, że legiony nie zostały bezowocne, one to bowiem dały poznać zwycięzcy charakter Polaków......

Odezwa ta po polsku i po francuzku została wydrukowana.

Davoust wkroczył w Poznańskie i 9 listopada przybył do Poznania. Po drodze ludność przyjmowała Francuzów z największym zapałem, znoszono najrozmaitsze zapasy, traktowano oficerów i żołnierzy, a serdeczność była tak ogromna, że nawet marszałek Davoust zwykle surowy, ponury i wcale nieulegający egzaltacyi wpadał w zapał i najpochlebniejsze swemu monarsze zdał raporty o usposobieniu Polaków. Do Poznania przybył także Radzymiński, wojewoda Gnieźnieński, starzec łysy zupełnie, z małym wiankiem siwych włosów, z sumiastym wąsem i w kontuszu, który już tak rzadko wtedy się spotykał. Jemu Dąbrowski i Wybicki powierzyli zarząd cywilny ziemi Wielkopolskiéj. Powstania formowały się wszędzie, ale powstawać było łatwo przy nieobecności wojsk pruskich i ograniczono

się tylko na wypędzeniu władz pruskich i pozrzucaniu herbów i orłów.

Nowy wojewoda ogłosił tak zwane Pospolite Ruszenie i do niego obowiązany był stawać każdy szlachcic osobiście lub przez zastępcę z jednym szeregowcem. W miejsce pruskich magistratur zaprowadzono tak zwane Izby Administracyjne, których obowiązkiem było dostarczać dla wojsk francuzkich żywności i podwód i zbierać pieniądze na rynsztunki i mundury tworzącéj się siły narodowéj. W Kaliskiem, chociaż żaden oddział francuzki się nie ukazał, sformowała się także sama Izba administracyjna, toż i w Bydgoszczy, którą zajął jenerał Lannes. Ten, bądź że złe drogi w zły humor go wprawiły, bądź że był mniéj na serdeczne przyjęcie czuły, zdał Napoleonowi o Polakach bardzo nieprzychylny raport i wszelkie szersze względem nich projekta odradzał.

Rosyjskie wojska gromadziły się dopiero koło Niemna i tylko kozaków dla powzięcia języka za Wisłę wyprawiono, wojsko więc francuzkie od Odry aż do Wisły żadnéj nie spotykało przeszkody.

Do Puław w końcu października zaczęły dochodzić jakieś niepewne i niewyraźne wieści. Ponieważ imieniny księżnéj Czartoryskiéj przypadły 19 listopada, przeto Grabowski i ja, niby dla sprawienia garderoby, a właściwie dla dowiedzenia się czegoś szczegółowiéj wymknęliśmy się do Warszawy. Jednak i tu, mimo kilkudniowego pobytu dowiedziéć się wiele nie było można. Mówiono, że pod Jena Prusacy przegrali, ale utrzymywano, że tam tylko mała część armii była w boju, że reszta jéj nietknięta silną pozycyą nad Elbą zajęła. Prusacy byli wprawdzie jacyś pomieszani ale rozgłaszali wieści, że lada dzień ogromna siła rosyjska wkroczy do Polski.

Nie dowiedziawszy się więc nic, wróciliśmy do Puław 9 listopada, a niebawem też i goście ściągać się poczęli. Rozpoczęły się jak zwykle bale, fety i teatra i pamiętam 17 listopada w najlepsze tańczono, kiedy na Złotéj Sali, zjawił się ulubiony przez wszystkich ks. Stanisław Jabłonowski. Po pierwszych z gospodarzem powitaniach, dobył zzanadrza jakiś papier i zaczął go czytać, a gromadka ciekawych zabrała się dokoła. Tańczący także tany rzucili i koło przybyłego zaczęli się kupić. Była to odezwa wydana przez Dąbrowskiego i Wybickiego. Nie jestem w stanie odmalować wrażenia, jakie słowa téj odezwy wywołały u wszystkich. Nie była to radość, boć cieszyć się jeszcze nie było z czego, ale jakieś osłupienie, jakieś zdumienie i jakaś gorączka czynów. O tańcach mowy być więcéj nie mogło, bal ustał i każdy udał się do siebie na spoczynek, a właściwie na rozmyślanie nad tą ważną chwilą. Niebawem inne dokładniejsze przychodziły wieści, to, że wojewoda Gnieźnieński pospolite zwołał

ruszenie i *antiquo more* punkt zborny niedaleko od Gopła naznaczył, to, że Francuzi z Poznania wybierają się do Warszawy. Goście tymczasem nie rozjeżdżali się, ale owszem zjeżdżali się coraz nowi. Ścisk był straszny a oczekiwanie wszystkich milczącymi i ponurymi zrobiło, lecz kiedy 20 listopada przyszła wiadomość, że Francuzi do Warszawy przybyli, jak za dotknięciem rószczki czarodziejskiéj wszystko się z Puław rozleciało. Młodzież cała do Warszawy się przeniesła i jedni do wojska się zaciągali, drudzy do służby cywilnéj wstępowali. Wielka świetność Puław tu koniec znalazła i kiedy na Św. Adam, na dzień 24 grudnia zjechali się goście, nie było balów, bo nie było młodzieży do tańca. Panie, które tu bawiły z córkami porozjeżdżały się także, nowych uczenic na edukacyą nie przyjmowano, ks. Wirtemberska i państwo Zamojscy przenieśli się do Warszawy, ks. Konstanty objął dowództwo swego pułku i książę feldmarszałek, widząc coraz większą dezercyą do Sieniawy się przeniósł. Ja przeniosłem się do rodziców do Bronic i tylko już gościem w dawném miejscu swojego pobytu bywałem.

W poznańskiém za impulsem danym przez Radzimińskiego i za staraniami Izby administracyjnéj, w któréj szczególniéj rej wodził Ksawery Działyński, a także wskutek gorliwości Piotra Bielińskiego w Kaliskiéj, a Gliszczyńskiego w Bydgoskiéj Izbie, w kilku dniach zebrało się kilka tysięcy ludzi. 16 listopada cztery pułki piechoty już zapełnione miały kadry. Ks. Antoni Sułkowski swoim kosztem zaczął sztyftować pułk piechoty, a w Kaliszu organizacyą sił zbrojnych zajął się generał Zajączek. Wojska te początkowo na pamiątkę legionów włoskich także legjonami zwano, a Zajączek swój, do którego sformowania dopomógł mu wielce ks. Michał Radziwiłł, nazwał *legionem północnym.* Imię to z czasem wyszło z użycia i korpus ten poprostu nazywano piątym pułkiem.

Z Poznania ks. Murat na czele jazdy do Warszawy dążył, za nim posuwał się korpus Davoust'a. Za zbliżeniem się ich Prusacy tak wojskowi jak i cywilni, tudzież urzędnicy Rejencyi miasto opuścili i ks. Józefowi Poniatowskiemu z wyraźnego polecenia królewskiego władzę powierzyli. Przyjął ją książę Józef z tém wyraźném zastrzeżeniem, że tylko do przyjścia Francuzów ją zatrzyma, że Warszawy nie opuści i za popędem narodowego uczucia pójdzie. Utworzył też zaraz straż miejską i ta przez trzy dni warty zaciągała i odbywała patrole.

28 listopada po południu od ulicy Elektoralnéj pokazali się strzelcy konni generała Milhaud i dragoni generała Beaumont, przednią straż korpusu Murata tworzący. Przyjęto ich z oznakami największego entuzyazmu. Wszystkie okna mimo zimna przejmują-

cego i spóźnionéj pory dnia otworzono, powywieszano w nich dywany i makaty, tłum na ulicę się cisnął, a krzyki:—Niech żyją Francuzi, niech żyje cesarz! — napełniły powietrze. Rzucano kwiaty, na jakie tylko w téj porze roku można było się zdobyć, a gdy tych zabrakło, obłamywano doniczkowe rośliny, splatano z nich wieńce i pod nogi gościom miotano. Przed bramy wynoszono wino, wódkę, najrozmaitsze jedzenia i tłum zrobił się tak zwarty, iż wojsko zatrzymać się musiało, a i oficerowie i żołnierze do jedzenia i do picia zabierać się poczęli.

W wigilią dnia tego stoczono małą, nic nie znaczącą potyczkę z kozakami pod Utratą, a tłum w swoim zapale uważał ją za olbrzymie zwycięstwo. Następnego dnia z całym korpusem przybył Murat, a zastawszy most na Wiśle przez Prusaków zniszczony, co najprędzéj zabrał się do jego naprawy, nie dozwalając roboty przerywać nawet i w nocy. W dwa dni z piechotą przyszedł Davoust a z równą czułością, z równym zapałem przez lud witany. Thiers opisując zajęcie Warszawy, zarzuca, że wysoka szlachta zapału ludu nie dzieliła i w przyjęciu udziału nie brała. Jest to zarzut niesłuszny. Prawda, wielu tak zwanych magnatów i gasnącéj już arystokracyi nie posiadało w części kraju przez Francuzów zajętéj wiele posiadłości. Czartoryscy, Zamojscy, Sanguszkowie, Tarnowscy, Lubomirscy, Jabłonowscy, Ogińscy, większa część Sapiechów i Potockich, tudzież część Radziwiłłów, musiała się oglądać na swoje rządy i zachować się biernie. Ci wszakże, którzy wtenczas w Warszawie się znaleźli, nie zważali na skutki i dali się pociągnąć ogólnemu zapałowi. Książę Józef Poniatowski, ks. Antoni Sułkowi, ks. Aleksander Sapieha, Stanisław i Aleksander Potoccy, Działyński, Krasiński, Bieliński, Małachowski i tylu innych najlepszym są tego dowodem.

Ks. Murat obrał kwaterę w pałacu pod Blachą, na wzór Wielkopolski ukształcono zaraz Izbę administracyjną, na jéj czele stanął Ludwik Gutakowski, a Michał Kochanowski i Tadeusz Dembowski weszli na jéj członków. Pierwszemu powierzono wydział wojny, drugiemu skarbowy. Książę Józef tak jak Dąbrowski w Poznaniu i Zajączek w Kaliszu, zaczął formować legie, a ochotnicy z pośpiechem do zaciągu stawali i wezwanie do pospolitego ruszenia zastosowano tu także. Towarzystwo warszawskie wyścigało się z dawaniem wieczorów, obiadów i świetnych bali.

Napoleon z gwardyami i innemi wojskami, którym cokolwiek w Berlinie wypocząć pozwolono, przybył do Poznania 25 listopada. Tu go powitały deputacye izb: poznańskiéj, bydgowskiéj i kaliskiéj. Wojewoda gnieźnieński stanął na ich czele, a było to już ostatnie jego publiczne wystąpienie, nowe bowiem izby od działalności go

usunęły. Czy wskutek raportów marszałka Augereau i listów Lannes'a, czy wskutek głębszego rozmysłu, Napoleon już był znacznie oziębiony w zamiarach swych co do Polaków i pragnął jedynie, aby silne ich powstanie poparło jego wojownicze plany.

Prawdopodobnie wskutek poufnych rozmów Murata z księciem Józefem, mógł ten ostatni w umyśle szwagra cesarskiego utwierdzić przekonanie, że tylko jawne ogłoszenie bytu całej Polski, z panującym nad nią jakiemś książęciem francuskim, wywoła tu zapał, którego Napoleon się domagał. Być może także, że Murat pragnący korony i upodobawszy sobie Polaków, którzy go jak półboga traktowali, sam wpadł na myśl podobną. Faktem atoli jest iż napisał do Napoleona, że Polacy domagają się zupełnéj niezawisłości i naznaczenia im panującego. Pismo to doszło rąk cesarskich w Poznaniu i niezadowolenie rozbudziło tém więcéj, że odmowna Kościuszki odpowiedź przez Fouché'go zakomunikowana, silnie już Napoleona podrażniła.

Kościuszko *est un sot* na wiadomość tę odpowiedział:

— Niema on w Polsce tyle wpływu jak mu się wydaje i potrafię obejść się bez niego.

Do Murata odpisał:

„Powiedz Polakom, że nie przez rachuby i nie przez zastrzeżenia odzyskuje się ojczyznę. Jedynie przez powstanie ogólne, ślepe, bez wyjątków, przez poświęcenie życia i mienia otrzymuje się dopiero nadzieję, ale jeszcze nie pewność jéj bytu."

Deputacyą wielkopolską przyjął łaskawie, ale według swego zwyczaju odpowiedział jéj w wyrazach krótkich i szorstkich.

— *Ce n'est point des paroles* — mówił — *c'est du sang, qu'il me faut. Donner moi 40,000 hommes et je verrai ce que je pourrai faire pour vous.*

Choć słowa te nie zawierały nic, coby rzeczywiste nadzieje obudzić mogło, przyjęto je z zapałem, wszędzie się uzbrajano, spieszono i już 1 grudnia marszałek Davoust pisał z Warszawy: „Dostarczanie ludzi idzie z łatwością, brak tylko instruktorów i broni."

Rzeczywiście brak oficerów w kraju okazał się ogromny. Ci, co pozostali z dawnych wojsk polskich, byli już ludzie w wieku, bo młodzi szukając szczęścia poginęli w legionach, lub w dalekich zostawali okolicach.

W Poznaniu bawił Napoleon dni kilkanaście. Tu 11 grudnia zawarł pokój z elektorem saskim, podniósł go do godności królewskiéj i do związku reńskiego przypuścił. Wzamian zapłacić kazał 25 milionów kontrybucyi i 6,000 Sasów do wojsk swych przyłączył. 18 grudnia przybył do Warszawy i stanął kwaterą w zamku. W hu-

morze był gorzkim i najpierwéj połajał Murata iż się stroi, bawi, baluje, do Polaków się umizga a o wojnie zapomina. Na drugi dzień stawiła się deputacya warszawska i ta gorzéj jeszcze przyjęta została.

— Cóż to jest—rzekł do niéj—francuski garnizon w Warszawie częstujecie, rozpajacie, przyzwyczajacie go do zbytków, a w magazynach po drodze pustki i żołnierze na linii bojowéj mrą z głodu. Tańcujecie tylko i balujecie, a o tém co należy, nie myślicie.

Zaobserwował na to Kochanowski, że wszystkiego, czego dotąd żądano—dostarczono, a co zażądaném będzie—dostarczy się także.

Napoleon wyjął z kieszeni złożony papier, a oddając go Kochanowskiemu rzekł:

— Oto wykaz potrzeb, które jeśli we dwadzieścia cztery godzin nie będą dostawione na miejsca wskazane, będziesz waszmość rozstrzelany.

To mówiąc dobył tabakierkę, otworzył ją i włożył palce po niuch tabaki. Kochanowski lubił także zażywać, a widząc otwartą tabakierkę, sięgnął do niéj machinalnie i z zimną krwią zażył.

Napoleon się rozśmiał.

— *Voila un singulier diable d'homme*— rzekł cesarz— *je lui dis, que je le ferai fusiller en 24 heures et il me prend une prise en guise des rémerciments.*

Kochanowski tymczasem podany wykaz przejrzał i pokręciwszy głową oświadczył, że w 24 godzin tego spełnić nie może, ale że w trzy dni wszystko będzie dostawione.

— *Eh bien soit* — odpowiedział Napoleon krótko i deputacyą pożegnał.

Ostatnich dni listopada i w początku grudnia przeprawili się Francuzi w wielu punktach przez Wisłę. Davoust prawie za przybyciem do Warszawy zajął Pragę i gdy most postawiono, cały korpus jego tu się rozlokował, sięgając aż do Jabłonny. Lannes pozostał w Warszawie, Augéreau posunął się na pół drogi do Błonia, a Ney zajął Toruń. Rozpoczęto zaraz sypać szańce przedmostowe w Pradze i rozbierać domy nietylko na pomieszczenie trzech bastyonów, dwóch półbastyonów i dwóch półksiężyców, ale i na stoki. Marszałek Davoust następnie się ruszył i przebywszy Narew, a raczéj Bug pod Okoninem, wystawił tamże most i szańcem go opatrzył. Napoleon udał się zwiedzić granice Austryi nad Narwią, które wązkim klinem dopierały do Wisły i zadecydowawszy, że pozycya między rzekami Wisłą, Narwią, Bugiem i Wkrą jest nader silna, postanowił działanie zaczepne rozpocząć.

Kiedy Francuzi wkraczali w Poznańskie, rosyjskie siły przeprawiały się przez Niemen, a król pruski z Berlina przeniósł się do kró-

lewca i generał jego Lestok, zostawiwszy małe załogi w Grudziążu i Gdańsku z 15,000 osłaniał Warmią. Połową sił rosyjskich dowodził Beningsen, drugą Buxhewden, a każdy z tych oddziałów liczył po cztery dywizye piechoty, oprócz jazdy. Wojska te zajęły linią między rzekami Wkrą, Narwią i Bugiem, a ponieważ z ogromnemi siłami francuskiemi wierzyć się nie mogły, przeto hr. Tołstoja postawiono w Czarnowie przy ujściu Wkry do Buga, o trzy ćwierci mili dalój zajmował pozycyą generał Siedmioradzki, Sacken trzymał się koło Zegrza między Łopacinem a Nowem Miastem, a w Pułtusku ks. Golicyn założył główną kwaterę. Jenerał Buxhewden dwie dywizye umieścił w okolicach Popowa, między Bugiem a Narwią, a drugie dwie w Makowie i Ostrołęce. Koło 20 grudnia objął naczelne wojsk tych dowództwo generał Kameński, wsławiony w wojnach tureckich i wojska pod nim wszystkiego liczono 100,000, chociaż znacznie mniéj być musiało, bo ciężkie choroby dziesiątkowały szeregi.

23 grudnia Napoleon zostawiwszy w szańcu Pragi polskie pułki ks. Józefa i dywizyą dragonów francuskich i mianowawszy gubernatorem Warszawy generała Gouvion St. Cyr, przeniósł swą główną kwaterę do wsi Okonina, nad Bugiem, pomiędzy Nowym Dworem a Górą położonéj. Tu zamieszkał w prostéj chłopskiéj chacie, w któréj późniéj właściciel wsi Gutakowski, tablicę marmurową przybić kazał. Czy ona dotąd istnieje, powątpiewać można. Tegoż dnia sam osobiście zlustrował brzegi Wkry, po drabinach wdrapywał się na stodoły dla obserwowania pozycyi, wieczorem kolumny korpusa Davousta rozstawiał i myślał w nocy atakować generała Tołstoja.

Znacznie późniéj już bo w 1818 r. — kiedym odbywał drogę do Warszawy—przypadł mi nocleg w karczmie Brzeska, za Górą Kalwaryą leżącéj. W szynkownéj izbie gawędziło kilku ludzi, a stary żandarm i huzar z pułku Grodzieńskiego między nimi rozpowiadali rozmaite wypadki częstującemu ich rybakowi. Chłop słuchał ich cierpliwie, ale potém stawiając nową kwartę, rzekł:

— Moi panowie, wyście wielcy wojacy, ale zawsze bez pomocy naszéj ani rusz i to samo mi powiedział wielki Napolion — i juści.

Oba wojskowi na tę wzmiankę wypytywać poczęli, gdzieby rybak Napoleona widział.

— A no tak—odpowiedział zapytany—sam Napolion, bo i cóżby on poradził i coby Francuzi poczęli w Toruniu, kiedy tu na Wiśle strzyż, Prusacy z lądu strzelają, a oni się pchają przez lody. Berlinkarze Niemcy pobrali drągi, co która łódź dopływa, oni odpychają. My jak to zoczyli — dalój chłopcy! — rzekę do swoich, pomóżmy im i wzięliśmy wiosła. Berlinkarzy jak zaczniemy młócić po plecach,

uciekli kartoflarze. Prusacy strzelać nie przestawali, coś tam nawet naszych skaleczyli, ale ja cały wyszedłem. Otóż jak berlinkarzy odegnaliśmy, zaczęliśmy łodzie ciągnąć hakami i takieśmy Francuzów sprowadzili do Torunia — a cóżby bez nas zrobili?

— To dobrze—zrobiono uwagę—ale gdzież Napolion?

— Napolion, ba!—rzekł zapytany—toć on na łodzi nie siedział, juści że nie. Ja z Torunia wracałem do domu i szło się wolno, bo choć zimno, ale błoto było przeklęte, a nad Wisłą pełno wojska— to Francuzi, to Ruscy, a każdy myśli że szpieg, więc i markotno człowiekowi. Przed samemi jednak świętami jakoś się zawędrowało do Nowego Dworu, a tu Francuzów jak maku, gdzie stąpisz to i Francuz. Już było po południu, siedziałem se i medytowałem jak się tu do Pragi docisnąć, kiedy na rynek wpada pułkownik Szymanowski. Woła niby o burmistrza, choć wtenczas takich nie było, bo ich inaczéj nazywano. Skoro przyszedł wezwany, krzyczy nań pułkownik:—Daj przewoźników, a żywo.—A co wielmożnemu panu po przewoźnikach? — zapytałem nieśmiało. — A co pytasz durniu?— on mi na to—co ci do tego? — Choć ja i dureń rzekę, z przeproszeniem łaski pańskiéj, ale przewoźnik. — A znasz Narew? — Znam. — A znasz Wkrę?—Znam.—To chodź-że zemną— i dalejże do Okonina on pędzi, ja biegnę, szczęściem że niedaleko. Stanął przed chałupą, zlazł z konia, którego żołnierz odprowadził, kiwnął na mnie i wchodzim do chaty. Siedział tu niski, dosyć gruby człowiek w szarawym surducie i ja myślałem, że to pewnikiem jaki generał, ale postrzegłem, że zwyczajny szlachcic, bo bez munduru. To i dobrze myślę sobie i duch we mnie wstąpił, bo słyszałem zawsze, że ci generałowie to ludzie bardzo gniewliwi, że łatwo od nich po skórze oberwać, a czasem i co gorszego. Poświegotali coś ze sobą po francusku i tyle tylko zrozumiałem, że ten szlachcic powiedział: *bon*. — Ha to i dobrze myślę sobie i czekam. Ale oni nic do mnie nie gadają, tylko ciągle gromada oficerów to wychodzi, to wchodzi do chałupy. Zniecierpliwiło mnie to nakoniec i rzekę do pułkownika:

— Toć w chałupie przewozić się nie będziemy.

Poszwargotał coś znowu ze szlachcicem i kazał mnie być cierpliwym.

Już téż i ściemniać zaczynało i wtedy dopiero szlachcic wstał, wyszedł i wszyscy za nim. Przeszedł piechotą most na Bugu, a wszyscy za nim i dalejże wyłazić na chałupy na stodoły, na kominy i ja za nim, bo mnie tak kazano. Czyniłem to i małom kilka razy nie zleciał, a w duszy sobie myślałem, że to musi być jakiś wielki pan, kiedy za nim tylu oficerów jeździ i kiedy on sam ustawia wojsko.

Dziwiło mnie tylko, że szlifów nie ma i ludzi nie znieważa. Nagle pułkownik Szymanowski na mnie zawołał i pokazując ręką, pyta:

— A co to naprzeciwko?

— Kępa.

— A za kępą?

— Drugie ramię Wkry.

— A szerokie?

— Węższe o połowę.

— A głębokie?

— Można się utopić.

A ponieważ gęsta kra szła na rzece, pyta więc czy można się przeprawić, stanąć na drugiéj stronie kępy i jak prędko da się to zrobić?—A można—rzekę—tylko nie tak prędko jak zwykle. A byli już przewoźnicy inni i kilkunastu żołnierzy z wiosłami, co mnie niepokoiło, bo żołnierz do fuzyi dobry, ale do wiosła partacz. Kra idzie, jak któren się przechyli, a wiosłem szturgnie, to i po łódce. Pomiarkowałem, że ten pan chce, żeby w kilkadziesiąt łódek kępę okrążyć i na drugiéj stronie czekać. Ukłoniłem mu się też i powiedziałem:

— Wielmożny panie, o przewoźników proszę, ale żołnierzy nie potrzebuję, bo to na dyabła się nie zda, a czółna potopią.

Szlachcic zapytał pułkownika, co ja gadałem i śmiać się począł. Mnie to trochę uraziło, boć jakże można przypuszczać, żebym ja, co się na wodzie wychował, nie znał się lepiéj na tém rzemiośle od żołnierza.

Ale wsiadamy w łódki, a tu tymczasem żołnierze krzyczą: *Amperer*. — Pytam gdzie on? pokazują, patrzę przez Boga, a toć to ów szlachcic. Serce mi się ścisnęło i myślę sobie:—aj dudku, dudku! gadałeś z nim, aniś mu się ukłonił, ani szacunku oddał, a byłby cię pewno uczciwie obdarzył, kiedy tak potrzebował. Płyniemy — aż tu i noc. Co myśmy się téj nocy nabiedowali—Chryste Jezu. — Całusieńką noc i przewóź i przewóź, a tu kra, a tu ciemno, a tu kule świszczą po nad głowami. Kiedy się rozwidniło, patrzę, aż tu o paręset kroków most. — Tfu!—myślę sobie— czy mi się śni, czy mi się marzy, boć tu mostu nigdy nie bywało. Ale taki most, most rzeczywisty, tylko na jakichś skórzanych klocach oparty. Już nas téż i nie potrzebowali, a dali tylko dziesięć dużych dukatów i na drogę kartkę, za pomocą któréj bezpiecznie do domu się dostałem.

Rzeczywiście przeprawienie się przez Wkrę, niezbyt szeroką ale przez lody pokrytą, dokonane w nocy mogło znienacka zaskoczyć Tołstoja, ale on o tym ruchu Francuzów się dowiedział i ku Pułtuskowi się cofnął. 24 Napoleon z Davaustem posunęli się do

Nasielska, tu małą utarczkę z aryergardą rosyjską stoczono i w miasteczku się zatrzymano. Tegoż samego dnia marszałek Augérau pod Sąchocinem a Soult w samym Sąchocinie przez Wkrę się przeprawili i skierowali się do Nowego Miasta. Ku wieczorowi nastąpiła nagła odwilż, zaczął padać deszcz ze śniegiem, a w pierwsze święto Bożego Narodzenia zrobiła się jeszcze większa flaga. Mało skrzepnięta ziemia rozmiękła i zrobiło się straszne błoto, utrudzające marsze, przewóz artyleryi i amunicyi. Ponieważ armia francuska nie posiadała takiéj lekkiéj konnicy jak są kozacy, nie mogła więc pełnić ani służby flankierskiéj ani odbywać rekonesansów. Kiedy Davoust posuwał się do Nasielska, Lannes przeprawiwszy się pod Okoninem głównym traktem ku Pułtuskowi dążył.

W tym czasie korpus Beningsena zebrał się prawie cały w Pułtusku i ściągnął od Buxhaudena parę brygad Bagawuta i Doktorowa. Lannes 26 o świcie przybył pod Pułtusk. Miasto to nad Narwią poprzedzone jest równiną, do lasu dopierającą. Równinę tę zajął Beningsen i jedno skrzydło oparł o rzekę, drugie o las, jazdę między piechotę umieścił i cały front liczną artyleryą okrył. Lannes miał pod sobą 18,000 żołnierza, a na lewym skrzydle pozostało jeszcze 7,000, te jednak z powodu złéj drogi, zaledwie na wieczór ściągnąć na linią bojową mogły. Siły rosyjskie wynosiły około 40,000, a co im szczególną dawało przewagę, to ta okoliczność, że Francuzi w błotach pozostawiali ciężkie swe działa i tylko lekkiemi, małego kalibru rozporządzali. Nastąpiła bitwa nader krwawa, trwająca dzień cały, i choć Rosyanie od strony Pułtuska cokolwiek z zajmowanéj pozycyi ustąpili, nie byli jednak nigdzie złamani. Przed samym zmierzchem przybyła dywizya Gudin i bój z nową zaciętością się odnowił, wypadek wszakże jego nie był szczęśliwy, bo nowa dywizya została odparta, a lewe skrzydło okolone. Noc atoli ciemna i wielka burza bez ustanku trwająca, koniec wszelkim ruchom położyły. Wygraną obie strony przepisywały sobie, a na drugi dzień Rosyanie Pułtusk opuścili, przeszli Narew i most za sobą spalili.

Tegoż dnia Napoleon pod Gołyminem spotkał dywizyą Doktorowa i dwie brygady z korpusu Beningsena pod Pułtusk spieszące. Zastąpił im drogę i bez względu na wygodną dla Rosyan pozycyą Gołymina, położonego wśród bagien, do ustąpienia ich zmusił.

Soult zajął Ciechanów nie spotkawszy Rosyan, a Ney i Bessières spędzili z pozycyi generała pruskiego Lestoka i zdobyli zajmowany przez niego Działdów. Próżno Prusacy aż do północy szturm do tego miasta przypuszczali—już go odzyskać nie mogli.

W czterodniowéj téj kampanii Napoleon wbrew swemu zwyczajowi, po raz pierwszy rozciągnął swe linie przez całą szerokość

Płockiego od Modlina do Działdowa i ztąd wynikło, że jeden korpus nie spotkał wcale nieprzyjaciela, dwa zadały Prusakom klęskę, ale bez rezultatów i wobec najliczniejszych wojsk rosyjskich znalazł się oddział najmniejszy. Z drugiéj strony trudno zrozumieć, co znagłało Francuzów do tych szybkich ruchów w czasie takich wielkich błot i roztopów. Artyleryi swojéj przez to nie mogli rozwinąć, a położenie Rosyan trzymających się odpornie było wygodniejsze. Pomimo więc znacznéj straty ludzi, armaty z popsutemi lawetami były jedynemi trofeami i oprócz rannych, żadnego innego nie wzięto niewolnika.

Jakkolwiek bądź czy wskutek gwałtowności ruchów francuskich, czy stosownie do dawniéj powziętego planu cofnęli się Rosyanie z Płockiego, zamierzając teatr wojny przenieść do Prus wschodnich i zachodnich. Nie ścigał ich nikt i Francuzi ulokowali się między Wisłą a Warmią, rozstawiając jazdę lekką ku Ciechanowowi, a ciężką za Wisłą.

Napoleon 28 przybył do Pułtuska i dni następnych przyjął deputacyą, wysłaną od utworzonéj Izby administracyjnéj płockiéj. Kiedy członkowie jéj z powozów wysiadali, gwardya przy kwaterze straż trzymająca, buty im z nóg pościągała. Deputaci w skarpetach i zabłoconych sukniach myśleli udawać się gdzie po jakiekolwiek obuwie, ale adjutant cesarski zastąpił im drogę i rozkazał, żeby się przed cesarza stawili. Próżno tłómaczyli się swoim przymuszonym negliżem, odpowiedział im, że to wojna i etykieta żadna nie może przeszkadzać do spełnienia obowiązku. Napoleon przyjął ich śmiejąc się i rzekł:

— To są skutki wojny i waszych błot przeklętych. Łatwiéj sobie dacie rady bez butów jak moja gwardya, która w waszych bagnach trzewiki pogubiła.

Rzeczywiście niezwykły u nas w téj porze stan pogody wywarł na armią francuską wpływ bardzo niekorzystny, popadła ona w jakąś rozpacz i przeklinała Polskę.

— Cóż to za kraj? — mówiono. — Trzeba być żabami, żeby tu żyć potrafić. Choroby zaczęły trapić wojsko i mnóstwo żołnierzy szło do lazaretów.

(d. c. n.)

WSPÓŁCZESNA POWIEŚĆ WE FRANCYI.

III.

Emil Zola.

Wysokiego wzrostu, cokolwiek gruby, z małą głową tęgo osadzoną na krótkiéj szyi, szatyn z włosami jeżącemi do góry, cery ciemnéj, o wysokiém prostopadłém czole, pod którém świeci się dwoje aroganckich oczu krótkowidza posługującego się binoklami, i z charakterystycznym nosem, który jak u Balzaca rozdzielony jest przy końcu na dwoje, Zola „przypomina jednego z tych żołnierzy rzymskich którzy zawojowali świat.“

Urodzony w 1840 roku z ojca Włocha a matki Francuzki do osiemnastego roku życia rósł swobodnie na świeżém powietrzu południowéj Francyi, gdzie rozpoczął nauki w prowincyonalném liceum w Aix, które pod zmienioném nazwiskiem *Plassans* stało się następnie rzekomém gniazdem rodziny *Rougon-Macquart'ów.* W Paryżu popadł od razu w nędzę, którą pogorszał jeszcze jakiś fatalny brak szczęścia. Pomimo usilnéj i wytrwałéj pracy wyszedł z liceum bez patentu, którego mu odmówiono z powodu niedostatecznego przygotowania w rzeczach historyi Francyi, literatury Francuzkiéj i języków żyjących. Zmuszony od razu do zarabiania na chléb, po kilko miesięczném urzędowaniu w biurze akcyzy, wszedł do księgarni Hachette'a, gdzie, z pensyą początkowo 100 a ostatecznie 200 franków miesięcznie, pracował przez lat cztery od ósméj rano, do ósméj wieczór.

Tam-to rozpoczął swoję karyerę literacką szeregiem artykułów w ówczesnym *Evénemant* Villemessant'a, które mu wyrobiły imię krytyka samodzielnie myślącego, i całą seryą drobnych utworów ze-

branych późniéj w jednym tomie: *Contes à Ninon*, które nie miały żadnego rozgłosu.

Dopiero *Thérèse Raquin*, powieść oparta na fizyologicznych motywach dziedziczności, postawiła go na właściwym gruncie. Ludwik Ulbach poświęciwszy powieści cały artykuł w *Figaro*, nazwał ją płodem zgnilizny: *la littérature putride*. Był to dla niego początek powodzenia: Hachette wprawdzie pozbawił go miejsca w swojéj księgarni, ale publiczność rzuciła się do książki.

Odtąd Zola zaczyna żyć wyłącznie z pióra. Rzucony z potrzeby w wir dziennikarstwa, przyjmuje wszystkie warunki: pisze bibliografią, krytykę sztuki, kronikę codziennych wypadków, sprawozdania z posiedzeń Izby, korespondencye do dzienników prowincyonalnych, powieści na łokcie do felietonów, felietony i literackie studya do czasopism a między innemi do rosyjskiego *Wiestnika Jewropy*, gdzie się dostał za protekcyą Turgieniewa.

Nie otrzymawszy gruntownego wykształcenia w żadnym kierunku, uczy się, jak generałowie wielkiéj rewolucyi, podczas bitwy; studyuje wszelkie kwestye w miarę jak mu się one przy pisaniu już powieści czy téż krytyk z konieczności nastręczają, i czyta wszystko co się tylko do umysłowego i artystycznego ruchu naszego wieku odnosi. Odkąd nie potrzebuje walczyć o chleb, walczy za ideje z silném jednak postanowieniem zupełnego usunięcia się wkrótce ze szranek dziennikarskiego zawodu, a mianowicie, kiedy wypowie już ostatnie słowo w rzeczach teoryi i estetycznych zasad.

Zahartowany w walce o chleb wyszedł z niéj zwycięzko jako pisarz i jako człowiek. Przeciwności ani go zepsuły ani osłabiły. Obdarzony od natury usposobieniem przeciwném wszelkiéj awanturniczości, wcześnie przyszedł do równowagi umysłu i nerwów i w niebezpiecznéj dla słabszych temperamentów walce o materyalne i moralne stanowisko wyrobił sobie niezłomny charakter człowieka, który każdéj chwili gotów bić się z każdym za swoje idee i przekonania, choćby tym przeciwnikiem miało być społeczeństwo całe. A przytem w życiu codzienném nieznmiernie słaby, ustępujący wszystkim dla miłości pokoju, i z gruntu łagodny. Podobno ze zdziwieniem nawet słucha o swojéj sile woli, któréj nie czuje. „Potrzeba wyżywienia swoich i to potrzeba połączona—jak sam mówi — z wielką emulacyą była początkiem owéj woli literackiéj,“ która może jedynie postawiła go na świeczniku literatury francuzkiéj. I ta emulacyja tak silnie jest w nim zakorzenioną, że manifestuje się nawet w rzeczach zupełnie błahych. Przegrywając z kimś partyą szachów, tak jest tém w danéj chwili przygnębionym, jak gdyby mu odmówiono talentu literackiego. Złapany na jakimś błędzie nigdy na razie nie uznaje się za po-

bitego i używa wszelkich możliwych sposobów na pokazanie, że miał racyą, choćby dowodzenie jego było nawet zupełnie fałszywém. „Pomimo ciągłego wmawiania w siebie że jest pozytywistą, cierpi na nieuleczalną melancholią wypływającą z przeświadczenia o nicości wszystkiego,“ przed którą się broni czynném życiem. Jak tylko maszyna jego mózgu przestaje funkcyonować, natychmiast ogarnia go jakaś wrażliwość nerwowa i chorobliwa. „Jestem sobą wtenczas tylko—mówi do swego przyjaciela, Pawła Alexis'a—kiedy siedzę sam w moim gabinecie przy biurku i pracuję.“

A przytém Zola nie jest ani kobieciarzem ani salonowcem. O inteligencyi kobiet odzywa się z lekceważeniem a w salonach bywa tylko z musu. Naturalna nieśmiałość nie pozwala mu zabierać słowa wobec nieznajomych i dla tego-to pomiędzy ludźmi *dobrze wychowanymi* „uchodzi za niedźwiedzia.“ Publicznie nie mówi nigdy i nie stara się nawet o popularność. Pomimo całéj arogancyi, jaką się odznacza przy pisaniu o swoich dziełach lub o swojém naukowém znaczeniu, w rzeczywistości jest „nieszczęśliwcem pełnym zwątpienia, wątpiącym o sobie więcéj jeszcze niż o innych.“ Dzieło raz napisane nie istnieje już dla niego więcéj: nie odczytuje swych prac wcale z obawy odkrycia na każdéj stronie całych przepaści błędu i słabości. Złoto które mu napływa ze wszystkich stron nie przynosi mu żadnéj rozkoszy, chyba przelotne zadowolenie, że może je wydawać na swoje fantazye. Będąc zupełnie zdrowym uważa się za chorego. Niespokojny, wrażliwy i nerwowy częstokroć sądzi że jest niezdolnym do sklecenia dwu wierszy, co mu się jednak w rzeczywistości rzadko zdarza, ponieważ metodyczność w pracy wytworzyła w nim naturalną potrzebę pisania i produkowania co rano, jak gdyby maszyna, która raz puszczona w ruch nie może zatrzymać się pierwéj nim sprężyna wyjdzie.

Dla tém większego spokoju w pracy przeniósł się do Médan pod Paryżem, gdzie spędza ośm miesięcy z rzędu prawie nie zaglądając do stolicy. Cztery miesiące zimowe wystarczają mu doskonale do zupełnego zapoznania się z artystycznym i naukowym ruchem paryskiego życia.

Pomimo olbrzymiéj korespondencyi jaką prowadzi z całym światem i pomimo uciążliwéj pracy przy zbieraniu notatek lub robieniu wyciągów z książek, nie wyręcza się nikim i pomiędzy znakomitościami Francyi jest może jedynym pracownikiem który nie trzyma sekretarza.

„Zgoła, ani pieniądze, ani powodzenie, ani sława nie zmieniły go wcale. Ja który go znam od dwunastu lat, ja który go widziałem kiedyś biednym, obdłużonym, nieznanym jeszcze, mogę zapewnić, że

pomyślny los go nie zepsuł. Nie jest-to bynajmniéj jeden z tych tryumfatorów nieznośnych, którzy w przyjemny sposób popisują się z rezultatami swego powodzenia lub z zasługami osobistemi. W rozmowie nie tylko że nie przesadza nigdy swego znaczenia, ale przeciwnie daje uczuć, że nic jeszcze nie zrobił, że wszystko idzie mu jak najgorzéj, że jest najbardziéj upośledzonym z ludzi. Zwątpienie i obawa nie dają mu spać. Lecz ten-to właśnie stan umysłu, który mu nie pozwala używać rozkoszy powodzenia, pobudza go dziś do pracy w tym samym stopniu jak ongi, kiedy musiał walczyć o kawałek chleba dla siebie, dla swojéj matki i dla żony.“

I. Jego teorya i filozofia.

„Myśl powinna być zawsze niezależną i niekrępowaną czy to przez wierzenia naukowe czy téż przez wierzenia filozoficzne lub religijne. Należy być śmiałym i swobodnym w ujawnianiu myśli, należy iść za uczuciem i nie zatrzymywać się zbytecznie nad dziecinnemi obawami o sprzeczności teoretyczne.“ Oto wyznanie wiary, które za Klaudiuszem Bernardem doprowadziło Zolę, pomimo widocznych sprzeczności w argumentacyi, do stworzenia estetycznego traktatu na tle fizyologii.

Przed niedawnemi jeszcze czasy „sztuka i rzeczpospolita miały być naturalistycznemi lub przestać istnieć.“ Obecnie forma artystycznego tworzenia i forma rządu w umyśle Zoli zapłodnionym przez nasiona fizyologicznych prawd Klaudiusza Bernarda przemieniły się na „eksperymentalne“ ponieważ „dosyć jest tylko wyrazy: lekarz, medycyna i nauka zastąpić przez wyrazy: artysta, sztuka i rząd,“ aby wnioski znakomitego fizyologa w zupełności mogły być zastosowane do teoryi artystycznego tworzenia lub do kierowania namiętnościami danego społeczeństwa.

Ponieważ autor *wstępu do nauki medycyny doświadczalnéj* powiedział, że „tak dobrze u istot żyjących jak i w ciałach martwych warunki istnienia zjawisk są zdeterminowane w sposób zupełnie absolutny“ przeto „każdy powieściopisarz powinien odtąd trzymać się ściśle metody doświadczalnéj i szukać tego samego determinizmu w mózgu ludzkim jaki rządzi kamieniem przydrożnym,“ gdyż „powieść jest tylko uzupełnieniem (?) fizyologii a nic czém innem.“

Nie ulega wątpliwości że z czasem prawa rządzące myśleniem i namiętnościami ludzkiemi zostaną sformułowane w sposób tak ścisły a może nawet i ściślejszy jeszcze niż dotyczasowe prawa rządzące ciałem człowieka, ponieważ—jak słusznie mówi Klaudiusz Bernard— „niepodobna aby zjawiska umysłowe pomimo całéj subtelności swéj

natury nie miały pozwolić się podciągnąć tak samo jak wszystkie zjawiska ciał żyjących pod prawa naukowego determinizmu.“ Pytanie jednak jakim sposobem powieściopisarz dla uzupełnienia naukowéj fizyologii stanie się panem naukowéj psychologii i „przy pomocy metody doświadczalnéj będzie tak samo oddziaływać na charaktery, na namiętności, na życie ludzkie i społeczne jak fizyk i chemik oddziaływają na ciała martwe a fizyolog na ciała żyjące,“—takie pytanie nie postało w głowie Zoli. Mniejsza o pokrewieństwo między nauką doświadczalną a sztuką byle „dzisiejsza powieść kompletowała fizyologią,“ byle artysta stał na tym samym eksperymentalnym gruncie na jakim lekarz kiedyś w przyszłości dopiero stać będzie.

„W praktyce życia—pisze Klaudiusz Bernard—ludzie wciąż robią na sobie doświadczenia. Przy roztrząsaniu naszych własnych czynów mamy niezawodnego przewodnika, mamy świadomość tego co myślimy i co czujemy. Całkiem jednak rzecz się ma inaczéj jeżeli chcemy sądzić czyny innego człowieka i poznać pobudki jakie go do działania zmuszają. Co prawda mamy przed oczami ruchy tego człowieka i objawy zewnętrzne, które z pewnością są sposobami wyrażania się jego wrażliwości i jego woli. Co więcéj! przypuszczamy nadto, że pomiędzy czynami i ich pobudką istnieje związek konieczny. Ale jaka jest ta pobudka? Nie czujemy jéj w nas, ponieważ mamy jéj świadomość wtenczas tylko kiedy chodzi o nas samych; musimy więc ją tłómaczyć sobie odpowiednio do ruchów jakie widzimy i słów jakie słyszymy, i dlatego to powinniśmy ciągle czyny tego człowieka kontrolować jedne drugiemi, rozważać jak się zachowuje w takiéj lub innéj okoliczności, czyli, jedném słowem, bezustannie uciekać się do metody doświadczalnéj.“

Ten ostatni frazes tak ogłuszył Zolę że z przed jego oczu od razu zniknęło całe poprzednie rozumowanie genialnego fizyologa, który w kilku słowach pokazał różnicę pomiędzy obserwacyą a naukowém doświadczaniem. „Nazwę *obserwatora*—mówi autor *Wstępu do Nauki Medycyny*—daje się temu kto sposoby badania prostego lub złożonego stosuje do poznania zjawisk, które, ma się rozumiéć, przyjmuje tak jak mu je natura przedstawiła w niczém ich bynajmniéj nie zmieniając: nazwę tymczasem *eksperymentatora* daje się temu, kto posługuje się prostemi lub złożonemi sposobami badania dla zmieniania lub zmodyfikowania zjawisk w pewnym celu i dla pokazania ich w takich okolicznościach i w takich warunkach w jakich natura mu ich bynajmniéj nie przedstawiła.“ Tym sposobem Zola nie malowałby już życia ani ludzi tak jak mu się oni przedstawili, ale „posługując się prostemi lub złożonemi sposobami badania dla pewnych celów pokazałby ich w takich warunkach, w takich okolicznościach

i w takiém otoczeniu..... w jakich natura ich nie przedstawiła," czyli dla chimerycznego celu rzekomego „poszukiwania prawdy przy pomocy metody doświadczalnéj" tak modyfikowałby i przemieniał życie, jak je modyfikowali i przemieniali nasi ojcowie w celu znalezienia ideału przy pomocy wyobraźni bujnéj a nie liczącéj się z warunkami życia rzeczywistego.

Nie przeprowadziwszy ścisłéj paraleli pomiędzy medycyną a powieścią, nie zrobiwszy żadnego nacisku na podobieństwo środków i celów lekarza z środkami i celami powieściopisarza, Zola wyrywa berło nauki z rąk Klaudiusza Bernarda i machając niém nad głowami krytyków, woła: „Jego cel jest moim: i ja także chcę być panem zjawisk indywidualnéj i umysłowéj natury aby niemi kierować," i „ja także chcę kierować zjawiskami pojedyńczego człowieka aby oddziałać na społeczeństwo," tylko ponieważ „cała filozofia naturalna, jak mówi Bernard—redukuje się do poznania praw, a cała zagadka eksperymentalizmu redukuje się do przewidzenia zjawisk i kierowania niemi." Bardzo dobrze; pytanie tylko jakim sposobem powieściopisarz zdoła przewidzieć zjawiska duszy ludzkiéj i jakim sposobem będzie eksperymentować społeczeństwo całe, lub téż kierować namiętnościami pojedyńczego choćby tylko człowieka, jeżeli mu do eksperymentowania duszy ludzkiéj brak najważniejszéj rzeczy, to jest tego instrumentu jakim się fizyolog posługuje przy eksperymentowaniu ciała ludzkiego. A przy tém, co podda eksperymentacyi: zmysły czy namiętności? człowieka fizycznego czy moralnego? Kto się podda jego eksperymentacyi? kto się pozwoli „postawić w takich okolicznościach i w takich warunkach" w jakichby autor „dla naukowéj demonstracyi" chciał go pokazać? Nie; tak „śmiało iść za uczuciem nie zatrzymując się zbytecznie nad dziecinnemi obawami sprzeczności teoretycznych" teoretykowi już nie wypada, zwłaszcza teoretykowi, który nieco daléj w tymże samym Klaudiuszu Bernardzie powinien się był doczytać jako „należy modyfikować teoryą dla zastosowania jéj do natury, nie zaś naturę dla zastosowania jéj do teoryi."

Ale Zola nie dba o drobne niekonsekwencye w dowodzeniu. Chce świat przekonać, że powieść jest wyrazem sztuki XIX-go wieku, tak samo jak metoda doświadczalna jest wyrazem nauki tegoż wieku: ztąd racya do tytułu: *Powieść doświadczalna*, jakkolwiek powieściopisarz nikogo i niczego doświadczać nie może inaczéj niż w swojéj głowie, w swojéj wyobraźni.

„Umysł ludzki—powtarza on za autorem *Wstępu*—w różnych peryodach swego rozwoju przechodził kolejno przez uczucie, rozum i doświadczenie. Najwpierw samo uczucie przygłuszając rozum stwo-

rzyło prawdy wiary czyli teologią. Rozum, czyli filozofia, stając się następnie panem umysłu zrodził scholastykę. Doświadczenie nakoniec, czyli nauka zjawisk naturalnych, pokazała człowiekowi, że prawdy świata zewnętrznego nie są sformułowane ani w uczuciu ani w rozumie, i że dla otrzymania tych prawd potrzeba koniecznie przejść do rzeczywistości objektywnéj, w któréj się one kryją pod swoją zjawiskową formą. Tym sposobem, w myśl naturalnego postępu rzeczy, zjawiła się metoda doświadczalna, która reasumuje wszystko opierając się kolejno na trzech podstawach tego niewzruszonego trójnoga: na uczuciu, rozumie i doświadczeniu. Przy poszukiwaniu prawd za pomocą téj metody, uczucie ma zawsze inicyatywę i rodzi ideę *à priori* czyli intuicyą; rozum czyli rozumowanie ideę tę następnie rozwija i dedukuje z niéj logiczne wnioski. Jeżeli jednak uczucie musi być oświecaném blaskami rozumu, to rozum znowu z kolei powinien być prowadzonym przez doświadczenie.“ Ztąd racya do wniosku, że „powieść doświadczalna jest konsekwencyą naukowego rozwoju XIX-go, wieku ponieważ kompletuje (?) fizyologią podstawiając na miejsce człowieka abstrakcyjnego i metafizycznego studium człowieka naturalnego, poddanego fizyczno-chemicznym prawom i zdeterminowanego przez wpływy otoczenia. Słowem, powieść doświadczalna jest literaturą naszego wieku nauki, jak literatura klasyczna i romantyczna była wyrazem wieku scholastyki i teologii.“ Tu anachronizm jest już nie do przebaczenia, gdyż według Klaudiusza Bernarda romantyzm-to raczéj, jako oparty na uczuciu, powinien był poprzedzić literaturę klasyczną odpowiadającą retoryce scholastycznéj, nie zaś przeciwnie.

Budując traktat o zastosowaniu metody doświadczalnéj do powieści, Zola popełnił błąd wynikający z powodu złego rozumienia wyrazu: *doświadczanie*. „Błędem Augusta Comte'a i Littre'go—mówi Pasteur na przyjęciu do Akademii—było pomieszanie metody eksperymentalnéj z metodą ograniczonéj obserwacyi. Obydwa obcy eksperymentowaniu, wyrazowi *doświadczanie* dawali znaczenie przypisywane mu w towarzyskich rozmowach, nie zaś to jakie on ma w języku naukowym. W pierwszym przypadku *doświadczanie* jest tylko prostą obserwacyą faktów i indukcyą, która mniéj lub więcéj słusznie wnioskuje co by być mogło z tego co było;—w drugim zaś metoda doświadczalna eliminując pewne fakty, wywołując nowe, badając naturę i przez modyfikacyą zjawisk zmuszając ją do odpowiadania, dochodzi do zupełnego dowodu prawdziwości odkryć.“ Słuszne to spostrzeżenie genialnego fizyologa jest najlepszą odpowiedzią na pretensye Zoli, który swoje mniéj lub więcéj szczęśliwe indukcye nie-

opatrznie nazywa prawdami otrzymanemi drogą eksperymentacyi a siebie, powieściopisarza, moralistą-eksperymentatorem.

Wreszcie grunt, na którym działają powieściopisarze w ogólności a Zola w szczególności, bezwarunkowo eksperymentacyi nie dopuszcza. Ich prace odnoszą się całkowicie do badań nad przeszłością, nad faktami spełnionemi, gdzie nic ani dodać ani odjąć nie można. Obyczaje bowiem tak samo jak historya wymagają metody ścisłéj obserwacyi i ktokolwiek chciałby „dla pewnych celów zmodyfikować lub zmienić naturę faktów,“ popełniłby błąd nie do przebaczenia w oczach potomności, ponieważ zamiast prawdy możliwie przedmiotowéj dałby sąd podmiotowy i ułudny. Byłoby nawet rzeczą bardzo pożądaną aby historycy i powieściopisarze badający obyczaje mogli pokazywać nam zawsze prawdę absolutną, wyprowadzoną i dowiedzioną naukowo. Niestety jednak, metoda eksperymentalna, jedyna która prowadzi do rezultatów pewnych, dla historyka jest zamknięta. Jego indukcye choćby najśmielsze i najściślejsze nie mogą i nie będą mogły nigdy rościć sobie prawa do niezbitych prawd, ponieważ tam gdzie w grę wchodzą namiętności ludzkie i gdzie liczba czynników jest niepodobną do obliczenia, wykrycie absolutnéj naukowéj prawdy jest tylko fikcyą szukającego.

Zola zdaje się o tém wcale nie wiedziéć. Olśniony wielkością celu zamiast szukać do niego dróg własnych posiłkuje się cudzemi i na nich błądzi. Jego *Roman Expérimental* jest jedną z tych filozoficznych baniek, wypełnionych nie metafizycznym wprawdzie ale sofistycznym wiatrem bezprzedmiotowego rozumowania, które, wzięte na seryo, nie tylko zaprzeczałoby jego powieściopisarskiéj ale nawet i poprzedniéj czysto estetycznéj działalności, kiedy-to jeszcze nad głowami artystów powiewał chorągwią *naturalizmu*.

W rzeczywistości Zola jest pozbawionym krytycznego i filozoficznego zmysłu, i to tak dobrze w swoich krytykach i próbach filozofii jak i w powieściach. Cała jego siła leży w umiejętności konstatowania faktów a cała słaba strona w nieumiejętności ich uogólniania. Jego naturalizm jest doktryną o tak szczupłych granicach, że w nich nie może się zmieścić ani malarstwo, ani rzeźba ani muzyka ani architektura. Dopóki stał przy pierwotnéj swéj formule wyrażonéj w *Mon Salon*, że „dzieło sztuki jest zakątkiem natury widzianéj po przez temperament artysty,“ czyli dopóki opracowywał bakonowską definicyą: *Homo additus naturae*, dopóty krytyka jego miała pozory sądu racyonalnego i odpowiadającego duchowi wieku, który podporządkowawszy wszystkie wiadomości człowieka pod prawa natury, zapewnił jednak jednostce jego indywidualne swobody i indywidualną niejako autonomią myśli. Odkąd jednak Zola z umysłu

ludzkiego usunął wrodzoną potrzebę szukania pierwotnych i ostatecznych przyczyn, hipotezom wypowiedział wojnę, a wszelkie idee i teorye sprowadził do prostego konstatowania faktów, jego doktryna stanęła w rozbracie z postępem, ponieważ z filozofii wyłącza wszelkie „dążenie rozumu ku poznaniu *nieznanego*, ów święty ogień poszukiwania, który, według Klaudiusza Bernarda, nie powinien u żadnego uczonego ani na chwilę przygasnąć.“

Tym sposobem Zola w całéj swéj literackiéj działalności nie poruszył ani jednéj myśli, którąby na umysł ludzi oddziałała jako filozoficzny bodziec. Nic z tego co nie jest znaném, nic z przyszłości nauki! W naturze są tylko przedmioty i fakty: badajmy więc przedmioty i poddajmy się faktom, jakkolwiekby nas rozum i intuicya pchały ku rozwiązywaniu zagadek, ku opanowaniu faktami.

Jest-to ten sam umysł w literaturze, co Littre'go w filozofii a Gambetty w polityce.

Faktem jest że trzydzieści przeszło milionów Francuzów należy do łona kościoła katolickiego, który walczy przeciwko nauce i władzy państwowéj. Poddajmy się faktowi—woła Littré—i ponieważ tak znaczna większość francuzkiego narodu jest katolicką zostawmy kościół w spokoju.

Faktem jest—mówi Gambetta—że nie cały naród domaga się zmian radykalnych w instytucyach odziedziczonych po cesarstwie i monarchii, jakkolwiek wszystkie te instytucye wyłączają ideę demokracyi i ducha republikańskiego. Poddajmy się więc faktowi i zostańmy przy *status quo*, dopóki cały naród do ostatniego chłopa z Owernii do ostatniéj akuszerki z Paryża, nie zażąda rozdziału kościoła od państwa, rugowalności sędziów lub zniesienia senatu.

Faktem jest—mówi Zola—że moralność jest w upadku: poddajmy się faktowi i zamiast moralizować notujmy niemoralność Francuzów. Kiedy tego będzie potrzeba prawodawca ułoży nowy kodeks poskramiający złe, ponieważ to jest jego zadaniem; my literaci powinniśmy tylko podjąć złe z ziemi i pokazać je czytającemu światu w jego przedmiotowéj pięknéj formie.

Filozofia ta nazywa się pozytywizmem w socyologii, oportunizmem w polityce a naturalizmem w powieści. Kto ją przyjmie?..... Ten tylko kto walczyć nie umié, nie chce, lub niepotrzebuje.

Zola, zadawszy ostateczny cios idealnemu romantyzmowi, zbudował z naturalizmu kościołek po za którym nie ma zbawienia dla sztuki. Jego dramatyczny umysł, nie znoszący ani naukowéj wątpliwości ani téż artystycznéj swobody temperamentów, stworzył całą książkę modlitw do natury, z któréj wszystko, co nie jest prostem konstatowaniem faktów, starannie usuniętem zostało.

Pomimo to jednak w swojéj kilkunasto-letniéj polemicznéj karyerze oddał literaturze francuzkiéj olbrzymie usługi, jako człowiek dobréj wiary, śmiały w wypowiadaniu swych sądów i nienależący do kliki wzajemnéj adoracyi. To co mówił o innych,—mówił szczerze i bez ogródek, czy to się odnosiło do bogów i półbożków sztuki, czy téż do wszechpotężnych królów dziennikarstwa. „Dziwném nawet jest co prawda—mówi Edmund de Amicis—pojawienie się tego pisarza z zakasanemi rękami, o piersi obrosłéj i chropowatym głosie, wpośród tłumu literatów we frakach, dobrze wychowanych i uśmiechniętych, którzy mówią tysiące obrzydliwości w przyzwoity zawsze sposób, na drobnych kartkach romansów koloru róży a zrobionych dla alkowy i teatru. Człowiek ten kopnął nogą w powietrze wszystkie flakoniki literackiéj tualety i ścierką ze zgrzebnego płótna obmył ublanszowaną twarz Prawdy. To jest téż jego największą zasługą.“

Co więcéj! po za Zolą w całém dziennikarstwie francuzkiém nie ma ani jednego człowieka, któryby chciał lub śmiał fabrykantom felietonowych romansów, sensacyjnych poematów i ogłupiających melodramatów, powiedzieć słowa prawdy w imię estetycznéj lub etycznéj zasady. Jest-to jedyny publicysta, który, nawet reklamując się lub broniąc przeciwko napaściom, nie zachował się ani razu wobec publiczności jak niańki wobec rozkapryszonych dzieci: w ciągu całéj swojéj działalności krytycznéj nie połechtał jéj nigdy sensacyę wywołującym palcem, aby sobie okupić bez wielkiego wysiłku jéj pobłażliwość i dobry humor.

Jeżeli jako teoretyk nie miał dostatecznéj refleksyi, a jako krytyk przedmiotowéj bezstronności, to w każdym razie nawet w walce *pro domo sua*, gdzie po przez ogólne idee bronił swoich własnych interesów, z pod jego pióra nie wymknęło się ani jedno słowo obwinięte w jedwabne nici zapłaconéj reklamy, ani jedno słowo lekkomyślnego zgorszenia, ani jedno słowo dowcipnego cynizmu.

2. Drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquart.

Jedna z młodocianych powieści Zoli: *Magdalena Férat*, rozwija się na tle dosyć dziwnego choć autentycznego faktu. Pewna dziewczyna opuszczona przez kochanka wychodzi następnie za mąż i po kilku latach małżeńskiego pożycia, rodzi syna zupełnie podobnego do człowieka, którego kiedyś kochała. Przy opracowywaniu téj fizyologicznéj zagadki, w głowie Zoli powstała myśl wprowadzenia dziedziczności do analizy charakterów i temperamentów. Ztąd zamiar napisania całéj seryi powieści trzymających się konarami ge-

nealogicznego drzewa a opartych na dziedzicznem skażeniu w całéj rodzinie.

Jak mówi Paweł Alexis, Zola zaraz po wyjściu z gimnazyum skomponował trzy poematy pod wpływem mussetowskiéj muzy, które stanowiły jedną organiczną całość. Późniéj, bez pieniędzy, żyjąc na poddaszach o chłodzie i głodzie, stworzył plan poetycznego dzieła, któreby obejmowało stworzenie świata, historyą całą i człowieka przyszłości. Następnie dopiero, po zebraniu notatek w dziełach Flourensa i Zimmermanna zwrócił się ku prozie, napisał tom drobnych powiastek i zarabiając na życie dziennikarską pracą puścił w świat kilka powieści, z których *Teressa Raquin* i *Magdalena Férat* zrobiły mu trochę rozgłosu. Jakkolwiek w dwudziestym ósmym roku miał już za sobą sześć tomów twórczości literackiéj, potrzeba jednak wybicia się po nad tłum i ujawnienia swéj oryginalności spać mu nie dawała. Sądząc, że najlepszym środkiem rozwinięcia się byłaby praca nad seryą dzieł organicznie z sobą związanych, oddał się z zapałem studyowaniu fizyologii a wszczególności *Traktatu o dziedziczności naturalnéj* doktora ..... Lukas'a.

„Wreszcie po za wewnętrznym pociągiem do badań naukowych, po za dawném marzeniem o jakiémś ogólném dziele, po za instynktem oryginalnéj natury i po za pragnieniem wyróżnienia się na polu powieściopisarskiém, kwestya pieniędzy popchnęła go do podjęcia seryi *Rougon-Macquart'ów*, w któréj-by nieprzewidziane perypecye nie grały roli. Doświadczając jeszcze niedostatku powiedział sobie bowiem że renta pięciuset franków miesięcznie zapewniona przez jakiego wydawcę dałaby mu byt bez trosk i niepewności. Lecz aby traktować na tych podstawach, potrzeba się było zaangażować do napisania całego ciągu powieści.

„Zachęcony wspaniałym przykładem *Komedyi ludzkiéj* Balzaca, wziął się raźnie do dzieła. Ponieważ Balzacowi myśl napisania *Komedyi ludzkiéj* przyszła dopiero późniéj, kiedy znaczna część powieści była już wydrukowaną, różne więc jéj części trzymają się tylko ogólnym tytułem i imionami komparsów, którzy występowali w dziełach poprzednich lecz bez organicznego związku. Zola zastosowawszy dziedziczność do analizy charakterów i temperamentów osobistości głównych, powziął myśl napisania seryi powieści, któraby zarazem była: *Naturalną i socyalną historyą rodziny za drugiego cesarstwa.* Przez ośm miesięcy (w 1868 roku) pracował jedynie nad tym planem chodząc codzień do Biblioteki, szukając w dziełach fizyologii i historyi naturalnéj, zbierając notatki i porządkując je według wskazówek poczerpniętych z *Traktatu naturalnéj dziedziczności* Lucas'a. Tak przygotowany ułożył plan i zaniósł go do

wydawcy Lacroix. Autor zobowiązywał się dostawiać dwa tomy na rok, a wydawca płacić mu po pięćset franków miesięcznie." Wojna francusko-niemiecka przeszkodziła ścisłemu wykonywaniu umowy. W 1875 roku Zola był jeszcze przyciśnięty długami, z których jedynie wydostał się dzięki zapobiegliwości i uczciwości innego wydawcy pana Charpentier. Lecz odtąd każdy tom sprzedany przynosi mu pięćdziesiąt centymów, co przy osiemdziesięciu lub stu tysiącach egzemplarzy stanowi potężną sumę czterdziestu lub pięćdziesięciu tysięcy franków za powieść. Tak się przedstawia strona handlowa tego wielkiego i po Balzacu jedynego w swoim rodzaju przedsięwzięcia.

Zobaczymy teraz stronę naukową. Rodzina *Rougon Macquartów* wychodzi z łona histeryczki, która przyszła na świat na jakie dwadzieścia lat przed Rewolucyą. Adelajda, owdowiawszy po kilku miesiącach małżeństwa z Rougonem, bierze za kochanka niejakiegoś Macquart'a, bandytę, którego śmierć pogrąża ją w stan melancholii połączonéj z napadami epilepsyi. Adelajda ma troje dzieci: z syna prawego pochodzą Rougony, z naturalnego Macquarty, a z nieprawéj córki Mouret'y.

Rougon, głowa prawéj linii, byłby pozostał do śmierci łotrem ostatniego rzędu, gdyby był nie miał przy sobie kobiéty sprytnéj, która w 1851 roku kierowana przez swego pierworodnego syna przygotowywuje *Fortunę Rougon'ów* powtarzając w Plassans kartaczowanie z 4 grudnia. Jego pierworodny, który łączy w sobie brutalstwo ojca z chytrością matki staje się wkrótce *Jego ekscelencyą Eugeniuszem Rougon*. Drugi syn— z obawy kompromitowania brata— przyjmuje nazwisko Saccard i okazuje się jednym z najzajadlejszych szczwaczy na łatwy giełdowy łup za cesarstwa w *La Curée*. Z pozostałych trojga dzieci starego Rougon'a, doktór Pascal dotąd jest tylko naszkicowany (w La Fortune). Sydonia, handlarka mód i od czasu do czasu agentka dyplomatycznych kombinacyi Jego Ekscelencyi, staje się w *La Curée* zwyczajną i bez wielkiego powodzenia rajfurką rodowéj i pieniężnéj arystokracyi; a Marta w *La Conquête de Plassans*, niezadowolona z miłości swego męża, koło czterdziestego roku życia, spada na głowę księdza zarówno chciwego jak nieskażonych obyczajów i dostawszy lekkiego obłąkania umiera na suchoty.

Antoni Macquart głowa linii nieprawéj, ma córki: Lizę, rzeźniczkę, która w *Le Ventre de Paris* złém okiem patrząc na swego przeciwko cesarstwu konspirującego szwagra, spokojnie jednak do końca życia sprzedaje szynki i kiełbasy — i Gerwezę, która *l'Assomoir* staje się nałogową pijaczką i w tém chyba tylko podobna do

swéj histerycznéj babki, że z nieprawego łoża rodzi dwoje uczciwych dzieci, z prawego zaś nierządnicę, sławną na cały świat *Nanę*. W bracie Nany, łobuzowatym malarzu Klaudyuszu, który na chwilę ukazuje się w *le Ventre*, obłąkanie babki przemienia się na geniusz sztuki.

W Mouret'ach dziedziczność przybiera wyraźniejsze formy. Franciszek Mouret, zięć Rougonów, wyrwawszy się z domu obłąkanych, w *la Conquête de Plassans* pali w jego własnym domu księdza, który mu odebrał żonę, dzieci, majątek, a ostatecznie i rozum. Jego córka Dezyderya urodziła się idyotką, a syn—Sergiusz, z wokacyą na księdza. Życie obojga stanowi oś powieści *La Faute de l'abbé Mouret*. Siostra pana Franciszka, jako piękna i zimna Helena, sylabizuje kartkę miłości w *Une page d'amour* z cudzołożnym doktorem, którego „nie kochała nigdy mniéj jak w chwili oddania mu się zupełnego," a mała jéj córeczka przed dojściem do wieku dojrzałości umiera w ataku konwulsyj, które odziedziczyła drogą *atawizmu*.

Inni członkowie genealogicznego drzewa, które „będąc regulatorem twórczości Zoli stanowi jego siłę," znajdą miejsce w nastąpić dopiero mających tomach. Powieść żołnierską (*Roman militaire*) opowiadać będzie Sedan i upadek drugiego cesarstwa. Powieść chłopska nastąpi zaraz po téj. Klaudyusz Lautier — „mieszanina; fizyczna i moralna przewaga matki (Gerwazy z *l'Assomoir*); dziedziczność nerwowego usposobienia przemieniająca się w geniusz"— będzie bohaterem powieści o sztuce. Socyalne i polityczne życie robotników stanowić ma dopełnienie *l'Assomoiru*, który jest tylko obrazem obyczajowym, „powieść handlowa" traktująca o wyzyskiwaniach i nadużyciach wielkich magazynów (*Louvre* i *Bon Marché*) i powieść „o kolejach żelaznych" poprzedzą ostatnią „ścisłą naukową," która „przez usta doktora Pascala (z linii Rougonów) objaśni analizami uczonego i uzupełni wszystkie części téj wielkiéj całości pomyślanéj odrazu i zawczasu."

Plan-to olbrzymi, zadanie wielkie! Rodzice z taką lekkomyślnością aż do dziś dnia wchodzący w śluby małżeńskie powinni by byli zadrżéć wobec grozy tych słów, które z powodu fizyologicznego nieporządku w jednym z rozpładzających osobników zapowiadają „organiczne skażenie całéj rodziny po przez ciąg kilku pokoleń." Dosyć było przedstawić fakty aby one same za siebie mówiły, uczyły i moralizowały,—dosyć było ogólny plan poprzéć szczegółami jednolitéj natury, aby fizyologia i etyka w cyklu powieści Zoli zyskały dzieło jakiego im dotąd brak: dzieło ścisłéj nauki napisane dla użytku mas niejednakowo przygotowanych do czytania.

Gdyby Zola był naturalistą w znaczeniu uczonego badacza natury, praca jego polegałaby na bogactwie i usystematyzowaniu dowodzących prawa dziedziczności spostrzeżeń i doświadczeń: fakty następowałyby po faktach, skutki po przyczynach, wnioski po pierwotnych sądach. Ale Zola jest tylko naturalistą-amatorem, fizyologiem-literatem, który zdaje się co chwila o swym planie zapominać i psuje go niedokładnościami namacalnéj, materyalnéj natury.

Nie robiąc aluzyi do jego pretensyi „uzupełniania fizyologii przez eksperymentalną powieść,“ spostrzedz się łatwo z kilku pierwszych tomów, że owa „naturalna i socyalna historya rodziny za drugiego cesarstwa“ jest zlepkiem luźnych, epizodycznych scen, którym brak pniemal wszelkiéj organicznéj łączności. Chcąc dowieść jak pewne fizyologiczne skażenie pod różnemi formami przenosi się z rodziców na dzieci, z pokolenia na pokolenie, postępuje jak gdyby miał badać wszystko i wszystkich z wyjątkiem prawa dziedziczności w rodzinie *Rougon-Macquart'ów.*

Przedewszystkiém postaci główne t. j. objęte konarami genealogicznego drzewa, z wyjątkiem kilku, giną w masie indywiduów nie mających nic wspólnego z zepsutą krwią rodziny.

W *le Ventre de Paris* bohaterem powieści jest Florent, szwagier dobrze zbudowanéj i tłustéj Lizy z domu Macquart, nie zaś sama Liza, która „ze swoją piękną twarzą namaszczonéj krowy“ przez cały ciąg tego polityczno-socyalnego dramatu Hall Paryża, gra tylko podrzędną rolę komparsa podsłuchującego mrzonkowatych knowań Florenta przeciwko rządom cesarstwa, i ani fizyologicznie ani psychologicznie nie zasługuje na najmniejszą uwagę ze strony czytelnika.

La Curée, z całym swoim przepychem opisowości i subtelnością finansowych szacherek i spekulacyj Rady municypalnéj Paryża, spoczywa na toczonych barkach Ireny Saccard, która jest tylko żoną człowieka pochodzącego ze „skażonéj organicznie rodziny“ i spontanicznie chyba dotkniętą wyraźnemi objawami nimfomanii, tak pochodzenie jéj ze starożytnego uczciwego domu bogatych mieszczan w niczém nie dowodzi dziedziczności do chorobliwie nerwowego usposobienia. W każdym jednak razie życiem, charakterem i swoją powieściową wydatnością, nieskończenie więcéj interesuje czytelnika niż jéj mąż spekulant o najbrudniejszych środkach, lub pasierb, który przez brak siły odpornéj dał się wciągnąć w sidła kazirodnéj miłości.

L'Assomoir jest epopeją pralni, szynku, *delirium tremens* i moralnego upadku paryskich robotników w osobie Coupeau, męża kulawéj Gerwezy, nie zaś Gerwezy saméj, która pod koniec życia od-

daje się pijaństwu i prostytucyi raczéj wskutek przykładu męża niż wskutek fatalizmu odziedziczonych nerwów. I tu więc bohaterem powieści jest człowiek skoligacony tylko ze „skażoną organicznie rodziną,“ jak gdyby Zoli wcale nie o dziedziczenie pewnych natur i usposobień chodziło.

Trudno przypuścić, aby autor hołdując naukowéj hypotezie psycho-fizyologicznéj dziedziczności, jako wszechpotężnemu biologicznemu prawu, chciał rozciągać je nietylko do dziesiątego pokolenia potomków bezpośrednich i pobocznych ale nawet do ich żon i mężów. A jednak w rzeczywistości tak-by się zdawać mogło. Ponieważ Adelajda Fouque była histeryczka, więc żona jéj wnuka Irena, cierpi na zkądinąd wielce interesującą i możliwą nimfomanią,— Florent, szwagier jéj ani psychologicznie ani fizyologicznie nic nie znaczącéj wnuczki, jest dotknięty manią politycznych spisków— a Coupeau, mąż drugiéj wnuczki, również otyłéj jak pierwsza, pada ofiarą potwornéj dypsomanii. Wprawdzie szaleństwo przeradza się w dypsomanię, a dypsomania w połączeniu z szaleństwem może dać początek epilepsyi, histeryi, hypokondryi, halucynacyi, demonomanii, lipemanii i manii odziedziczonych wprost przez bezpośrednich rodziców; w linii pobocznéj, coby dowodziło wspólności jakiegoś przodka w dalekiéj przeszłości, lub téż przez *atavizm*; dziedziczenie jednak przez mężów i żony jest po prostu niemożliwém i prawdopodobnie nie leżało w zamiarach Zoli, który przypadkiem tylko indywiduom skoligaconym ze „skażoną organicznie rodziną“ pozwolił w swych powieściach odgrywać role nieskończenie ważniejsze i wyraźniejsze niż pierwotny plan napisania „socyalnéj i naturalnéj historyi rodziny za drugiego cesarstwa“ według genealogicznego drzewa *Rougon-Macquart'ów* tego wymagał. Tym sposobem jednak postępując, Zola już w samym zarodku pracę swoją pozbawił jednéj z najważniejszych zalet: jasności przedmiotu, ponieważ charaktery i temperamenty Rougon'ów, Macquart'ów i Mouret'ów zagubił w masie indywiduów w żadném z nimi pokrewieństwie nie stojących.

Ścisły i bezstronny obserwator mając do czynienia z organiczném skażeniem w pewnéj rodzinie, któréj rodowód z góry już mu jest znanym, przedewszystkiém położyłby silny nacisk na wspólność tego skażenia we wszystkich osobnikach pomimo pozornéj czy téż rzeczywistéj rozmaitości form, pod jakiemi się ono w nich przejawia, i doszedłby z łatwością do zamierzonego celu, do uogólnienia oderwanych szczegółów, do przemienienia oderwanego faktu w prawo biologiczne. „Nie można — mówi Claude-Bernard — dojść do uogólnienia życiowych zjawisk istotnie jasnego i bogatego w rezultaty, inaczéj niż samemu eksperymentując i rozgrzebując w szpitalu, la-

boratorium i amfiteatrze zgniły lub drgający jeszcze grunt życia. I gdybym potrzebował dać porównanie mające wyrazić moje uczucie o nauce tego życia, powiedziałbym że to jest wspaniały, światłami jaśniejący salon do którego dostać się można tylko przez długą i okropną kuchnię.“ Zola częstokroć bezpotrzebnie i za długo siedząc w kuchni nie troszczy się wcale o salon życia, o to uogólnienie zjawisk, które jedynie mogłoby się stać podstawą do zmienienia hypotezy psychologicznéj dziedziczności praw. U niego szczegóły i fakty nie przestają nigdy grać roli izolowanych zjawisk. Chce pokazać całą złą stronę doboru płciowego pomiędzy małżonkami, którzy nie zastanawiają się nad fizyologiczną spuścizną jaką swym dzieciom z własnéj winy choć bezkarnie przekażą; chce pokazać organiczne skażenie rodziny po przez ciąg kilku pokoleń; chce nareszcie dowieść psychologicznéj dziedziczności, która jak dotąd jest tylko naukową hypotezą, pracy swéj jednak nie nadaje pozoru nawet dzieła naukowego.

W całéj rodzinie *Rougon-Macquart'ów* z małym wyjątkiem nie ma ani jednego członka, któryby po swych organicznie skażonych rodzicach odziedziczył jaki taki choćby rys charakteru lub usposobienia, wspólny z charakterem lub usposobieniem swoich życiodawców. Być może że w umyśle Zoli członkowie téj rodziny są do siebie podobni, bo ileż to ojców nie widzi swego obrazu w dzieciach, które zaledwie na świat przyszły! dla czytelnika jednak są oni dziwnie wybranym przykładem dziedziczności, skoro ani sposobami myślenia, ani mówienia, ani działania nie zdradzają najmniejszego fizycznego lub moralnego pomiędzy sobą pokrewieństwa.

Nigdzie, to co fizyologicznie nazywa się temperamentem a psychologicznie charakterem, w członkach objętych konarami genealogicznego drzewa nie jest postawionèm jasno i wyraźnie. Ci ludzie chodzą, mówią i działają jak gdyby nad nimi nie ciążył fatalizm ich pochodzenia. Każdy żyje na swoję rękę, na wcale inny a sobie tylko właściwy ład. Jasnowłosa Gerweza, tak rozlazła i zaniedbana, więcéj ma podobieństwa do jakiejś Flamandki niż córki gorącéj Prowancyi. Jakież jest podobieństwo choćby jednym rysem tylko pomiędzy pięciorgiem dzieci Rougon'a: Eugeniuszem—ministrem brutalnym, Pascalem—dobrodusznym doktorem, Saccardem—bezwstydnym giełdowiczem, Martą—hysteryczną dewotką i Dydonią, stręczycielką kochanków? Co oni mają wspólnego ze zdziczałemi Mouret'ami i jak nazwać ich wyborne zdrowie, w połączeniu z trzeźwością umysłu, przy rzucaniu się w męty życia aby z jego haniebnego błota wyciągnąć złoto?

Zola zapomniał widocznie nawiązać znamiennych cech tych ludzi na nitkę bezpośredniéj przyczyny t. j. dziedziczności po waryatce, i tym sposobem dziwaczną psychologią dwudziestu sześciu osób wyliczonych w genealogiczném drzewie pozostawił bez odpowiedniego wyjaśnienia i wymotywowania. W dziele jego nie ma téj nici, któraby maszyny zwierzęce a nawet i ludzkie dusze ściągała do jednéj fizyologicznie determinującéj przyczyny. Kilkoro z tych ludzi to łotry bez czci i wiary; reszta nie ma żadnego charakteru, tak, że nietylko trudno w nich dopatrzyć pokrewieństwa ze starą Adelajdą ale nawet z przeciętnym Francuzem.

Pomimo całéj psychologicznéj i fizyologicznéj rozmaitości osobników, rodzinne podobieństwo istnieje przecież nie tylko pomiędzy dziećmi z jednego gniazda, nie tylko pomiędzy gniazdami, które się mieszczą w jednéj prowincyi, ale i pomiędzy gniazdami zaściełającemi kraj cały, czyli pomiędzy członkami jednego i tego samego narodu, który jest rodziną na wielką skalę. Rzecz prosta więc, że jeżeli można mówić o wspólności psycho-fizycznych cech jednego narodu, pokuszenie się o demonstracyą psychologii jednéj rodziny za pomocą fizyologicznych, determinujących przyczyn, nie powinnoby nikogo zadziwiać śmiałością pomysłu. Aby jednak ów „determinizm, który tak samo rządzi kamieniem przydrożnym jak i mózgiem człowieka,“ nie był prostą etykietą farmaceutów, reklamujących spirytus kamforowy imponującemi wyciągami z księgi badań lekarskich, potrzebaby artyzm poświęcić nauce, efekty prawdzie a pięknie pisaną powieść systematycznie ułożonemu regestrowi faktów. Inaczéj na rezultat otrzyma się sumę niekompletnych i oderwanych szczegółów, których przenieść na grupę indywiduów a tém mniéj jeszcze na całe społeczeństwo nie można.

Tymczasem członkowie rodziny *Rougon-Macquart* nie mają ani jednéj wspólnéj cechy, ani jednego wspólnego rysu. Zdaje się że nawet w mowie nie zachowali odcienia prowansalskiéj gwary, jakkolwiek wszyscy przyszli z Plassans i poniekąd tam się wychowali. Co więcéj! jest-to rodzina, która się pomiędzy sobą nie komunikuje. Dyskrecyą Saccard'a, który dla łatwiejszego grabienia funduszów narodowych, wypiera się imienia Rougonów aby nie kompromitować swego rodzonego brata, Jego Ekscelencyi, zrozumieć łatwo. Dlaczego jednak inni członkowie nie przyznają się do swego pokrewieństwa i nim się w danym razie nie posługują, Zola nie wyjaśnia wcale. Tymczasem piękna rzeźniczka Liza zdaje się nic a nic nie wiedzieć o tém, że jeden z bliskich jéj kuzynów został ministrem cesarza, i starając się odciągnąć swego męża od niebezpiecznych knowań przeciwko bonapartyzmowi, ani razu nie posługuje się po-

tężnym argumentem ich pokrewieństwa z wice-cesarzem Francyi. Jej siostra Gerweza, jakkolwiek rodzina męża patrzy na nią wciąż z pogardą, ponieważ „nie wiadomo kto ją rodzi," nie chce zamknąć gęby całéj dzielnicy jedném słowem: Jestem siostrzenicą Jego Ekscelencyi Eugeniusza Rougon! A Nana, która się ociera o szambelanów i książąt krwi, czy nie daje wspaniałego przykładu dobrego wychowania i dyskrecyi, ani razu nie wspominając, że w jéj żyłach płynie krew człowieka, który trzęsie Francyą? Na sposobności jéj nie brakło, choćby tylko dla zrobienia na złość Simonie, która znała Bismarcka, lub Łucyi Stewart, która grywała w bezika z jakimś Bonapartem z nieprawego łoża.

Podobnego rodzaju szczegółów, które zdumiewają każdego choć cokolwiek uważniejszego czytelnika, w dziele Zoli nałowić nie trudno. Pra-babka Adelajda, pomimo melancholii połączonej ze strasznemi napadami epilepsyi, żyje dziewięćdziesiąt sześć lat (?), a Zola nie napomyka nawet, że to jest jak na obecne czasy wypadek dość rzadkiéj długowieczności. Nana, gdyby się trzymać chronologii genealogicznego drzewa, umiéra w osiemnastym roku życia, tak, że na wszystkie jéj awantury absolutnie nie ma czasu, licząc na miesiące choćby tylko jéj życie na wiarę z pierwszym vice-hrabią, szastanie się po bulwarach zewnętrznych Paryża, urodzenie dziecka, wstąpienie na deski teatralne, pożycie z kilkoma z kolei aktorami, *całoroczną* separacyą z Żorżem, życie w pałacu hrabiego Muffat i „długi pobyt" w Rosyi. Właściwie mówiąc jest-to tylko sprzeczność pomiędzy powieścią *Nana* a *l'Assomoirem.* Zola nie trzymał się chronologii zanotowanéj w jednéj powieści: ztąd sprzeczności w drugiéj. Świadczy to jednak, że ów „plan, który stanowi jego siłę i nie pozwala mu zboczyć ani na lewo ani na prawo" jest tylko — jak mówi złośliwy jego krytyk Colani — „bajką zmyśloną dla ubawienia gapiów."

A przytém pomimo usiłowań o nagromadzenie wyłącznie faktów pewnych, których autentyczności niktby zaprzeczyć nie był w stanie, Zola w 1815 roku każe żołnierzom francuskim nosić *kepi*, które jest importowanym towarem z czasów zdobycia Algieru; w 1810 przemyca cały ładunek zegarków z Genewy do Francyi, jakkolwiek Genewa należała wówczas do francuskiego terytoryum; przed Wielką Rewolucyą jeszcze ordynuje mieszkańcom Plassans odżywianie się na „niedopieczoném mięsie" i „chinowém winie;" a w 1853 roku pozwala Helenie Houret przypatrywać się ze swych okien wązkim pawilonom nowego Louvre'u, masywnéj operze Garnier'a i szklannemu dachowi Pałacu Przemysłu, jakkolwiek wszystkie te gmachy datują od czasu Wystawy z 1867 roku.

I dziwna rzecz! Jakkolwiek „nikt przed nim nie posunął tak daleko namiętności do wiernego malarstwa,“ jakkolwiek „nikt nie posługiwał się mniéj imaginacyą przy pisaniu powieści,“ Zola łowi *czerwone raki*, zbiera konwalie i dojrzałe śliwki w jednym i tym samym miesiącu, słyszy słowika w sierpniu i rozwiązuje cielne krowy w szesnastym tygodniu.

Jest-to winą z jednéj strony upodobania w efektach, którym pomimo całéj „namiętności do realizmu“ realizm poświęca, z drugiéj zaś jego sangwinicznego temperamentu, który mu na chłodno własnéj swéj metody widziéć nie pozwala.

3. Jego metoda.

Zola zamiast z obserwowanych szczegółów układać organiczną całość, obserwowane szczegóły przylepia do skomponowanych zawczasu lub późniéj wypadków i scen, i tym sposobem, zamiast postępować od obserwacyj prostych do idei złożonych, w idee złożone wplata obserwacye proste.

L'Assomoir—mówi do swego przyjaciela Edmunda de Amicis—był moją męczarnią. Miałem w głowie myśl zrobienia powieści na tle alkoholizmu. Nie wiedziałem nic więcéj. Zebrałem stos notatek o nadużyciu trunków i postanowiłem uśmiercić pijaka w sposób w jaki (*delirium tremens*) umiéra Coupeau. Nie wiedząc jeszcze kto będzie ofiarą alkoholizmu, jak lekarz chodziłem studyować chorobę i śmierć w szpitalu św. Anny (dla obłąkanych). Następnie przeznaczyłem Gerwezie stan praczki i natychmiast przyszła mi myśl opisu pralni, którym się powieść zaczyna. Jeszcze przed zrobieniem kanwy pomyślałem już opis uczty w zakładzie Gerwezy i wizyty w galeryach Louvre'u. Niezależnie od tego studyowałem moje szynki, *l'Assomoir* ojca Colombe'a, sklepiki i hotel Boncoeur. Kiedy wszystko było gotowe, zacząłem dopiero myśléć nad tém, coby stać się powinno i pisząc już powieść tak rozumowałem: Gerweza przychodzi ze swoim kochankiem (Lantier) do Paryża. Co się stanie? Lantier, człowiek niedobry, opuści ją z dziećmi. A potém? Gerweza jest młodą więc wyjdzie za mąż. Poślubia robotnika Coupeau, który ma umrzéć w szpitalu św. Anny. Lecz tu wszystko się urwało. Potrzeba mi było faktu, któryby stanowił węzeł powieści i przez wiele, wiele dni napróżno o nim myślałem. Pewnego ranka w głowie zrobiło mi się jasno. Lantier powraca do Gerwezy, zaprzyjaźnia się z Coupeau i w jego domu zamieszkuje. Odkąd pożycie we troje ustaliło się, nadeszła ruina. Odetchnąłem: powieść była zrobiona!“ (1)

(1) Souvenirs de Paris et de Londres—Edmund de Amicis.

Trudno byłoby doprawdy wynaleść metodę mniéj zgodną z potrzebami nauki, która, wychodząc z faktów znanych dokładnie, doprowadza do hypotez lub prawd ogólnych, nie zaś, jak u Zoli, z ogólnych — z pojęć o alkoholizmie, do szczególnych — do śmierci Coupeau w szpitalu. I ta metoda postępowania od pojęć do faktów, którą Zola posługuje się we wszystkich powieściach, jak to łatwo zresztą z budowy ich wywnioskować, ciąży na całéj jego artystycznéj twórczości: wszędzie życie zastosowane do idei i wszędzie melodramatyczność stanowiąca węzeł powieści zamiast dramatu wychodzącego z łona zjawisk i rozwiązującego się w myśl warunków życia.

Studyowanie robotniczéj dzielnicy Paryża mogłoby doprowadzić studyującego do nie wiem jakich sądów o moralności i obyczajowém życiu robotników. Zola idzie do niéj ze swojém z góry już urobioném pojęciem o alkoholizmie, o śmierci na *delirium tremens*, i w myśl tego pojęcia szuka szczegółów, któreby jego *apriorycznemu* sądowi nadały pozór prawdy. Przy takiéj metodzie, rzecz prosta, naukowe demonstracye przemieniają się w umyślne naciąganie faktów, determinizm w fatalizm, życie natury pełne i szerokie z zlepek sztucznie zebranych i wybranych zjawisk, a powieść w galeryą oderwanych obrazów zawieszonych sztucznie na goździkach melodramatyczności.

Jak Flaubert lub bracia Goncourt wyłącza on z powieści romantyczną fabułę, aby powieściowemu życiu dać pozór prawdziwego, które się błąka po manowcach bezcelowości, zabarwia tysiącznemi odblaskami interesujących intryg, lecz ostatecznie ginie w masie wielkich i małych zdarzeń; na powieściach jednak jego czuć niezdarny romantyzm Balzaca, który go pcha ku perypetyom melodramatu, gdzie ludzie co rozdział karki kręcą spadając z rusztowań, mężowie łapią żony na cudzołożnych schadzkach, dzieci niewinnym głosem drażnią sumienia matek, a karawaniarze przesuwają się pod oknami rozpustujących biesiadników. Nanę za rozwiązłość Bóg każe ospą, a Helenę Mouret za utratę wdowieńskiéj czystości śmiercią ukochanéj córeczki. Rozrzewniające-to i pouczające może, ale stare, zużyte i banalne, zwłaszcza że Zola posługuje się tém nie jako jednym z „dokumentów ludzkich“ ale po prostu jako literackim efektem, który dramat życia rozwiązuje lub mu charakterystyczną cechę nadaje.

Wina to jego temperamentu. Zola zaczyna badaniem sędziego śledczego a kończy halucynacyą. Pewnego dnia dano mu znać że w takiéj-to dzielnicy mieszka nałogowy pijak i nierządnica, w sąsiedniéj kobiéta cudzołożna i kazirodna, w innéj polityczny maniak

tu histeryczka a tam ksiądz niespełna rozumu. Dla tém większego złudzenia i pewności siebie, pożycza karty i ubrania od agenta tajnéj policyi i z ołówkiem w ręku udaje się wprost do dzielnicy gdzie grasuje występek. Ponieważ występek może się tylko zdarzyć w pewném miejscu, więc Zola przedewszystkiém bada miejsce. Ztąd owe nigdy niekończące się wyliczenia ulic, trotuarów, drzew, domów, szynków, sklepów i sklepików, wodociągów, szyldów, warsztatów, domów publicznych i kościołów, jeżeli zbrodnia lub występek miały miejsce w Paryżu; a dróg, kamieni szosowych, mostów, kwiatów, roślin, zbóż, bydła rogatego i nierogatego, drobiu, owadów, chléwów, zakątków, kryjówek, chat i plebanij, jeżeli badanie odnosi się do życia na wsi. Wszystko co wpada w oczy jest godném jego uwagi i refleksyj, wszystko staje się obrazem lub raportem, wszystko jest odczynnikiem psycho-fizyologicznéj eksperymentacyi — począwszy od wymiotów Coupeau, które zdecydowały Gerwezę do cudzołóstwa, a skończywszy na „drzewie zwierzającém się z tém Albinie do ucha co matki pannom młodym szepczą w noc ślubną“ aby się oddała księdzu Sergiuszowi. Tak zapoznany z fizyczném, materyalném centrem życia, następnie dopiero zabiera się do człowieka, o którym z góry już wie czém i kim jest w stosunku do społeczeństwa. I tu ta sama metoda wyliczań. Coupeau—pijak: gdzie się upija, ile razy na dzień i jak? Nana—nierządnica: z kim popełnia nierząd, gdzie go popełnia i jak. Irena Saccard—żona cudzołożąca i kazirodna: ilość pytań się zwiększa, rezultat jednak pozostaje ten sam. Ksiądz Mouret—mistyczny rzezaniec, któremu naiwna Albina na chwilę otworzyła oczy: jak się ksiądz modli, z jakiéj książki, do kogo, ile razy, w jakich porach, w jakich miejscach i w jakim celu, to tak szczegółowo, że *La Faute de l'Abbé Mouret* jest praktycznym podręcznikiem parafialnego nabożeństwa, ze szczególném uwzględnieniem parzenia się natury, która swym pożądliwym wpływem na chwilę przerwała rozmyślania księdza Sergiusza, podsuwając mu przed oczy drzewo wiadomości dobrego i złego w naiwnéj miłości Albiny.

Kiedy potrzebuje dowiedziéć się jak wyglądał park *Paradon*, jak się kuje gwóźdź, jak się przyprawia kiszkę, co się dzieje w duszy młodego księdza lub jakim językiem mówi paryski robotnik, bierze *Katalog ogrodnictwa* Vilmorina — *Dykcyonarz sztuk i przemysłu*—*Podręcznik dla rzeźników* Roret'a—*Naśladowanie Jezusa Chrystusa* (z hiszpańskiego), które kopiuje prawie dosłownie — lub *Le Sublime* Dyonizego Poulot, który jest słownikiem gwary i katechizmem życia paryskich robotników.

Dowodzić plagiatu byłoby tu zupełnie śmieszném; czego jednak nie można zbyć milczeniem, to sposobów jakiemi Zola się posługuje

dla zrobienia autentycznego krajobrazu lub dla przedstawienia człowieka w jego właściwém otoczeniu. Cokolwiek jest przedmiotem jego starannych i długich opisów, stos jarzyn czy publiczność w teatrze, podwórze na plebanii czy salon hrabiny, flaczarnia z Hall czy tłum na bulwarach, opuszczony sad czy Paryż widziany z wieży Trocadéro, sklep rzeźniczki czy sypialnia nierządnicy, Zola robi prosty wyciąg z katalogów i wylicza przedmioty, jak gdyby miał nie powieść z wrażeń pisać, ale *przewodnik* w guście Muray'a lub Baedeker'a dla zwiedzających Paryż Anglików.

„Nie przebyliśmy połowy jeszcze naszego sadu — mówi z dumą Albina do księdza Mouret — a już spotkaliśmy: jaśminy, glycyny, bluszcz, przewierścień, klematity, nasturcyą, groszek hiszpański, volubilis, gwoździki, pacierzynkę, rezedę, konwalią, fijołki, lobelie, selaginoidy, nemofile, mydlenicę, lewkonią z Mahon; potém ageratum, asperule, mimulus, phlox, lnianki, złocień, traxynelle, centranthus, ostrzeń, orliki, daufinele, schyzanthuzy, dzwoneczki, aronki, złotogłowy, koperek; następnie akanty, benedykty, rhodanty, clarkie, viskarye, leptosiphony, coliusye, lagurusy, naparstniki, słoneczniki strączyste, kleszczyny, bratki, amaranty, balsaminy, koszyska, liliowce; późniéj kosaćce, lewkonie, bodziaki, sedumy, świerzbnice, maki, zawilce, bieluny, łotocie, jaskry, hyacenty. tuberozy, popielniki; daléj piwonie, fuksye, przetaczniki, bodziszki, mieczyki, słoneczniki, rododendrony, pierwiosnki, barwinki, tulipany, kalceolery, zinnije, petunie, heliotropy i nareszcie lilie i róże." To przypomina przypowieść o pewnym Niemcu, który tak dobrze rozróżniał drzewa, że mu to lasu widzieć nie pozwalało.

Pojmując i uznając całą doniosłość takiego rodzaju dokładności, nie można jednak przytém powstrzymać się od zapytania, czy Zola jest wiernym malarzem natury? „Ów park — mówi jego biograf i przyjaciel Paweł Aleksis — był dlań długim i chwilami bolesnym wysiłkiem. Szerokie opisy roślin i kwiatów jakie się tam znajdują nie zostały poczerpnięte z katalogów, jak to mówiono; powieściopisarz pchany sumiennością chodził na wystawy ogrodnicze aby opisać każdą roślinę na realnym gruncie." Tak, ale nie na realnym gruncie zapuszczonego parku, i w tém jest podobny do niektórych francuskich malarzy, takich jak Meissonnier lub Detaille np., którzy wszystkie szczegóły mające wejść do obrazu znoszą do pracowni i malują je wiernie. W obrazach ich jednak jest wszystko oprócz obrazów z natury i życia, ponieważ nie wrażenia swe malowali ale szczegóły sztucznie na modele nałożone.

Każda roślina, każdy kwiat, każde drzewo, każdy ptaszek, każda łączka i każdy strumyczek zanotowany w parku *Paradon* jest

rzeczywistością: park *Paradon* jednak wychodzi daleko po za rzeczywistość, po za realny obraz natury, ponieważ tam wszechwładnie panuje przesada szczegółów, które rzecz przygłuszają niby bujne chwasty ubogą roślinność prowansalskiego ogrodnika. I w téj przesadzie opisowości ogłuszającéj jak mara halucynacyi, w tém nagromadzeniu słów i ciągłém wyszczególnianiu drzew, kwiatów, roślin, krzaków, ziół, traw, łąk, kamieni, strumyków i sam Bóg wié nie czego jeszcze, czytelnik tak dalece zatraca pojęcie rzeczywistości, że co chwila z całym wysiłkiem umysłu przypominać sobie musi jako znajduje się w zapuszczonym parku dziwaka na maleńkiéj francuskiéj ziemi nie zaś w dziewiczych lasach Ameryki.

Nie inaczéj rzecz się ma z opisami Paryża, wnętrza domów, warsztatów lub z wyliczaniem przyrządów jakiemi się u niego dany rzemieślnik posługuje. Wszędzie ten sam *pracowniany realizm* z modela nie zaś z natury, i wszędzie ta sama niepowściągliwość języka, który najdrobniejsze zdarzenia podnosi do znaczenia wypadków ludzkość całą obchodzących.

Wyliczając żyłki na kwiatku nie pokazuje się kwiatka, tak samo jak rozpinając motyla na szpilkach nie pokazuje się jeszcze motyla. Zola tymczasem nie zna innéj metody jak wyliczanie żyłek na kwiatku i rozpinanie motyli, sądząc, że im daléj posunie sumienność w rozbijaniu całości na jéj części składowe, tém obraz jego bliższym będzie rzeczywistości. Jest to błąd. Szczegółowe opisy wtenczas tylko mogą robić wrażenie natury, kiedy są poczęte pod wrażeniem całości lub téż zręcznie przetkane na kanwie obrazów ogólnych. Zola widzi tylko szczegóły i z nich układa tak pstre mozajki, że jego powieści więcéj mają podobieństwa do technicznych podręczników aniżeli do dzieł sztuki. Z jego *Ventre de Paris* można doskonale nauczyć się robić kiszek, handlować rybami lub gatunkować séry „symfonią smrodów grające" pod dachem Hall; z *la Faute de l'Abbé Mouret* modlić, a z *la Curée* wywłaszczać prywatnych posesorów na rzecz regulującego się miasta. Jaką jednak duszę ma rzeźniczka, rybaczka lub mleczarka; jakiém życiem żyje ksiądz lub giełdowy spekulant — książek Zoli o to nie pytać: powieść jego jest analizą rzemiosła ale nie rzemieślnika, faktów namacalnéj natury nie zaś duszy ludzkiéj, któréj palcami dotknąć się nie można.

Jest-to ta sama praca i ta sama metoda, jaką posługuje się Hipolit Taine przy badaniu historyi.

„Taine — jak złośliwie mówi Collani z powodu ostatniego jego dzieła — przy pomocy wskazówek czysto lokalnego interesu, jakie znalazł w siedemnastu pakietach paryskiego Archiwum, pisze historyą Rewolucyi, w któréj przesuwają się (z urzędowych raportów)

setki i tysiące drobnych wypadeczków tragicznéj lub wstrętnéj, komicznéj lub niedorzecznéj natury; Rewolucya jednak ze swojemi wielkiemi zgromadzeniami, ze swoim olbrzymim ruchem narodowym i ze swoją gorącą wiarą w odrodzenie socyalne, jest w niéj najzupełniéj nieobecną, ponieważ tego wszystkiego doczytać się nie można w siedemnastu pakietach Archiwum, a Taine czyta tylko siedemnaście pakietów."

W dziele Zoli, wszystko to, czego nie można zobaczyć, usłyszéć, posmakować, pomacać lub dowąchać się, a zwłaszcza dowąchać, jest również najzupełniéj nieobecném. Z martwéj natury zrobił sobie specyalność w któréj nikt mu dorównać nie jest w stanie. Wszystko co ma kształt, zapach lub barwę z pod jego pióra wychodzi potężnie i barwnie jakby z pod pędzla starych Flamandów. Utkwiwszy raz oko na jakimś drobiazgu nie zapomina go już nigdy i zasiadłszy następnie do pisania nie wstaje dopóty od stolika dopóki ów drobiazg nie zarysuje się na papierze żywo i silnie jak sama rzeczywistość.

To co żyje w naturze, u niego nie ma życia: to jednak co żyć przestało lub nigdy nie żyło, drga pod jego piórem życiem nieznaném innym artystom, tyle tam wypukłości w słowach, tyle galwanicznego prądu płynącego z nerwów i podtrzymywanego wolą człowieka który chce być twórcą. W każdéj jego powieści, w każdéj choćby najmniejszéj pracy czuć te nerwy i mięśnie, któremi go natura obdarzyła dla wynagrodzenia mu talentu twórczego i w parze z nim idącéj imaginacyi.

4. Jego kompozycya.

Plan, jak mówi Paweł Alexis, jest dla Zoli pracą czysto logiczną, niezmiernie drobiazgową i bardzo długą. Dzieli on materyą na pewną ściśle określoną liczbę rozdziałów, w których każda osobistość musi ukazywać się w przestankach obliczonych z góry, a fakty znikać lub zjawiać się niby pewne frazy w symfoniach muzycznych. I kiedy taki plan został już zdecydowany następuje redakcya. Każdy rozdział musi być obmierzony, przeważony i tak rytmicznie napisany jak arya jakiegoś klasycznego oratorium, tu przez „dorzucenie dwudziestu stron opisu takiéj rzeczy," tam przez „wstawienie dwunastu stron opisu takiéj sceny, podzielonéj na trzy części." *W Une page d'Amour* opisy Paryża widzianego z wieży Trocadéro występują pięć razy z rzędu w równych odstępach jedynie dla symetryi rozdziałów, a w *la Fortune des Rougon* ciąg czarującéj idylli bezustannie się rwie dla genealogicznych szczegółów, które w miłosnym duecie Sylwera

z Miettą występują co chwila jak banalne kadencye w finałach włoskich oper.

Zola tak jest rozmiłowany w tém symetrycznêm budowaniu swych powieści że „mając za dużo materyału obcina go do rozmiarów ram, a kiedy mu nie dostaje, to go rozciąga choćby z największym wysiłkiem.“ Naturalnie, taki geometryczny artyzm pociąga za sobą z konieczności pewne spaczenie rzeczy. Nie przedmiot bowiem stwarza tu sobie odpowiednią formę, lecz forma nadaje przedmiotowi mniejszą lub większą wartość, podrzędniejsze lub ważniejsze znaczenie, ponieważ psychologią rządzi u niego sztuka a sztuką prawa jakiejś wymyślnéj powieściowéj mechaniki.

Powieść, jeżeli ma być obrazem życia, powinna się toczyć naturalną koleją jego codziennych wypadków, jak to ma miejsce w *Pani Bovary* a więcéj jeszcze w *Wychowaniu Sentymentalnem* Flauberta; gdzie horyzont tego życia przybliża się lub oddala, zniża lub podnosi, jaśniéj się rysuje lub ciemniéj; gdzie krwawy dramat plącząc się z wypadkami powszedniej natury ostatecznie w nich się gubi, w ich szarości się zaciera.

Zola tymczasem, niepomny na swe własne i we wszystkich swoich polemikach rozkrzyczane zadanie, daje powieściom formę nie mającą nic wspólnego z biegiem indywidualnego lub społecznego życia. Materyał musi wchodzić w ramy rozdziałów niby kramarskie artykuły handlarza w szuflady jakiejś masywnéj komody umyślnie na tén cel zrobionéj. Wszystkiego tam dostać można z wyjątkiem tego czego się szuka, ponieważ handlarz nie naturą przedmiotów się kierował ale miejscem. Każda taka szuflada ugina się pod ciężarem specyalnego materyału. Pierwsza przeładowana jest fizyologią, druga etnografią, trzecia botaniką, czwarta ekstazą religijną, piąta filozofią handlu, szósta analizą prostytucyi, siódma cynizmem szacherek politycznych, ósma kwestyami socyalnéj natury i tak daléj bez końca, dopóki nie złoży się pięćset stronnic tomu, który jest jedyną rzeczywistą miarą tworzenia Zoli. A przytém wszystkie te szuflady otwierają się ciągle jednym i tym samym kluczem, ukutym ze stali melodramatycznego połysku.

Felicya, żona Rougon'a, postanawia sprowadzić bezbronnych republikanów z Plassans pod bramy ratusza aby jéj mąż mógł ich wystrzelać jak kaczki. Potrzeba było tylko namówić tego starego łotra Macquart'a do zbrodni i postawić go na czele tłumu. Ale Macquart, pominąwszy już różnicę przekonań politycznych, jest osobistym wrogiem Rougon'a i jakkolwiek podjąłby się chętnie oddać mu tę usługę judaszową za obiecane 1.000 franków, to jednak wiedząc co warte są obietnice Rougon'a narażałby się na kulę jedynie chyba

z amatorstwa. Zola eskamotuje trudności sceny i stawia Macquart'a na czele republikanów jak gdyby istotnie sam uwierzył, że Macquart w danym razie, kiedy strzały zaczną padać, może „odskoczyć na bok i tym sposobem uniknąć niechybnej śmierci z ręki brata. Bez tego jednak nie ma *Fortuny Rougon'ów*, nie ma końca powieści. Macquart ciągnie więc na ratusz wbrew swojemu usposobieniu, wbrew wszelkiéj logice. Ale o to mniejsza: Zola potrzebował go wprowadzić dla rozwiązania sceny i jakkolwiek to wprowadzenie nie jest naturalném rozwiązaniem sytuacyi, posłużył się niém, ponieważ tego cel powieści koniecznie wymagał.

W *la Conquête de Plassans*, znowu, ksiądz Faujas żyje na koszcie Marty jak zwyczajny pasorzyt, chociaż jego czystość obyczajów i duma powinny mu były niepozwolić pójść poprostu na utrzymanie, tém bardziéj że mieszkańcy prowincyonalnych miast Francyi są nieubłagani w swych sądach dla ludzi, którzy „jedzą cudze mienie.“ Ale gdyby Faujas nie był pasorzytem Marty, mąż jéj dotknięty pomięszaniem zmysłów nie spaliłby go żywcem. Zola więc naciąga sytuacyą, i dla pokazania wspaniałego obrazu pożaru mieszkańcom Plassans, fałszuje psychologią tego księdza tak twardego, dumnego, ambitnego i nieskażonych obyczajów, a jednak równocześnie tak interesowanego w najbrudniejszy sposób. Bez téj jednak katastrofy powieść nie miałaby końca i rozwiałaby się w powietrzu.

W *le Ventre de Paris* cały dramat polityczny prysnąłby jak bańka mydlana, gdyby Florent nie był przyjął urzędu inspektora Hall. Z początku, bohater niewinnych knowań przeciwko cesarstwu, odmawia urzędu, ponieważ nic nie mogłoby być wstrętniejszém dla niego jak chléb z ręki cesarskiego rządu; że jednak wszyscy sąsiedzi i przyjaciele namawiają go natarczywie, więc przyjmuje, gdyż „to ostatecznie za głupie.“ I odtąd powieść toczy się bez żadnych szkopułów w budowie.

W *Une page d'amour* Helena Mouret zawiadamia listem bezimiennym doktora Deberta, że jego żona jest w mieszkaniu młodego Malignon. W chwilę potém Helena, przerażona własną swoją podłością wpada co prędzéj do pokoju kochanków i ostrzegłszy ich o niebezpieczeństwie radzi im ucieczkę. Lecz sama nie uchodzi z mieszkania pięknego Malignon. Zostaje tam przy kominku i czeka na doktora, którego oddawna kocha. Jako téż doktór i przychodzi. Dlaczego tu na niego czekała? Co za znaczenie miał list bezimienny i kto go przysłał, jeżeli przed tym kominkiem nie żonę swoję zastaje ale kobietę, którą kochał i pożądał dotąd bez skutku? Eh! ktoby się tam o takie bagatelki w takiéj chwili pytał! Helena tu była aby mu się oddać i tu mu się oddała aby „powróciwszy po trzewiki stoją-

ce przed kominkiem pomyśléć, że nigdy nie kochali się mniéj jak tego dnia właśnie.“ Inaczéj powieść-by się nie zawiązała: dla obrazów nie byłoby goździka. dla opisów Paryża pretekstu.

Intryga, historya, fabuła powieści to głupstwo. Realizm w szczegółach to rzecz; symetrya w posiekaniu materyału na rozdziały to sztuka. Więc téż Zola zbiera sobie notatki, co i jak się kiedy zdarzy, byle tylko wiernie i dużo, a kiedy przyjdzie do pisania powieści, to rzecz sama już się złoży byle tylko było dosyć materyału wziętego z natury i jaki taki figiel melodramatycznego interesu, około którego możnaby zgromadzić obrazy i seryą mniéj lub więcéj zajmujących opisów.

Lecz z tego-to powodu właśnie w jego powieściach nie ma nigdy ruchu. Akcya nie rozwija się w myśl wypadków, ponieważ symetrya wstrzymuje postęp psychologii przez „dorzucenie jakichś dwudziestu stronnic opisu takiéj rzeczy lub takiéj sceny,“ a cel, do którego jego osobistości dojść muszą za jakąkolwiek bądź cenę, paczy naturalne rozwiązywanie sytuacyi na rzecz dziwnie melodramatycznych perypecyi. Zola dla zadosyćuczynienia warunkom proporcyi, w ich monotonii zagubia wszystko, co by tylko mogło obudzić żywszy interes. Myśli filozoficzne giną w szumie artystycznych wrażeń, wrażenia w bogactwie ścisłych obserwacyj, a obserwacye w nawale słów, tak że dziełu jego brak ostatecznie tego kulminacyjnego punktu interesów, uczuć lub myśli, z którego możnaby było objąć całą przestrzeń jedném rzutem oka. A ta przestrzeń, to płaszczyzna bez końca, przez którą po piaszczystéj i krętéj drodze idzie się ciągle ze spuszczoną głową, wolno, ostrożnie i ciężko. Żadnych niespodzianek: ani świeżéj zieloności jakiejś trawki w rowie, ani barwnego kwiatka na szczycie pagórka, ani wesołego śmiechu strumyka, ani tajemniczego cienia lasu na niebieskim pasie widnokręgu! Żadne żywsze tchnienie, żaden wzlot myśli, żadna ostrzejsza nuta uczuć, choćby zaprawionych jadem sceptycyzmu, nie przerywają ani na chwilę téj jednostajnéj jego pracy w układaniu mozajki życia z drobnych i dobrze przystosowanych kamyczków prostéj obserwacyi, ponieważ to by mogło zepsuć symetryą a może nawet i rozerwać całość.

5. Jego Psychologia.

Wszyscy ludzie jakich Zola do swych powieści wprowadza mówią mało i posługują się jednym i tym samym nieokrzesanym językiem gminu, jakkolwiek każdy z nich należy do innéj warstwy społecznéj, do innego poziomu wykształcenia, wychowania i otoczenia.

Ciosani z jednego kamienia, bez żadnego rafinowania bez żadnéj dwuznaczności dusz, bez żadnéj rozbieżności charakterów, zachowują się przy akcyi *jak androidy* czyli „maszyny ludzkie poruszające się za pomocą mechanicznych kombinacyj.“ Myśli ich nie błąkają się po bezdrożach pragnień, zmysły nie niszczeją w zabójczéj różnorodności pożądań, czyny nie zaprzeczają woli, wola nie marnieje w walce o drobiazgi a drobiazgi nie przeważają szali założonego celu. Cel został postawiony z góry. Mają wyrażać alkoholizm lub hysteryą, brutalną namiętność lub naiwne uczucia dzieci; mają wyrażać „dziedziczność organicznego skażenia“ lub „moralny upadek Francyi za drugiego cesarstwa;“ mają żyć w myśl „idei ogólnéj“, która powieścią rządzi,—lecz nie żyją wielkiem życiem natury. Idą wprawdzie jak pijani, którzy zataczają się, zbaczają z drogi, zwracają w tył, wloką lub chwilami pędzą, lecz ostatecznie pomimo spóźnienia zachodzą do domu, do tego celu, który jest kluczem ich psychologii. Przy akcyi taką tylko grają rolę jakiéj autorowi potrzeba na poparcie owéj „idei ogólnéj“ owéj „filozoficznéj myśli“, a z „dokumentów ludzkich“ mających charakteryzować „układ ich zmysłowych i umysłowych manifestacyj“ biorą tylko zwierzęcość i głupotę.

Zola w pogoni za szczegółami jednéj i téj saméj natury, któreby dosadnie wyrażały jego „myśl ogólną,“ zagubia charakterystykę swych postaci w monotonii ich manifestacyi psychicznych. Potężną dłonią sięgnąwszy raz do wnętrza jakiejś kopalni, wyrzuca z niéj całe garście wciąż tego samego kruszcu, zapominając, że obok znajdować się może całkiem inna kopalnia, całkiem inny kruszec.

Właściwie mówiąc, Zola jest-to sędzia śledczy, dla którego w życiu krom zbrodni, występków i wad nic nie istnieje. Szuka i zastanawia się tylko nad takimi ludźmi, którzy wykraczają przeciwko prawu, lub co najwyżéj wymykają się z pod jego chłosty, a słucha ich wtedy tylko kiedy mówią cynicznym i wyuzdanym językiem zepsucia.

Wprawdzie po kilkakroć dotknął się dusz czystych, piękna jednak strona życia nie wiele zyskała na jego obserwacyach cnoty. Jeżeli w błocie robotników znajduje ludzi porządnych to tylko na wzór bohaterów opery komicznéj. Goujet w miłości swéj do Gerwezy prowadzi się jak sielankowy pastuszek z XVIII-go wieku, wykarmiony na ekstrakcie z katechizmu. Kiedy kulejąca żona pijaka odwiedza go w kuźni lub wyprowadza na puste pola, Goujet proponuje jéj ucieczkę za granicę jak awanturnik z romansu; a kiedy następnie, zestarzawszy się do reszty, przychodzi w lat kilka do jego mieszkania jako zgłodniała nierządnica, dobrze podeszły już wiekiem kowal pada przed nią na kolana i mówi ze słodyczą: „kocham cię, pa-

ni Gerwezo! Oh! pomimo wszystkiego, przysięgam ci, że cię kocham jeszcze!... pozwól mi się pocałować.“

„I jakkolwiek mógł z nią zrobić wszystko co by mu się podobało, dotknął jéj tylko ustami, szepcząc: „To dla nas wystarczy, pani Gerwezo! to cała nasza przyjaźń, nie prawda?“

I cała ta *przyjaźń* kowala z praczką wygląda w *l'Assomoirze* jak para zakochanych gołąbków z świeżutkiéj cukierniczéj winiety na zapstrzonéj ścianie brudnego szynku.

Cnoty u Zoli tak samo jak i występki grzeszą jakościową i ilościową przesadą rysów. Jeżeli pijak to upija się przynajmniéj trzy razy na dzień, a jeżeli porządny człowiek to już nigdy do ust wódki nie bierze; rozpusta u niego zaczyna się w kolebce i trwa aż do śmierci, a czystość obyczajów wyraża się tylko przez dziecinną naiwność.

Ksiądz Mouret kocha się w Najświętszéj Pannie, co się każdemu księdzu zdarzyć-by mogło, ale się kocha niewiernie, ponieważ i zmysłom w tém doczesném życiu należy się także choć jaki taki udział w przyjemnościach rzeczywistych, zwłaszcza jeżeli się jest młodym i mieszka się pod jednym dachem z piękną Albiną. Ksiądz Mouret kocha piękną Albinę, chociaż nie wié na prawdę co to jest miłość i nie może odgadnąć czego natura odeń wymaga. Albina kocha księdza Mouret'a, lecz że wychowaną jak polna róża w dali od wszelkiéj cywilizacyi, więc o woli zmysłów nie ma także najmniejszego wyobrażenia. I tak „dwoje tych osób—jakby powiedział Longus—niespokojnych od miesięcy, w pogoni za ostatecznym celem miłości, paliło się i wycieńczało wszystkiém co widziało i słyszało, napróżno szukając czegoś coby było do znalezienia po za uściskami i pocałunkami.“ Zola tak wyciągnął strónę naiwności dwojga tych kochanków, że powieści jego brak tylko Gnathona, któryby się zakochał w księdzu jak w Daphnisie i „dobréj kobieciny Lycenion, która litując się udręczeniem pastuszków i z uwagi, że nastręczała się jéj podwójna sposobność uczynienia dobrze, pokazała Daphnisowi co to takiego jest, z jednéj strony aby ich nauczyć tego co dobre, z drugiéj zaś aby zadowolnić swoję własną chuć“ (1).

Tym ludziom brak zmysłów i refleksyi. Są to bezcielesne, przejrzyste figurki, które zaledwie w wieku scholastyki ujść-by mogły, tak mało mają wspólnego z życiem rzeczywistém, z życiem nerwów i skłonności naturalnych. Zola chciał napisać idyllę, coś w rodzaju zupełnie sprzecznym swojéj naturze, coś „dla odpoczynku.“ Tymczasem ani *la Faute de l'Abbé Mouret*, która jest idyllą na wsi, ani *Une*

---

(1) Daphnis i Chloe—przez Longusa.

page d'Amour, która jest idyllą na bruku paryzkim, nie dorównywają innym jego utworom, ponieważ analiza dusz czystych nie jest jego specyalnością. Miłość wymyka mu się z rąk: nie umié jéj pochwycić, nie umié odgadnąć, nie umié scharakteryzować. Błąkając się po manowcach drobnych faktów, oscyluje pomiędzy najsubtelniejszą eteryczną naiwnością dziecinnych uczuć a fizyologicznym aktem rozpładzania się całéj przyrody. Chciał „aby cały Paryż płakał.“ Lecz Paryż nie uronił ani jednéj łzy, ponieważ ten tylko może rozrzewniać, kto z duszy ludzkiéj wydzierać umié najgłębsze jéj tajemnice i najtajniejsze jej uczucia pokazuje jak na dłoni. Zola tymczasem pisze to tylko co widzi, co jest namacalném lub przynajmniéj powszechnie znaném. Nie z głębi duszy, nie z tego co przeniknąć-by trzeba! Zwracając swe oko krótkowidza na fakty i szczegóły mało skomplikowane, bardzo widoczne i bez delikatnych odcieni, jest mistrzem w analizie dusz takich tylko ludzi, którzy się zarysowywują grubemi liniami ciała i brutalnych natur. Inni są tylko koncepcyami jego wyobraźni, a co jego wyobraźnia warta sam to własnemi słowami powiedział. Zresztą jak może rozrzewniać człowiek, który zna tylko dwa stany duszy: naiwność i zwierzęcość, i to najczęściéj zestawione obok siebie dla niby dramatycznego efektu. Wszakże każda rozmowa choćby najwykwintniejsza, każdy opis choćby najpoetyczniejszy, każda scena choćby najtragiczniejsza, kończą się u niego albo cuchnącém słowem cynizmu albo wstrętniejszym jeszcze od słowa aktem.

Ksiądz Mouret chowa do grobu swą kochankę. „Nagle kiedy trumna podtrzymywana sznurami spuszczała się do dołu, przeraźliwy hałas podniósł się z podwórza plebanii. Dezyderya z rozczochranemi włosami, z rękami obnażonemi aż po łokcie, z twarzą promieniejącą tryumfem ukazała się po nad murem. Musiała widocznie stanąć na kupie śmieci.

— Sergiusz! Sergiusz! wołała na księdza.

W téj chwili trumna Albiny była już na dnie dołu. Wyciągnięto sznury. Jeden z wieśniaków rzucił pierwszą łopatę ziemi.

— Sergiusz! Sergiusz! zawołała na brata głośniéj. Krowa się ocieliła!“

Rzekomy ten efekt naturalizmu nie da się ocalić warunkami otoczenia w jakim się pogrzeb odbywał, ponieważ to cielę przyszło na świat w niespełna cztery miesiące. Widocznie, krowa, świadoma literackich efektów, umyślnie ocieliła się wcześniéj, wbrew prawom fizyologicznym, byle tylko zdążyć na pogrzeb nieszczęśliwéj kochanki księdza.

— „Słuchaj jeszcze—przerwała Lalie po chwili milczenia. Piekarzowi winniśmy cztery franki, siedm soldów: trzeba by to zapłacić... Pani Gaudron ma nasze żelazko, o które się upomnisz... Dziś wieczór nie mogłam ugotować kolacyi, ale zostało się trochę chleba...

— Nasza mateczka, nasza mateczka! bełkotał pijany Bijard padając na krzesło.

Do ostatniego tchnienia mały ten kotek był matką całego domu. Téj się nie zastąpi z pewnością! Umierała ponieważ nad swój wiek miała rozum prawdziwéj matki, a pierś za czułą i za ciasną na pomieszczenie tak szerokiego macierzyństwa. Ale to było winą tego dzikiego zwierzęcia, jej ojca. Zabiwszy matkę jedném kopnięciem nogą, czyż nie zabiczował na śmierć córki?

Gerweza tymczasem wstrzymywała się od łez. Chcąc pocieszyć dziecko wyciągnęła ręce i ponieważ obrywek prześcieradła zsunął się na ziemię, zaczęła prześcielać łóżko. Wtedy-to ukazało się biedne ciało umierającéj. Wielki Boże! co za nędza, co za ulitowanie! Kamienie by zapłakały! Lalie była zupełnie naga, z kawałkiem kaftanika na ramionach zamiast koszuli; tak, była całkiem naga krwawą i bolesną nagością męczennicy. Nie miała już ciałka a kości wychodziły przez skórę. Po żebrach cienkie fijoletowe pręgi spadały aż do ud: były-to żywe jeszcze cięcia ojcowskiego kata. Sina plama opasywała lewe ramię, jak gdyby ten członek nie grubszy od zapałki zdruzgotany został w paszczy kleszczów. Na prawéj nodze widniała źle zasklepiona rana, jakiś raz otwierający się co dnia przy porządkowaniu domu. Była czarna od stóp do głowy. W kościołach oddaje się cześć biczowanym świętym, których nagość jednak mniéj jest czystą. Lalie wstydząc się za ojca starała się ukryć pod prześcieradłem. Bijard ogłupiały, z oczami wlepionemi w tego trupa, który był dziełem jego własnéj ręki, zataczał powoli głową jak bydle. Lalie umierając słabła, nic już nie mówiąc, nie mając nic nad swe dawne czarne spojrzenie dziewczynki zrezygnowanéj i zamyślonéj, które utkwiła w twarzach braciszka i siostrzyczki, tych dwojga jéj dzieci spokojnie wycinających obrazki (1).

I cała ta liryczna wędrówka przez padoły łez i zwierzęcego okrucieństwa, bezgranicznego poświęcenia i otwartych ran jest tylko przedmową do rzeczy. Rzecz?... To „Gerweza schodząca po schodach bez pamięci i tak *gonflé d'emmerdement*, że byłaby się chętnie wyciągnęła pod kołami omnibusa aby skończyć raz już z tém paskudném życiem.“

---

(1) L'Assomoir.

Lecz nie tylko na „powieściach które czuć ludem“ Zola kładzie markę gminnéj natury, niby wyraz niewzruszonego spokoju czy téż filozoficznego indyferentyzmu na wszystko „coby ludzkość obchodzić mogło.“ Nawet tam bowiem gdzie z urzędu panuje paczulowa wykwintność słów, jego sceptycyzm, owa indywidualna nuta artysty, śmierdzi amoniakiem i koźlim potém.

— Nie,—mówiła Irena do swego pasierba—istotnie nie rozumiem was. Ależ one są głupie i brudne... Kiedy widziałam że idziesz do Sylwii wyobrażałam sobie rzeczy cudowne, starożytne uczty jak je pokazują na obrazach, ludzi w koronach z róż, złote czary, rozkosze niezwykłe!... Eh! gdzież tam! Pokazałeś mi brudny gabinet i kobiéty klnące jak dorożkarze. Nie! to nie warte popełniania złego... Złe, mój drogi, powinnoby być czemś wykwintném... Ja, jako kobiéta uczciwa, kiedy nudząc się popełniam grzech marzenia o czemś niemożliwém, jestem pewną że wynajduję rzeczy o wiele ładniejsze aniżeli wszystkie wasze Sylwie i Blanche-Müllerki, które widziałam przed chwilą.

I z miną poważną zawyrokowała tem głębokiem słowem naiwnego cynizmu: „Kwestya-to *edukacyi*, rozumiesz?“

Albo Irena nie mając najmniejszego wyobrażenia o starożytnych ucztach, powiedziała Maksymowi, że w kwestyi kochania jest wyżéj *wyedukowaną* niż Blanche-Müllerka, albo też nic nie wspominając mu „że jest inaczéj zabawną w łóżku niż ta pani,“ przez cały czas rozmawiała z nim o starożytnych ucztach i o ludziach w koronach z róż. Albo to była zwyczajna rozpustnica, która z cynizmu robi paradę, albo też kobiéta lekkomyślna, któréj staranne wychowanie pozwalało bywać na pokojach cesarskich i ujmować złotą młodzież: nigdy zaś ordynarną nierządnicą i kobietą wyższego świata razem. „Pod wpływem wychowania domowego rogi pragnień, których dotknięcia przyprowadzały ją chwilami do szaleństwa, byłyby się niezawodnie przytępiły w religii lub jakiémś inném zadowelniu nerwów. Głowa jéj była całkiem mieszczańską: miała poczucie uczciwości absolutnéj, zamiłowanie w rzeczach logicznych (?), obawę nieba i piekła, i ogromną dozę przesądów. U sióstr *Nawiedzenia Najświętszej Panny*, swobodna, z umysłem błąkającym się w mistycznych rozkoszach kaplicy i w cielesnych sympatyach z małemi przyjaciółkami, stworzyła sobie fantastyczne wychowanie, ucząc się wad, mieszając do nich otwartą swą naturę i do tego stopnia narowiąc młody mózg, że ku wielkiemu zakłopotaniu swego spowiednika przyznała się: jako pewnego dnia podczas mszy świętéj miała nieprzezwyciężoną chęć wstać z miejsca i pocałować go. Błąd, który sprowadził jéj małżeń-

stwo z Saccardem, owo brutalne zgwałcenie jakiemu się poddała z rodzajem przerażonego oczekiwania, wywołał w niéj następnie pogardę dla siebie saméj i wiele się przyczynił do jéj opuszczenia się w życiu. Sądziła że nie potrzebowała już walczyć ze złem, które w niéj było i że logika upoważniała ją do pójścia na krańce szkodliwych wiadomości. Miała więcéj jeszcze ciekawości niż pragnienia. Rzucona w świat drugiego Cesarstwa, puszczona na wolę swéj imaginacyi, utrzymywana i podniecana w hałaśliwych dziwactwach pieniędzmi, *oddała się*, żałowała późniéj, aż nareszcie, wciąż podcinana biczem, wciąż parta ku nienasyconéj potrzebie wiedzenia i czucia, zdołała zabić już i tak dogorywającą uczciwość.

Nieokreślone pragnienie, które napadało ją w złych godzinach, powiększało jeszcze ten mętny jéj niepokój i to szalone gonienie za rozkoszą jedyną, wykwintną, a któréj by mogła ugryźć sama. Pierwsi kochankowie nie zepsuli jéj wcale; po trzykroć zdawało się jéj że zapałała wielką namiętnością: miłość bowiem wybuchała w jéj głowie jak petarda, któréj iskry jednak nie dosięgały serca. Szalejąc przez miesiąc, afiszowała się po całym Paryżu ze swoim *panem* i następnie, pewnego poranku, wśród całego hałasu swéj miłości, uczuwała przygniatającą ciszę i olbrzymią próżnię. W dwudziestym ósmym roku była już okropnie znużoną. Zamykała drzwi cierpiąc migreny. Lecz potém, kiedy drzwi się otworzyły i przez nie wymknęła się fala jedwabiu i koronek była-to istota zbytku i radości bez troski, bez czerwonéj plamy na czole."

I ta wspaniała charakterystyka, trochę może za zbyt nieostrożnie przekalkowana z charakterystyki *Pani Bovary*, (1) tak jest wyczerpującą, że Zola w dalszym ciągu mógł ją tylko rozwałkować, zagubić w masie „autentycznych dokumentów." Irena z cudzołóztwa wpada w cudzołóztwo bez woli, bez pożądania, bez namiętności, bez chęci. Nerwy jéj nie grają, mózg się nie pali. Jest-to zwyczajna najemnica, któréj wszystko jedno komu się oddaje. Ponieważ nie ma temperamentu więc psychologia jéj nawskroś jest bezbarwną i nie interesującą. W salonie, w buduarze czy w sypialni, w tłumie czy sam-na-sam z kochankiem nie ma nic do powiedzenia. Jéj słowa nie wyrażają ani nudy ani pożądania—„ani pospolitości umysłu ani bezczelności," jakkolwiek przez swe urodzenie, wychowanie i otoczenie powinna by była stać się nierządnicą interesującą. Miała być kobiétą przedstawiającą niewieści świat drugiego Cesarstwa, jego nerwy, jego wychowanie, pragnienia, namiętności i konwenanse. Tak przynaj-

---

(1) Patrz: *Ateneum* 1881 r. Tom II. Zeszyt I. Str. 53 i 54.

mniéj chce powyższa charakterystyka i następne ciąganie téj „niepodobnéj do zanalizowania kobiéty“ po wszystkich ogniskach demoralizacyi za czasów Napoleona III. Jakkolwiek jednak chodzi do ministrów aby ułatwić mężowi spekulacye, afiszuje się z kochankami po całym Paryżu, oddaje się jakiemuś nieznajomemu przechodniowi na ulicy, wciąga pasierba do swego łóżka, pokazuje się prawie nago u siebie na balu i mówi z „naiwnym cynizmem“ o swéj *edukacyi* w kwestyi kochania, życie jéj nie jest wyrazem owéj epoki, która doprowadziła do *l'homme-femme*, ponieważ w nerwach jéj nie czuć samicy a w głowie męzkiéj siły.

Do błędu wnosiła cały żar wykolejonego serca. Kiedy myśl kazirodztwa przyszła jéj do głowy.... chciała zła, ale zła jakiego nikt się dotąd nie dopuścił, zła któreby wypełniło pustą jéj egzystencyą i rzuciło ją ostatecznie w piekło. Nazajutrz jednak już go nie chciała wskutek jakiegoś dziwnego znużenia i poczucia wyrzutów. Lecz następnie oddawszy się marzeniu o przyjemności bez nazwy, wzięła Maksyma w swe ramiona ciekawa jego samego, ciekawa okrutnych rozkoszy téj miłości, którą uważała za zbrodnię. Jéj wola zgodziła się na kazirodztwo, domagała się go, chciała się niém lubować do końca, aż do zgryzot gdyby kiedykolwiek przyszły. Była czynną świadomie. Kochała z uniesieniem kobiéty wielkiego świata, z niepokojącemi przesądami nieszczęść, ze wszystkiemi walkami, uciechami i wstrętami kobiéty, która się nurza w swojéj własnéj pogardzie.“ Więc ta pani miała tu znowu temperament? Kochała z żarem i uniesieniem, kochała ze strachem i radością. Wszystko więc kazało się w niéj domyślać kobiéty niezwykłéj w czynach i słowach, wszystko kazało się spodziewać akcyi silnéj lub dziwnéj, postępowania energicznego lub szalonego. Gdzież tam! Cała jéj akcya, cała energia zużywa się na jedną scenę w cieplarni, „gdzie kochankowie spędzili noc miłości szalonéj. Irena była mężczyzną—namiętną i działającą wolą: Maksym poddawał się.“ Po za tém nic! Kiedy mąż w najhaniebniejszy sposób zabiera jéj pieniądze przygotowane na ucieczkę z Maksymem, a garbata Luisa odbija jéj Maksyma samego, ona nie umie nawet krzyknąć krzykiem rozpaczy, boleścią rozdartego serca, przerażeniem mającéj ogarnąć ją próżni. „Pani go nie poślubisz—zawołała do Luizy.—To niepodobna! Wiesz przecie....“ I ukrywszy twarz w dłoniach uciekła, schroniła się w głębi cieplarni.

Przechodząc przez wszystkie stany duszy, przez zazdrość i upokorzenie, przez cios złapania na gorącym uczynku kazirodztwa i rozpacz stracenia kochanka, przez rózgi wstydu i szyderstwa Irena nie umie wznieść się do wyżyn prawdziwego uczucia, któreby się

wyraziło jakiémś charakterystycznêm słowem lub niezwykłym zwrotem myśli, jakąś niebanalną nutą w głosie lub czynem „kobiéty trudnéj do zanalizowania." A jednak była-to kobiéta, która, jak w melodramatach, myślała nawet o utruciu się w cieplarni na widok Maksyma rozmawiającego z garbatą Luizą. „Ukryła się nawpół za przeklętą rośliną Tanghin z Madagaskaru, o białawych łodygach i szerokich liściach, których najdrobniejsze żyłki pędziły zatrute mléko. I w chwili kiedy Luiza i Maksym zaśmieli się głośniéj śmiechem wesołych dzieci, Irena w bezładzie myśli, z suchemi i rozdrażnionemi wargami, wzięła w usta gałązkę Tanghinu, która się wznosiła do wysokości jéj zębów i ugryzła gorzki liść."

W psychologii wszystko jest możliwém, nawet gryzienie na seryo gorzkiego liścia Tanghinu. Aby jednak psychologia robiła wrażenie prawdy, potrzeba czegoś więcéj niż proste notowanie faktów; potrzeba wniosków autora, tak jak przy oskarżeniu zbrodniarza potrzeba wniosków prokuratora, któreby pojedyncze fakty uogólniły i nadały im ton. Zola zadawalnia się konstatowaniem faktu, mówiąc że „eksperymentator wniosków stawiać nie potrzebuje, ponieważ doświadczanie samo wnioskuje za niego." Ani słowa! I w oskarżeniu prokuratora także fakty powinny mówić za niego. Jeżeli jednak fakty są oderwane, sprzecznéj natury i w niczém lub mało tylko popierające jego sąd, oskarżenie chybia celu. Zola wstrzymawszy się od postawienia wniosków, pomimo obfitości faktów tak je przedstawia, że czytelnik z nich duszy ludzkiéj określić nie jest w stanie.

A przytém jak gdyby unikał scen drażliwych i prawdziwie dramatycznych, i kiedy w banalnych jest aż do znudzenia rozwlekłym, w zajmujących milczy. Niech robotnika porwą boleści żołądka lub wymioty, Zola faktu nie puści płazem i roztrząśnie z całém przeświadczeniem doniosłość kwestyi nietylko *pourquoi* ale i *comment de choses*. Jeżeli jednak mąż łapie żonę na gorącym uczynku cudzołóztwa i kazirodztwa nikt ani w chwili ani po fakcie pary z ust nie puszcza.

Namiętności nie mają u niego własnego języka. Miłość nie płonie zapałem, gniew nie parska złośliwą brzydotą, nienawiść nie gryzie, głupota nie oskarża się swą specyalną płaskością. Żaden wypadek nie jest w stanie tak zatargać nerwami jego osób, aby z ich piersi wykrzyk prawdziwego uczucia w jakimś niezwykłym słowie, w jakiémś dostał się barwniejszém wyrażeniu. Brodzą one częstokroć po smrodliwych trzęsawiskach cynizmu, ale nie wydostają się nigdy po za błędne koła powszedniéj szaréj myśli.

— Czy jesteś cierpiący — spytała Irena swego pasierba w zamkniętéj dorożce.

— Nie, ale mi zimno.

— Co?! Ja, przeciwnie, palę się. Okryj sobie kolana końcem moich spódnic.

— Oh! twoje spódnice— odpowiedział Maksym kwaśno — mam ich po same oczy.

I oto wszystko, co kochankowie powiedzieli sobie w drodze do gabinetu *Café-Riche*, wszystko co zdradza niepokój i wyraża ich pragnienie się wzajemne. A jednak musieli się pragnąć istotnie, skoro po kolacyjce nastąpiło to, co „według filozoficznéj uwagi Maksyma prędzéj czy później nastąpić musiało. Irena nic nie mówiła. Po chwili jednak przebudzona, wytrzeźwiona, z twarzą zestarzałą i poważną wyszeptała: „To haniebne cośmy zrobili."

I oto znowu wszystko. Zola odrazu przechodzi do opisu trotuarów, omnibusów, gazowych lamp, szyldów i całego tego materyalnego otoczenia w jakiém występek został popełnionym, porzucając występnych na stronie, jak gdyby stan ich dusz tak dobrze przed jak i po haniebnym czynie był czemś zwykłém, banalném, niegodném uwagi psychologa.

6. Jego znaczenie w literaturze francuskiéj.

Brak wszelkiego rodzaju błędów nie dowodzi jeszcze arcydzieła, tak samo jak większa lub mniejsza ich ilość nie zabija jeszcze piękna w sztuce, zwłaszcza jeżeli niedostatki tkwią w szczegółach podrzędnych i nie ciążą na najwydatniejszéj stronie pomysłu, który był artystycznym lub filozoficznym celem twórcy.

Rodzina *Rougon-Macquart'ów* w szczegółach nie jest dziełem jednolitém a tém mniéj jeszcze arcydziełem naukowego znaczenia; w całości jednak ma artystyczne i etyczne zalety takiéj doniosłości, jakiéj przykładów dzisiejsza literatura we Francyi nie przedstawia wcale albo tylko bardzo mało.

Przedewszystkiém Zola jest pisarzem nawskróś nowożytnym, który się interesuje wszystkim, co do postępu nauki i sztuki XIX w. w jakikolwiek bądź sposób się przyczyniło. Studyuje chemią, fizykę, botanikę, fizyologią, historyą, nauki społeczne i statystykę; walczy za swobodę myśli tak dobrze w badaniach naukowych jak i w artystycznych sądach i nawołuje świat cały do zerwania maski hipokryzyi ze swéj twarzy. Brzydząc się wszelkiego rodzaju dyletantyzmem, który tak mało licuje z poważnym nastrojem umysłu

XIX-go wieku, wypiera z twórczości artystycznéj powierzchowność i stanąwszy raz na twardym gruncie specyalnych nauk, każdą kwestyą życia ludzkiego roztrząsa ze ścisłością i powagą specyalisty. W całém jego dziele nie ma ani jednego miejsca, któreby miało na celu zabawienie czytelnika. Wszystko co mówi, nacechowane jest chęcią doszukania się lub wypowiedzenia prawdy, chęcią moralizowania i uczenia, nie zaś interesowania dowcipem i paradoksem, temi dwoma formami zdawkowéj monety umysłowéj, za którą literatura francuska zbyt łatwo kupuje sobie uwagę publiczności całego świata.

Ponieważ „dziełami wielkiemi i moralnemi są tylko dzieła prawdy,“ a prawdy tajemnicę może wydać artyście jedynie nauka, więc Zola śledzi wciąż za ostatniemi wynikami nauki i odrzuca ze sztuki wszystko to co do niéj należało z konwenansów, z tradycyi, z domysłu, z objawienia. Możnaby go oskarżyć o wszystko z wyjątkiem powierzchowności i zacofania, ponieważ zarówno rozmiłowany w sztuce dobrego pisania jak i w naukowych badaniach zmusił sztukę do podania ręki nauce, pokazując tym sposobem, że nawet przedmioty z natury swojéj suche lub wstrętne mogą i powinny być podawane szerszéj publiczności na pięknie rzeźbionych tacach artyzmu, i w „ich zjawiskowéj formie.“

A przytém w jego powieściach nietylko występują ludzie XIX wieku, ale nadto ludzie wzięci z właściwego otoczenia i postawieni na właściwym realnym gruncie.

Kiedy rozkoszny Daudet pisze *Jack'a*, w umyśle jego rodzi się pytanie: co przecierpieć musi dziecko, kiedy fatalizm jakiś porwie go ze szkoły, z pysznego salonu, z obficie zastawionéj jadalni i nagle rzuci do kuźni, pomiędzy ludzi nieokrzesanych, do szynku, w takie otoczenie, w jakiém wyjątkowe tylko natury mogą ocaleć, nie zepsuć się, nie zmarnieć? Kiedy Zola pisze *L'Assomoir*, w umyśle jego powstaje pytanie: jakim jest człowiek, który urodził się na barłogu; który dzieckiem jeszcze będąc, zamiast chodzić do szkoły pomagał ojcu pokrywać dachy; dla którego celem życia jest — nie umrzéć z głodu, a jedyną rozkoszą—upić się; który żyje i żyć musi tylko wśród ludzi tego samego pokroju co i on; który widzi całą przepaść pomiędzy nim a tymi, którzy z jego pracy się bogacą, który o własnych siłach do niczego dojść nie może a cudze są mu wrogie; który żyje w moralnym i materyalnym kale, ponieważ urządzenie społeczne w nim go trzyma i z niego mu wyjść nie pozwala; dla którego życie rodzinne jest niemożliwém ponieważ żony nie jest w stanie wyżywić, syna wykształcić, a córki uchronić przed prostytucyą, do jakiéj ją warunki życia popychają; który jest skazany

z góry przez swe urodzenie, otoczenie i wpływy na *delirium tremens* lub inną jaką, nie mniéj jednak interesującą, śmierć w szpitalu.

Kiedy Dumas mówi o swoich „potworach kobiecych z ziemi Nod“ że są bezwstydne, z pewnością niejedna panna czytająca jego dramaty i romanse odpowiada mu po cichu, że chciałaby choć przez chwilę być Małgorzatą i choć w setnéj części zażyć tyle rozkoszy życia co pierwsza lepsza z jego upadłych bohaterek *Pół-światka.* U Zoli ani cudzołóżna miłość Ireny w *La Curée*, ani jawna prostytucya Nany nie mają tyle uroku, tyle czaru zmysłowych rozkoszy, tyle przyjemności w używaniu, aby którakolwiek z jego czytelniczek chciała przejść przez piekło gorączki i niesmaku pierwszéj lub unurzać się w błocie drugiéj.

Po za Balzakiem, Flaubert'em i Wiktorem Hugo, który żyje na innéj planecie, jest-to jedyny pisarz, który wad i występków swojego społeczeństwa nie obwija w jedwabne słowa poezyi. Nie można powiedzieć aby nie miał być wcale poetycznym lub nie posiadał zmysłu piękna. Przeciwnie. Zola poetyzuje aż zanadto, aż do znużenia, ile razy do powieści wchodzi krajobraz na tle którego mają się rysować sylwetki ludzi, lub choćby tylko jakiś drobny szczegół martwéj natury. Tu występuje w nim na jaw prawdziwy temperament południowca, który za jaką bądź cenę potrzebuje wypowiedzieć się, wrażenie swoje uzewnętrznić. Opisy parku w *La Faute de l'Abbé Mouret*, słonecznych blasków w *Une Page d'Amour*, cieplarni w *La Curée*, wiejskiego sadu w *Nanie*, lub jarzyn w *Le Ventre de Paris*, olśniewają czytelnika orgią słów, z po za których doskonale widać kształt i barwę przedmiotów, jeżeli nawet nie czuć smaku i zapachu.

„Pod ostrą jasnością żyrandola, stół otoczony krzesłami, których czarne oparcia ze złotemi oblamkami oprawiały go w jednę czarną linią, był jakoby ołtarz, jak kaplica gorejąca w któréj na olśniewającéj białości obrusie gorzały jasne płomienie kryształów i zastawy srebrnéj. Przepyszny serwis z matowego srebra, o błyszczących nacięciach, zajmował środek; była-to banda faunów porywających nimfy. Na dwu końcach, stały wazony z kwiatami. Dwa kandelabry, zastosowane do grupy na środku, zrobione każdy z satyra biegnącego, unoszącego na jednéj ręce kobiétę wybuchającą śmiechem a trzymającego w drugiéj pochodnią o dziesięciu ramieniach, dorzucały blask świéc do promieniowania żyrandola. Pomiędzy temi głównemi sztukami szykowały się symetrycznie naczynia do ogrzewania potraw, wielkie i małe, zapełnione pierwszemi daniami, obrzucone muszlami zawierającemi *des hors-d'oeuvre*, poprzedzielane koszykami z porcelany, wazami kryształowemi, talerzami płyt-

kiemi i kompotyerkami z deserem, który już był na stole. Wzdłuż łańcucha talerzy, armia kieliszków, karafki z wodą i winem i małe solniczki: kryształ serwisu był cienki i lekki jak muślin, bez żadnych wyrżnięć i tak przezroczysty że nie rzucał najmniejszego cieniu. Wielkie sztuki wydawały się jak fontanny ognia; błyskawice przebiegały po gładkich bokach naczyń do ogrzewania; widelce, łyżki i noże z trzonkami z perłowéj macicy leżały jak sztaby płomienia; tęcze zapalały szklanki; a wpośród tego deszczu iskier, w téj masie gorejącéj, karafki z winem plamiły czerwoną barwą obrus rozpalony do białości.“

Inny przykład: „Olbrzymia miłość, potrzeba rozkoszy unosiła się w téj zamkniętéj nawie (cieplarni), gdzie gotowały się rozpalone soki podzwrotnikowéj strefy. Młoda kobiéta była porwaną potężnemi godami ziemi, które płodziły naokoło niéj tę zieleń czarną, te łodygi kolosalne; a warstwy ostre téj matki ognistéj, tén rozkwit lasu, ten stek roślinności palącéj się we wnętrznościach, obrzucały ją tchnieniami niespokojnemi i przeładowanemi upojeniem. U jéj stóp bassen, ta masa wody ciepłéj, zgęszczonéj sokami korzeni pływających, parowała, kładła na jéj ramionach płaszcz z ciężkich wyziewów, obłok grzejący jéj skórę jak dotknięcie wilgotnéj ręki rozkoszy. I więcéj niż ciepła duszność powietrza, więcéj niż blaski żywe, więcéj niż kwiaty szerokie, krzykliwe, podobne do twarzy śmiejących się lub wykrzywiających pomiędzy liśćmi, gnębiły ją zwłaszcza zapachy, owe podmuchy słodkie i mdłe aż do nudności, a poprzecinane podmuchami zaraźliwemi, cierpkiemi, przejętemi trucizną. Lecz w téj dziwnéj muzyce zapachów frazą melodyjną, która powracała ciągle, panując nad czułą nutą Wanilii i ostrym dźwiękiem Orchidei, był zapach ludzki, przenikający, zmysłowy, ten zapach miłości, który rankiem wymyka się z zamkniętego pokoju młodych małżonków.“

To prawie pędzel Jordaensa z którego na płótno cieknie lubieżność i odurzająca rozkosz używania. Z chwilą jednak kiedy na scenę wychodzi człowiek, w żyłach Zoli jakby krew stygła, w mózgu jakby robiło się czarno. Zmysłowy poeta rozkazuje nagle przestać grać swym nerwom i wdziewa na siebie togę prokuratora. Po jasnych barwach natury „widzianéj po przez temperament artysty“ następują ciemne sylwetki ludzi ulepionych z błota występku, zbrodni, cynizmu, samolubstwa i głupoty. Jeszcze w umyśle czytelnika nie zagasły gorejące płomienie srebra i kryształów na stole, a już po nad światłami jadalni unoszą się ponure duchy moralności ludzkiéj. „I jakże zapowiadają się przyszłe wybory?“ „Ależ bardzo dobrze—

odpowiedział prefekt;—nie ma tylko jeszcze kandydatów wskazanych na mój departament. Minister waha się podobno.“ „Papo! czy to prawda że Sylwia sprzedawała cygara w Marsylii w 1849 roku“... „Wiele mi mówiono o panu na prowincyi. Pańskie wielkie posiadłości przysparzają panu licznych przyjaciół, zwłaszcza że pańskie poświęcenie się dla cesarza znane jest wszystkim. Masz pan wszelkie szanse.“ „Mój ojciec znał ją szczególnie.“ „Poświęcenie się dla cesarza jest jedyną cnotą, jedynym patryotyzmem w tych czasach interesowanéj demokracyi. Ktokolwiek kocha cesarza, kocha Francyą: Pan zwyciężysz. Wielkie fortuny powinny się grupawać około tronu.“ Zaledwie jednak biesiadnicy wstali od stołu, prefekt „bardzo rozweselił tych panów opowiadając im na nowo owę historyą, o któréj mówił przy obiedzie, lecz tym razem uzupełniając ją szczegółami całkiem nagiemi. To była jego specyalność; miał zawsze dwie wersye anekdoty,—jednę dla dam, drugą dla mężczyzn.“

Lecz u Zoli występek cuchnie a nie pachnie; nagość, anatomicznie nie zaś poetycznie piękna, odraża a nie wzbudza zachcianek zmysłowych; słowa obrazują brzydotę rzeczy ale jéj nie upiększają; wady bolą ale nie bawią.

„Saccard często posyłał żonę do ministrów lub wysokich urzędników po odpowiedź, mówiąc jéj przytém *aby była grzeczną*! Kiedy Irena powracała załatwiwszy sprawę, zacierał sobie ręce powtarzając swoje sławne: „A czy byłaś aby grzeczną?“ Zresztą jeźli Irena „nie była grzeczną,“ byłby tylko zły, że istotnie zapłacił za uprzejmość ministra lub urzędnika. Oszukiwać bowiem ludzi, dając im mniéj niż warte były ich pieniądze, było dla niego prawdziwą uciechą. „Gdybym był kobiétą—mawiał często—sprzedawałbym się może, ale nigdybym nie oddał towaru: to za głupie.“

Czasami, choć to nie jest bynajmniéj znamienną cechą jego talentu, Zola bywa nawet złośliwy. „Ah! mój mężulek—wykrzyknęła Luiza do swego niepełnoletniego jeszcze narzeczonego. Proszę tu usiąść i powiedzieć mi, w jakim fotelu mógł zasnąć mój ojciec, sądząc pewnie że już jest w Izbie.“ Czasami, choć to jeszcze rzadziéj się przytrafia, bywa paradoksalny, jak w podziale społeczeństwa na „Tłustych“ i „Chudych“ w *Le Ventre de Paris*; prawdy jednak nie poświęca ani dla dowcipu, ani dla paradoksu, ani nawet dla téj łatwéj iście francuzkiéj werwy w pisaniu, która jedynie pozwoli czytelnikowi gładziéj przełykać jego pigułki z prawdomównéj maści.

Głębokie przekonanie że należy mówić i pisać prawdę za jaką bądź cenę, przy każdéj sposobności, zawsze śmiało i zawsze bezwzględnie, stanowi siłę i zaletę pisarza moralnego, który tylko dla

oczu i uszu jest skandalicznym i tylko o tyle o ile życie samo jest skandaliczném. Nie zapominajmy bowiem, że „dokumenty,“ jakiemi Zola się posługuje, są istotnie autentycznemi, wziętemi z natury, skopiowanemi żywcem. Cała trzecia stronnica p. t. *faite divers* w każdym paryzkim dzienniku jest albo skandalicznym materyałem albo skandaliczném usprawiedliwieniem literackich płodów Zoli; pisze on w formie artystycznéj to tylko, co społeczeństwo francuzkie w formie reporterskiéj kroniki czyta o sobie co dzień. I gdyby jego powieści z powodu traktowanych w nich przedmiotów były istotnie niemoralnemi, jak to prasa francuzka dowodzi, w takim razie należałoby wszystkie dzienniki francuzkie zamknąć i dla moralnego zdrowia społeczeństwa ich komplety za ostatnie dwadzieścia pięć lat na placach publicznych spalić.

Lecz Zola nie jest pisarzem niemoralnym, zwłaszcza jeżeli jego doktryny filozoficznéj ruszać nie będziemy. Jeżeli bowiem gdzie z po za obrazu przedmiotowych obserwacyj pokazuje się jego twarz, to z pewnością czytelnik domyśla się na niéj więcéj bruzd niezadowolenia, goryczy i gniewu aniżeli lekkich fałd śmiechu choćby nawet szyderczego. Stawia on aktorów demoralizacyi francuzkiéj pod pręgierzem opinii publicznéj bez litości, bez współczucia ale téż i bez żadnéj hipokryzyi. Jeżeli „*La Curée* w naturalnéj i socyalnéj historyi rodziny za drugiego Cesarstwa jest ową nutą złota i zmysłowości, w jakiéj autor chciał pokazać przedwczesne wyczerpanie się rasy. która żyła za prędko i doprowadziła do *l'homme-femme* społeczeństw zgniłych;“ jeżeli chciał pokazać „wściekłą spekulacyą epoki wcielającą się w temperamencie bez skrupułów i w awanturniczych skłonnościach, to nerwowe rozprzężenie kobiéty w któréj otoczenie zbytku i hańby powiększa jeszcze instynkta wrodzone,“ to mu to za zasługę raczéj niż za błąd lub wadę poczytać należy. Jeżeli „*L'Assomoir* jest dziełem prawdy i pierwszą powieścią o ludzie, która nie kłamie i którą czuć ludem,“ a nie kłamie z pewnością i czuć ją ludem, to Zola ma tę zasługę że pokazał społeczeństwu francuzkiemu, jak głęboko sięga jego demoralizacya i pod jakiemi się ona formami przejawia.

Dawno już przed nim literatura francuzka posiadała całe biblioteki powieści i romansów, komedyj i dramatów poświęconych wyłącznie cudzołóztwu, kazirodztwu, pederastyi, miłości lesbijskiéj nimfomanii, pijaństwu itd. Nikt jednak z błędów, wad, występków i zbrodni podminowywujących gmach społeczeństwa francuzkiego nie zrobił takiego użytku jak on. Kiedy inni czytelnika niemi bawili, on go przeraża i uczy.

Nana jest wspaniałym obrazem Francyi u stóp ordynarnéj nierządnicy, która, jak ta mucha zarażająca zgnilizną padliny zdrowy organizm, bezwiednym pyszczkiem przenosi to z dołu do góry co góra pierwéj już zaszczepiła na dole. W jéj łóżku widzimy koronowane głowy, arystokracyą pieniężną i rodową, kler, armią, przedstawicieli sztuki i literatury. *Nana* panuje wszędzie, *Nana* rządzi, *Nana* żeni i rozwodzi, *Nana* rozdaje zaszczyty i zbezczeszcza, *Nana* sypie złotem i rujnuje. Bez zaprzeczenia Dumas, ten innego rodzaju specyalista w kwestyi rozwiązłości społeczeństwa francuzkiego, z życia *Nany* zrobiłby coś bardziéj czarującego, coś w guście wszystkich. Zola nie zadawalnia się powierzchownością sądu a tem mniéj jeszcze interesującą błyskotliwością formy. Dla niego nierządnica nie jest kobiétą sprzedającą uśmiechy i rozkosz, ale rakiem toczącym przegniłe łono społeczeństwa. Jak prawdziwy specyalista więc zaszedł na samo dno kwestyi i ponieważ na dnie znalazł błoto i kał, więc téż społeczeństwu błoto i kał pokazał. Mniejsza o pruderyą czytelników, którzy nie lubią, aby im prawdę nazywano po imieniu! Zola w *Nanie* rozebrał kawałek po kawałku całą maszynę tego błędnego koła demoralizacyi, które nie ma ani początku ani końca: przegniłe społeczeństwo wytwarza *Nanę* a *Nana* wytwarza zgniliznę w społeczeństwie.

I ktokolwiekby pisał na seryo o życiu we Francyi, z konieczności musiałby pójść tą samą drogą co i Zola, gdyż tam istotnie dziś jeszcze nierządnica, pomimo wielkich zmian na lepsze, jeżeli nie wszechwładnie to przynajmniéj bardzo wyraźnie panuje. Gdzież więc jest błąd powieściopisarza jeżeli on takie powieści pisze, jakiem życiem Francya żyje? gdzież jest jego zły wpływ na społeczeństwo, jeżeli społeczeństwu demoralizacyą, jéj przyczyny i skutki, jéj smutną i obrzydliwą stronę pokazuje?

Filozofii Zoli brak sceptycyzmu, który go w rzeczach teoryi prowadzi do dogmatu, a w sztuce do zastępowania Flaubertoskiéj goryczy trywialnością. Psychologii jego brak głębokości, którą ocala obfitością „dokumentów autentycznych" i sumiennością w notowaniu najdrobniejszych manifestacyi życia człowieka. Artyzmowi jego brak wytwornéj szlachetności, któraby brylantowemi blaskami języka i zręczném układaniem obrazów zatarła niedostatki filozofa i psychologa. Pomimo to jednak dzieło jego ma taką swoję filozoficzną, psychologiczną i artystyczną wartość jak żadne inne, ponieważ część życia Francyi przedstawia w doskonale przedmiotowéj formie, z takiéj strony z jakiéj go nikt nie brał i w takim celu w jakim nikt jeszcze przed nim się nie odważył.

Rodzina Rougon-Macquartów jest pomnikiem z ciężkiego kamienia postawionym na grobie drugiego Cesarstwa, które zaszczepiwszy zgniliznę w łonie społeczeństwa francuzkiego wydało *La Curée* u góry a *L'Assomoir* i *Nanę* u dołu. Rzecz prosta więc, że tam gdzie nie ma cnót, cnotą już jest samo wskazywanie na występki. Zola nie tylko je wskazał, ale nadto czerwoném żelazem swego twardego języka przypalił, nie przypuszczając jednak aby hipokryzya krytyki zdołała wmówić w świat, że swąd ztąd powstały pochodzi od przypalającego żelaza nie zaś od przypalanéj rany.

Antoni Sygietyński.

POLSKIE OPRACOWANIE DZIEJÓW
LITERATURY POWSZECHNÉJ.

Dzieje literatury powszechnéj z ilustracyami. Tom I: Dzieje literatury starożytnéj, opracowane przez J. A. Swięcickiego, T. Krasnosielskiego, I. Radlińskiego, K. Kaszewskiego i F. Łagowskiego. Warszawa, nakład Lewentala, 1880 (właściwie 1882). 8-ka str. XIV i 870.

Gruntowna znajomość dziejów literatury jest u nas zjawiskiem bardzo rzadkiém: żadna bo téż gałęź umiejętności nie jest u nas zaniedbana tak dalece, jak właśnie historya literatury powszechnéj. Prac oryginalnych bez względu na ich wartość posiadamy niewiele, tłómaczonych podobnież naliczyć można zaledwie kilka. Z literaturą starożytną, a właściwiéj klasyczną, stoimy jeszcze stosunkowo najlepiéj: oryginalne prace Siemieńskiego, Węclewskiego i Szujskiego poznać ją dają jako tako. Za to całokształt dziejów literatury powszechnéj dotychczas, właściwie mówiąc, opracowany nie został. Jedyna nowsza praca oryginalna F. H. Lewestama, pomimo czterotomowéj objętości, już oddawna przestała cieszyć się uznaniem, a prace tłómaczone (Scherr) także nie są wolne od licznych i niemałych wad, które znacznie obniżają ich wartość i użyteczność. Zresztą niéma bodaj w żadnym języku historyi literatury powszechnéj, którąby we wszystkich swych częściach czyniła zadość wymaganiom naukowym i wytrzymywała krytykę. Przyczynę tego zjawiska wytłómaczyć łatwo, jeżeli tylko się zważy obszar i różnorodność materyału, z którym historyk literatury powszechnéj ma do czynienia.

To téż dziś, kiedy tylokrotne próby zdobyły tylko połowiczne rezultaty, nawet pomiędzy Niemcami coraz częściej okazują się prace, traktujące dzieje literatury pojedyńczych tylko okresów lub

też narodów. Podział pracy zaczyna i na tém polu zjednywać sobie uznanie.

Wobec takiego stanu rzeczy, zaradzić krzyczącym potrzebom naszym za pośrednictwem przekładu którejkolwiek historyi literatury powszechnéj *jednego* autora prawie niepodobna, bo nawet niema wielkiego wyboru. Zaradzić przecież potrzeba i pole odłogiem leżeć nie powinno, bo zaniedbanie z dniem każdym coraz dotkliwiéj ujawniać się będzie.

Redakcya „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiéj“ pierwsza bodaj zrozumiała doniosłość potrzeby, a zarazem i swój — że się tak wyrażę — moralny obowiązek wydawniczy. Wziąwszy sobie za zadanie: podawać w przekładach czytelnikom polskim to wszystko, co ludzkość na polu literackiém stworzyła celniejszego, *musiała* — jak mi się zdaje — zauważyć, że zadanie spełni tylko w połowie, jeżeli czytelnikom swoim podawać będzie same tylko przekłady, a nie oświetli ich należycie i nie umieści w organicznym związku na tle dziejowém. Że redakcya dobrze potrzebę tę oceniła, dowodzi tego nietylko to, że przystąpiła do wydania historyi literatury powszechnéj, któréj tom pierwszy pod powyższym tytułem świeżo wyszedł z pod prasy, ale i sama przedmowa zredagowana przez p. Chmielowskiego i umieszczona na czele dzieła. „Dzieła różnorodnych epok historycznych i różnorodnych narodów ukazują się w Bibliotece luźnie, bez żadnego organicznego związku; a jakkolwiek staramy sie téj niedogodności, wynikającéj z saméj natury wydawnictwa, zaradzić, podając krótsze lub dłuższe wiadomości o autorach, których utwory drukujemy; to przecież takie informacye nigdy nie będą mogły zastąpić systematycznego opowiadania o losach piśmiennictwa powszechnego. Do tego przyłącza się jeszcze wzgląd jeden: w Bibliotece umieszczać się musi nie wszystko to, co jest historycznie ważnném, ale przedewszystkiém to, co zarówno treścią jak i formą celuje. A przecież chcąc zrozumiéć i należycie ocenić pojawienie się arcydzieł, potrzeba znać to, co było niejako przygotowaniem do nich i jak wszelkie przygotowanie musiało w cień się zasunąć, skoro tylko wśród pewnego narodu i czasu wielki utwór zajaśniał.“

Oceniając w ten sposób potrzebę systematycznéj i gruntownéj historyi literatury powszechnéj, umiała Redakcya ocenić zarazem i trudności, jakie nastręczały się do zwalczenia i przystąpiła do spełnienia zamiaru z wielką starannością. Zamiast przetłómaczyć pierwszy lepszy podręcznik np. niemiecki, obejmujący całokształt dziejów literatury powszechnéj, wolała zdobyć się na pracę oryginalną. Nie miała to być przecież żadna kompilacya. „Łatwoby nam było —

pisze dalej p. Ch. — powierzyć jednemu literatowi ułożenie historyi literatury powszechnéj z licznych tego rodzaju książek w piśmiennictwie zagranicznem. Zyskałaby na tém bezwątpienia jednolitość stylu a może i poglądów, ale straciłaby natomiast zasadność i gruntowność wiadomości, jakieby czytelnikom podane zostały. Jeden człowiek, chociażby najrozumniejszy i najpracowitszy, nie może z jednaką pewnością siebie rozprawiać o wszystkich literaturach świata. My chcieliśmy podać wyniki badań najnowszych, pragnąc uczynić książkę naszę wiernym i pewnym odgłosem tego, co specyaliści europejscy na rozmaitych polach działalności swojéj odkryli; dlatego téż uprosiliśmy grono współpracowników, poświęcających się z zamiłowaniem wybranemu przez się przedmiotowi i obznajmionych ze wszystkiém, co w danym przedmiocie nauka europejska wyrzekła.“

Poświęcając jednak względy *literackie* przedsięwziętego dzieła dla względów *naukowych* i zostawiając współpracownikom swobodę sądów i grupowania materyału, Redakcya nie mogła zapomniéć o jedném zastrzeżeniu, wynikającém zresztą już z natury dzieła naukowego: wskazała współpracownikom te wyżyny, ku którym dążyć powinni, ażeby stanąć na poziomie dzisiejszéj nauki. Odrzucając utarty i pospolicie bezbarwny, a najczęściéj jednostronny sposób omawiania zabytków literackich ze strony biograficzno-bibliograficznéj i estetycznéj, pragnęła Redakcya dać czytelnikom istotną „historyą myśli i uczuć.“

„Każda książka — pisze p. Ch. — świadczy nam przedewszystkiém, że był ktoś, co ją napisał, tak jak muszla świadczy o mięczaku, który w niéj niegdyś mieszkał. Przypatrując się formatowi téj książki, papierowi i pismu lub drukowi; rozczytując się w jéj treści, idzie nam o poznanie i zbadanie tego człowieka, którego ona jest śladem. Po za słowami, które odczytujemy, staramy się domyśléć, jak ten człowiek wyglądał, jak żył, co mówił, co działał, co czuł i co myślał....“ „Takie przeniesienie się w duszę człowieka, odkrycie zatajonych sprężyn jéj działania uzdolnić może do utworzenia historyi najprzód jednostek, a potém narodów, które z tych jednostek się składają, wreszcie ludzkości całéj.“

Określając bliżéj, jak tę historyą myśli i uczuć rozumiéć należy, Redakcya wyraźnie wskazała i historyozoficzne stanowisko, z którego materyał literacki traktowanym miéć pragnie. Jest-to historyozofia Taine'a, jak ją znakomity ten uczony wyłożył we wstępie do swéj *Historyi literatury angielskiéj*. „Wszystkie myśli i uczucia ludzkie—pisze w duchu téj historyozofii p. Ch.— pomimo niezliczonéj cyfry swoich odmian i kombinacyj, mają za podstawę kilka ogólnych

sposobów myślenia i czucia, wynikają z pewnego ustroju umysłowego, mającego odmian bardzo niewiele. Te usposobienia wrodzone, te skłonności do takiego lub innego sposobu pojmowania rzeczy, są to przyczyny powszechne i trwałe, obecne w każdéj chwili i w każdym wypadku, zawsze i wszędzie działające, niezniszczalne i koniec końców niepodzielnie panujące, gdyż wszystkie okoliczności, które im na przekór stają, będąc ograniczone i cząstkowe, muszą wreszcie uledz nieustannemu ich oddziaływaniu. Tym sposobem ogólny ustrój społeczeństw i główne rysy wypadków są ich dziełem; a religia, filozofia, poezya, przemysł, formy rodzinne i polityczne są ostatecznie wynikami ich twórczego wpływu.

Rozwinąwszy następnie główne zasady historyozofii Taine'a i zaznaczywszy doniosłość tych czynników (rasy, otoczenia, chwili dziejowéj), które „działają na cały ustrój społeczny, a zatém i na wszystkie jego czynności," Redakcya uznaje to stanowisko za konieczne i jedynie naukowe. „Zarówno rodzina jak państwo, zarówno religia jak filozofia, zarówno gospodarstwo jak przemysł, zarówno literatura jak sztuka ulegają im i przetwarzają się stosownie do tego, jaki czynnik w danéj chwili jest najsilniejszy. Nic tu niema luźnego i przypadkowego, wszystko się łączy z sobą najściśléj; stąd kto chce poznać którykolwiek z oddziałów ustroju społecznego i jego funkcyj, musi zbadać i wskazać rodzaj, wpływ i działanie owych czynników, wówczas wyjaśni się nam życie narodu, wówczas poznamy go naprawdę i przebywać z nim będziemy jak z naszym znajomym, z którym się codziennie stosunkujemy."

Nie bez rozmysłu zatrzymałem się nieco dłużéj nad uwydatnieniem historyozoficznego stanowiska Redakcyi. Jakkolwiek bowiem historyozofia Taine'a nie pozyskała dotychczas i zapewne nigdy w zupełności nie pozyska powszechnego uznania, sprowadza ona jednak historyą literatury na szersze i głębsze tory, dotykalny wywołuje w niéj przewrót i znacznie posuwa naprzód. Odrzucając wiele niepotrzebnego balastu i bezcelowéj frazeologii, na co wciąż jeszcze, szczególniéj u nas słabują prace nad literaturą, jest ona do pewnego stopnia sumarycznym wyrazem tych usiłowań, które spotykamy i u Sismondiego i u Sainte-Beuve'a i u Rosenkranza i u Gerwinusa, u wszystkich wogóle poważniejszych badaczów literatury, ażeby ciasne szranki powierzchownego traktowania przełamać i przynajmniéj niektóre żywotne tętna życia narodowego uchwycić.

Stanowisko więc Taine'a, przyjęte przez Redakcyą i wskazane przez nią współpracownikom, zasługuje ze wszech miar na uznanie nietylko dlatego, że świadczy o dobrych jéj chęciach i poważném rozumieniu nauki, ale i dla tego, że zobowiązuje poniekąd współpra-

cowników do uwzględnienia w historyi literatury wielu nowych żywiołów, do rozszerzenia ram obrazu dziejowego.

Zobowiązanie to jednak tylko o tyle może wydać konkretne rezultaty, o ile sami współpracownicy stanowisko Redakcyi podzielają i materyał literacki w duchu owego stanowiska wyzyskać potrafią. Jest-to bowiem zadanie wcale niełatwe i wywiązać się z niego w zupełności, we wszystkich częściach mógłby chyba sam Taine, a nie tak łatwo o Taine'ów, to jest o ludzi, którzyby posiadali odpowiednie zdolności. Nie dosyć bo tutaj gruntownego obznajmienia się z materyałem literackim, potrzeba jeszcze posiadać dar rozległéj i bystréj intuicyi, ażeby obecność przeróżnych czynników dostrzedz i doniosłość ich wpływu odważyć, a prócz tego umieć to wszystko czytelnikowi wyraźnie przedstawić. Zadanie, powtarzam, niełatwe, ośmielę się nawet twierdzić, że i sam Taine, który ostatecznie tak wysokie zadanie historyi literatury sformułował w teoryi, w praktyce niezawsze umie się utrzymać na téj wysokości. — Tém trudniéj osiągnąć je u nas. Czy to skutkiem tego, że mało stosunkowo pracujemy nad dziejami literatury i nie wyrabiamy w sobie dostatecznéj samodzielności, czy téż poprostu dla tego, że nałogowo hołdujemy utartym sposobom pisania, a najprędzéj skutkiem obojga, trudno nam zdobyć się na coś takiego, coby nie przypominało rzeczy dawno znanych.

Taka pesymistyczna uwaga nasunie się każdemu po przeczytaniu pierwszego tomu *Dziejów literatury powszechnéj*.

I.

Pomińmy chwilowo różnice indywidualne współpracowników i oceńmy ich prace ogólnie, jako całość. Odrazu dostrzedz można, że pomiędzy tém, co obiecała Redakcya i tém, co napisali współpracownicy, zachodzi mniejsza lub większa różnica. Z wyjątkiem prac p. Radlińskiego, wszędzie naprzykład, widoczna jest większa lub mniejsza przewaga krytyki estetycznéj takiéj, jaka się zwykle praktykuje w historyach literatury. Na tym koniku, wytresowanym jeszcze przez Bouterweka, z przyjemnością lawiruje śród pomników literackich i p. Święcicki i p. Kaszewski i p. Łagowski, dosiada go niekiedy i p. Krasnosielski. Stawiając ten zarzut współpracownikom *Dziejów literatury starożytnéj*, niemam zgoła zamiaru poddawać w wątpliwość trafności ich sądów. To sprawa zupełnie inna. Jak obecnie chodzi mi głównie o to, że krytyka artystyczna w historyi literatury powinna być stosowana zupełnie inaczéj, niż przy ocenie

utworów poetyckich współczesnych. Wprawdzie istnieje zasada, pewnik krytyki literackiéj, że nie należy mierzyć utworów dawniejszych skalą pojęć i wymagań dzisiejszych; lecz w praktyce zastosować się do téj przestrogi w zupełności niełatwo, albowiem w gruncie rzeczy wszystkie braki i zalety, wytknięte utworom literackim, nie wykażą w rezultacie nic innego, jak tylko to, że ten lub ów utwór o tyle lub o tyle zbliża się do ideału, jaki sobie krytyk o pewnym rodzaju poezyi utworzył. Zawsze więc, tak czy owak, krytyk-estetyk oświetli materyał literacki z własnego punktu widzenia i osiągnie najwyżéj ten skutek, że jego historya literatury będzie chronologicznem uszeregowaniem utworów poetyckich, posiadających to większą, to znów mniejszą wartość artystyczną; będzie termometrem lub wreszcie linią graficzną, któréj załamania i zgięcia wyobrażą nam wiernie wielką ruchliwość i niestałość poziomu uzdolnienia estetycznego. Krytyka artystyczna w historyi literatury powinna—jak mi się zdaje—charakteryzować i tłómaczyć objawy poczucia estetycznego bez względu na ich stosunek do pewnych teoretycznych zasad, które uznaje sam krytyk czy historyk. Każdy utwór literacki w traktowaniu historycznem powinien być uważany za objaw poczucia estetycznego tak dobrze, jak i za objaw wielu innych czynników, które się złożyły na jego powstanie. Przeprowadzona w ten sposób krytyka artystyczna najzupełniéj odpowie zadaniu historyi literatury, bo odsłoni przed nami jednę ze stron tego, co nazywamy życiem narodu, lub — jak chcą inni—ducha narodowego.

Otóż krytyka literacka pp. współpracowników strony téj nie uwzględnia, tak jak nie uwzględniają jéj zwykle historycy literatury, skądinąd nawet bardzo poważni, i to właśnie sprawia, że prace ich wywierają na czytelniku wrażenie rzeczy znanych i otrzaskanych, ilekroć mowa o stronie artystycznéj. Są to bowiem sądy i orzeczenia powszechnie spotykane, jednakie, bez względu na czas i miejsce, a im większą krytyk-estetyk rozwinie tu skrupulatność, tém prędzéj osiągnie ten cel, że czytelnik, idący za jego przewodem, pomimo najlepszych chęci, nie dostrzeże różnic zasadniczych pomiędzy utworem muzy dzisiejszéj i dawniejszéj; wszędzie bowiem spotka się z peryodycznie powtarzanemi zarzutami i pochwałami i wciąż będzie się obracał jak w zaczarowaném kole.

Sądy takie w historyi literatury niewiele nauczą. Jakoż weźmy dla przykładu pierwszą lepszą ocenę i postarajmy się wyrozumieć, jakie ona może mieć znaczenie dla historyi literatury. P. Święcicki, mówiąc o pieśniach Szykingu, wyraża się między innemi, że „styl ich jest prosty, silny i do serca mówiący“ (str. 18). Jakież to orze-

czenie rzuca światło na dzieje literatury chińskiéj? Odpowiem, że żadnego; nie wtajemnicza ona czytelnika wcale we właściwości myśli ani charakteru narodowego, trudno nawet zrozumieć, dlaczego autor uznał za potrzebne właściwości tego stylu zaznaczyć, skoro w tylu innych razach strony téj nie dotknął, a podniósł natomiast inne zalety lub wady. Jeżeli powiastka rymowana *Arkusz papieru* „grzeszy gadulstwem i przesadą, chociaż nie zbywa jéj „na epizodach istotnie poetycznych" (str. 44), to sąd ten autora może mieć wielkie nawet znaczenie dla ciekawych, jako wskazówka, co w literaturze chińskiéj warte jest czytania lub nie — ale w historyi literatury wtedy dopiero mógłby coś znaczyć, gdyby autor wykazał, o ile zaznaczone przezeń właściwości znamionują czy pewien stały lub téż czasowy nastrój smaku artystycznego chińczyków, czy téż wyraz indywidualnego uzdolnienia poety; gdyby następnie wykazał, jakie czynniki złożyły się na ich wytworzenie. Bez tego wszystkiego podobne sądy artystyczne pozostaną tylko ogarnirowaniem tytułów, tak samo jak np. sąd p. Łagowskiego o *Ziemiaństwie* Wirgiliusza: „Doskonałość stylowa, miłość przedmiotu, piękne a tchnące prawdą obrazy natury i imaginacya, umiejąca ożywić przedmioty martwe, uosobić niemal zwierzęta, gorące uczucie patryotyczne słodzą ten zbiór suchych prawideł" (803). Wszystkie te gołosłowne epitety, zdawałoby się, zostały tu przytoczone tylko dlatego, żeby usprawiedliwić, na zasadzie jakich kwalifikacyj Ziemiaństwo ma prawo polecić się pamięci i uwadze potomnych: znajdą tu oni to i owo, będą się upajali doskonałością stylu (notabene jeżeli umieją po łacinie), zachwycali pięknością obrazów i zbudują się ciepłém uczucia patryotycznego. Lecz czy na tém już koniec? Pomimo téj informacyi artystycznéj, pomimo wiadomości, że epigramaty Marcyalisa „przedstawiają skończoną całość, artystycznie zbudowaną," że „tryska z nich nader często bystrość spostrzeżeń, oryginalność pomysłów, prawdziwy dowcip" (str. 858), czytelnik historyi literatury rzymskiéj nie pozna, i co zatém idzie nie „rozświetli" sobie, „oświaty i kultury" narodu rzymskiego. Bo i jakież światło rzucić mogą na dzieje narodu owe zalety i wady Ziemiaństwa lub epigramatów Marcyalisa, skoro p. Ł. natury i kierunku imaginacyi Wirgiliusza nie określił, jéj stosunku do usposobienia narodowego nie oznaczył, ani owych obrazów dla charakterystyki poczucia estetycznego u Rzymian nie wyzyskał? jeżeli ów dowcip Marcyalisa, jego bystrość spostrzeżeń i oryginalność pomysłów figurują w pracy pana Ł. jako sucha notatka artystyczna, kiedy w historyi literatury mogło to wszystko mieć i doniosłe znaczenie, ale przedstawione genetycznie, na tle nietylko ówczesnych stosunków moralnych ale i umysłowych?

I dzieje literatury greckiéj wyszły z pod pióra p. Kaszewskiego nie wolne od tego zarzutu, zwyczajem uświęconéj jednostronności, z tą jednak ważną różnicą, że wszystkie sądy i oceny artystyczne autor przeprowadza konsekwentnie według jednéj skali, odważa je równomiernie i wplata organiczniéj w wątek opowiadania. Osięga w ten sposób przynajmniéj to, że daje rzeczywiście pewien obraz rozwoju kunsztu poetyckiego w Grecyi. Rzecz jednak godna uwagi, że i pan K., chociaż tak konsekwentnie i drobiazgowo stosuje w swéj pracy krytykę artystyczną, rozprasza się na szczegóły, ginie w nich i nigdzie przez to nie zdobywa się na charakterystykę artystyczną ogólniejszéj natury. Wina to, powiem, téj właśnie metody krytyczno·literackiéj, za któréj przewodem idąc p. Ł. zapomniał zupełnie o scharakteryzowaniu np. komedyi rzymskiéj, a p. K. pominął charakterystykę smaku klasycznego, co—jak mi się zdaje—należało już koniecznie uczynić: sformułować wyraźnie i wszechstronnie. Kilka znanych ogólników, tu i owdzie przy zręczności rzuconych, na to nie wystarcza, zwłaszcza bez wyraźnéj demonstracyi. Ani wątpić, ze pan K., tak gruntowny znawca literatury klasycznéj i zarazem wytrawny krytyk, mógł ją nakreślić piękniéj, niż nie jeden pedantyczny filolog—klasyk; a ponieważ literatura rzymska była pod tym względem mniéj lub więcéj naśladownictwem greckiéj, do niego więc przed innemi rzecz ta z urzędu niejako należała.

Natomiast prace p. Radlińskiego grzeszą drugą jednostronnością, to jest prawie zupełném pominięciem strony estetycznéj. Wprawdzie nie zawsze miał autor do czynienia z materyałem pod tym względem wyraźnym: z wyjątkiem literatury hebrajskiéj, która wdzięczniejsze dla krytyki estetycznéj nastręcza pole, wszędzie miał p. R. do czynienia z drobnémi przeważnie fragmentami: Sądzę jednak, że zarówno z ułamkowych zabytków piśmiennictwa egipskiego, jak i asyryjsko-babilońskiego lub staro-perskiego pewne iskierki wykrzesaćby się dały, zwłaszcza przy pomocy zabytków sztuki, o które panu R. często wypada potrącać. A jednak śmiało twierdzić można, że niema ludu, tém bardziéj chyba ludu na pewnym stopniu rozwoju stojącego, któryby nie posiadał pewnego indywidualnego, właściwego sobie poczucia estetycznego. A to poczucie zarówno u Rzymian i Greków, jak u narodów semickich lub Zendów stanowi jeden ze składowych pierwiastków życia duchowego, jako taki powinien być uwzględniony, narówni z innémi, jeżeli obraz dziejowy myśli i uczuć narodowych ma być zupełny; powinien być genetycznie zbadany i wyjaśniony we wszystkich swych kierunkach i przeobrażeniach, jeżeli obraz dziejów literatury ma się zbliżyć do wyżyn historyozofii Tainowskiéj.

Zarzuci kto może, że są to wymagania zbyt wielkie, że chcąc im zadość uczynić, bardzo łatwo zejść można na manowce. Pośpieszam uprzedzić, że zgadzam się na to najzupełniéj i to, com dotychczas o *Dziejach literatury starożytnéj* powiedział, uważam w ogólności nie tyle jako bezwarunkowy zarzut, ile raczéj jako dowód, że pomiędzy tym ideałem, jaki dla historyi literatury nakreśliła Redakcya, i tém, co współpracownicy napisali wielka zachodzi różnica, nie łagodzę tylko zarzutu co do tych komunałów krytyki literackiéj, których kilka dla przykładu przytoczyłem. Powiem nawet, że inaczéj być nie mogło, przynajmniéj w większości. Najprędzéj możnaby czegoś podobnego wymagać od historyi literatury narodów klasycznych: materyał tu bowiem bodaj czy nie wszechstronnie został już zbadany i wyświetlony, i tylko czeka na to, żeby go w duchu nowszéj historyozofii zużytkować. I tu jednak zachodzą okoliczności łagodzące; rozświetlono materyał, lecz nikt go bodaj dotychczas nie przetrawił w duchu téj lub innéj teoryi historyozoficznéj, a zwłaszcza tak subtelnéj jak Taine'a. Z drugiéj znowu strony metoda francuskiego historyozofa zbyt mało się rozpowszechniła, nie wyrobiła się w rutynę i na wprawnych zwolenników nietylko u nas, ale i za granicą liczyć nie może. A metoda ta jeżeli się nie mylę jest nieodłączną od historyozofii Taine'a; wymaga ona przedewszystkiém zupełnie odmiennego grupowania materyału, uwzględniania innych nieraz szczegółów, aniżeli to dotychczas bywało.

Wszystko to są trudności, jak obecnie, może nie do przezwyciężenia nawet dla tych, którzy bezwarunkowo hołdują zasadom Taine'a. To téż i Redakcya, dobrze oceniając te trudności, wyłożywszy zasady, według których *pragnęłaby* mieć opracowane *Dzieje literatury powszechnéj*, pośpiesza uprzedzić czytelników, że wykonanie od tego ideału różnić się *musi*. „Nie łudzimy się bynajmniéj nadzieją—pisze ażebyśmy ten ideał historyografii doścignąć mogli, jest on bardzo wzniosły i nader trudny do urzeczywistnienia; ażeby dojść do niego, potrzeba zawładnąć całym materyałem literackim, potrzeba zżyć się z duchem tych narodów, których piśmiennictwo przedstawiać mamy, ich wyobrażeniami myśléć, ich uczucia odczuwać, ich postępki rozumieć, a do tego wznieść się jeszcze na tę wyżynę, z któréj można ogarnąć ogół ich umysłowego rozwoju i skupić wszystkie rozproszone w pojedyńczych szczegółach rysy, ażeby przedstawić *całość*, nie zaś ułamek ich ducha.“ Lecz dla czegóż Redakcya przekonana, że ideał ten osiągnąć się nie da, postawiła tak wysokie wymagania? Bądź co bądź—odpowiada na to—warto jednak ideał ten mieć przed oczyma, ażeby wszystkiemi siłami starać się o zbliżenie do krain,

do których nas prowadzi. Następcy nasi poprowadzą dzieło daléj, coraz raźniéj ku doskonałości szybując."

Cel wypowiedziany wyraźnie: chodzi o to, żeby napisać nietylko jakąś historyą literatury, ale historyą literatury lepszą, to jest bardziéj naukową od tych, które posiadamy. A czy kto pisze się na zasady Taine'a, czy téż je odrzuca, nikt chyba nie odmówi im téj zasługi, że sprowadzają one badania historyczno-literackie na grunt poważniejszy i wymagają traktowania głębszego. Nikt również nie zaprzeczy, że gruntownéj, naukowéj historyi literatury powszechnéj nie mamy.

Lecz czy współpracownicy *Dziejów literatury starożytnéj* ideał Redakcyi mieli przed oczyma?

W większym lub mniejszym stopniu uwzględniali go wszyscy lubo nie wszyscy zdali sobie dokładną sprawę z tego, jak należy materyał literacki traktować i jak go zużytkować, ażeby historyi literatury nadać poważniejszy wyraz. W tém właśnie położeniu znalazł się p. Łagowski.

Poznać to łatwo już po téj zmienności skali estetycznéj, którą do zabytków literackich przykłada, po owéj nierównomierności, z jaką materyał estetyczny wyzyskuje. Niekiedy, jak np. przy ocenie Plauta, Horacyusza, wdaje się dość szczegółowo w analizę utworów, lubo nie dochodzi do rezultatów zbyt głębokich; gdzieindziéj, jak np. mówiąc o Salustyuszu, Owidyuszu itd., poprzestaje na przytoczeniu kilku wyjątków z ich utworów, nie objaśniając nawet czytelnika, w jakim celu zwraca jego uwagę na to, że np. Salustyusz „w rozdziale XCV tak opisuje Sullę" (następuje cytata str. 792), lub że Horacyusz „w odzie *Do Rzymian* tak przemawia" (cytata, str. 822). Bywa jednak niekiedy i gorzéj, a mianowicie tam, gdzie pan Ł., jakby dla rozmaitości zbywa niektórych pisarzów krótkim ogólnikiem, nie zawsze nawet mającym choćby daleki związek z literaturą. Można jeszcze np. zrozumiéć, dla czego w jego pracy figurują: „*Valerius Flaccus*, autor rozwlekłego, pozbawionego wszelkiéj oryginalności poematu epicznego „Argonautica;" podobny mu pod względem talentu *Silius Italicus*, autor poematu „Punica," treścią którego wypadki drugiéj wojny punickiéj, jak również autor Tebaidy i Achileidy, „*Statius*. Improwizacye drobne tego ostatniego, zebrane pod tytułem „Silvae" oddychają pewną świeżością i oryginalnością pomysłów" (str. 858); można, powtarzam, zrozumiéć, bo tego rodzaju gołosłowne ogólniki tułają się oddawna w historyach literatury; nikt jednak nie zrozumie, jakie ma prawo figurować w historyi literatury rzymskiéj Fronto, o którym p. Ł. wyraża się w ten sposób: „Około roku 100—175 po Chr. żył wielbiciel starożytnéj literatury rzymskiéj, nau-

czyciel Marka Aureliusza, odznaczający się wielką zacnością charakteru, *Marcus Cornelius Fronto.* Pozostały po nim listy, pisane do Marka Aureliusza jako następcy tronu, a potém cesarza" (str. 866).

Większa jeszcze uderzy czytelnika nierównomierność w opracowaniu innych stron literatury rzymskiéj. Dziejopisarstwo i filozofia zostały uwzględnione niegorzéj od poezyi, ale za to reszta zaledwie kronikarskiéj doczekała się wzmianki. Stąd liczne i rażące braki.

Do najważniejszych zaliczam pominięcie stanu nauk i oświaty w Rzymie. Wprawdzie p. Ł. w kilku miejscach coś o tém wspomina, ale tak ogólnikowo i tak pobieżnie, iż żadnego stąd wyobrażenia o poziomie umysłowego wykształcenia Rzymian powziąć niepodobna. A wszakże materyału do tego nie braknie, między innémi znajduje się on obficie choćby w pismach Warrona i Pliniusza starszego. O pierwszym mówi pan Ł. dosyć szeroko, lecz poprzestaje na powierzchownym konspekcie prac jego; o *Historyi naturalnéj* Pliniusza owéj encyklopedyi wiedzy starożytnych, jak ją trafnie nazywają niektórzy, pan Ł. nie miał nic więcéj do powiedzenia nadto, że „objęła wszystko to, co świat starożytny zdobył na polu badań przyrody, geografii, medycyny i sztuki. Wobec takiego znaczenia tego dzieła nikną usterki stylu, podziału, powtarzań się lub sprzeczności" (856). Podobnież i nieco daléj, zamykając historyą literatury rzymskiéj, pan Ł. cały dział prac naukowych zbywa ryczałtowym ogólnikiem, że „ostatnia ta epoka liczy znaczny poczet piszących prozą o gramatyce, retoryce, gospodarstwie, wojskowości i medycynie" (str. 869). Zapomina przynajmniéj ostrzedz czytelnika, że ta retoryka zabsorbowała w końcu wszystkie niemal siły umysłowe Rzymian, że stała się główną wyobrazicielką smaku i wyrazem światowego, encyklopedycznego wykształcenia Rzymian. Troskliwy gdzieindziéj o przytaczanie nazwisk i tytułów, pominął milczeniem imiona i prace późniejszych gramatyków i retorów (np. Donata Pryscyana), którzy przez długie wieki byli dla Europy wyroczniami stylu. Szczególniéj ucierpiała na téj nierównomierności literatura prawna, którą, jak wiadomo, Rzymianie z wyjątkowém uprawiali namaszczeniem i która na ich charaktery i na ich kulturę rzuca światło bardzo obfite. Pan Ł. zbywa to wszystko suchemi kronikarskiemi wzmiankami jak np. „prawodawstwo (zapewne prawoznawstwo) ostanich czasów wydało znakomitych przedstawicieli w osobach Papiniana, Ulpiana i Pawła" (str. 869).

A jednak wszystko to leżało w zakresie dziejów literatury rzymskiéj nawet w rozumieniu p. Łagowskiego. „Wielkie znaczenie literatury rzymskiéj—uprzedza autor czytelnika zaraz na początku (str.

729)—polega na tém, że ona rozświetla oświatę i kulturę narodu, który bardzo ważną odegrał rolę w dziejach powszechnych; oraz że głównie przez nią zdobycze umysłowe świata klasycznego wcielone zostały w organizm cywilizacyi narodów nowożytnych." Założenie—przyznać trzeba—szerokie i poważne, ale wykonanie pod każdym względem chybione. Już to, co dotychczas o pracy pana Ł. powiedziałem, wystarcza na usprawiedliwienie tego surowego zarzutu.

Nie pomylę się chyba, jeżeli powiem, że główną przyczyną owego braku równowagi i konsekwencyi, owéj powierzchowności w traktowaniu materyału chociażby tylko ze strony estetycznéj, było to, że autor zbyt mało chciał polegać na własném zdaniu. Poznać to łatwo po téj troskliwości, z jaką, gdzie tylko może, wyręcza się wyrokami Mommsenów, Teufflów, Muncków, Nisardów, Szujskich itd.

Z drugiéj jednak strony nie chce się wyrzec zupełnie swego indywidualizmu i oddać się pod przewodnictwo téj lub owéj powagi, i łącząc jedno z drugiem, wpada w dziwny chaos sprzeczności. Pan Ł. ma bowiem własne, zupełnie odrębne zapatrywanie się na literaturę i jéj znaczenie. Jest to zapatrywanie się moralizatora pedagoga; to téż autor wymaga od wszystkich, żeby wpływali na umoralnienie społeczeństwa, lub téż strofuje tych, którzy nie oddali się temu posłannictwu. Cyceron, według niego, należy do największych pisarzów rzymskich. Dla czego? „Można mu zarzucać—pisze on (str. 780)—że jako mąż stanu nie zdołał objąć założenia społecznego, że nie miał dosyć siły do przeprowadzenia planów; można mu zarzucać, że nie stworzył oryginalnego systematu filozoficznego, ale z lekceważeniem nie wolno o nim wyrażać się nigdy, ani téż jego słabostek podnosić do znaczenia któreby ujmę jego charakterowi przynosiło. Jeżeli za przeprowadzenie przez niego sprawy z Katyliną lub za wystąpienie przeciw prawu rolnemu trybuna Serwiusza Rulla, nie zasłużył jeszcze na tytuł „ojca ojczyzny," to należy mu się ten tytuł chyba wtedy, gdy do tych czynów dodamy jeszcze jego zasługę jako *pedagoga* swego narodu. Wobec tego wszystkiego, wobec jego miłości do kraju, rodziny, wobec jego *czystości moralnéj* wśród powszechnéj demoralizacyi, jakże błahemi wydają się zarzuty o jego chełpliwości." Można zapewne różnić się w sądach o Cyceronie, można nawet polemizować; nie zdaje mi się przecież, aby motywy przez autora przytoczone, popierały w czemkolwiek jego zdanie o ile się to odnosi do literackiego stanowiska Cycerona. Zrozumiemy jednak, dla czego wzgląd moralności w oczach p. Ł. tak stanowczo rozstrzyga o wartości i stanowisku pisarza, jeżeli powyższą cytatę uzupełnię innemi. Tak np. o Katulu powiada autor (str. 768), że li-

ryka jego „nie przyłożyła się chyba wiele do udoskonalenia moralnego współobywateli;“ podobnież Tybul „do udoskonalenia duchowego niewiele chyba przyczynił się swojemi miłośnemi elegiami“ (str. 828), gdy tymczasem nieco daléj (str. 837) pan Ł. przyznaje, że „działalność Wergilego była nader pożyteczną: krzepił patryotyzm, rycerskiego ducha, budził zamiłowanie do pracy, słowem uszlachetniał. Nawoływanie do umiarkowania żądz przez Horacego, oraz jego satyry, jakkolwiek niższym jest jego nastrój niż Wergilego, również do korzystnych wpływów zaliczyć wypada.“ Tak więc p. Ł. jest tego przekonania, że poezya jest w stanie moralność z upadku podźwignąć. Że literatura w ogólności, a więc i poezya może wpływ pewien na społeczeństwo wywierać, temu nikt chyba przeczyć nie będzie; trzeba tylko, żeby warunki były sprzyjające, żeby społeczeństwo do poddania się temu wpływowi było usposobione. Ale też wówczas i poezya, cała nawet literatura nastroi się do usposobienia ogólnego, zastosuje się do otaczającéj atmosfery, stanie się—że tak powiem—zachęcającym akompaniamentem w chórze wielu innych czynników, które wytkną na czas jakiś pewien kierunek życia społeczeństwu. Pogląd pana Ł. jest tedy zupełnie błędny i powierzchowny; wychodząc z takiéj zasady, zamiast szukać w literaturze *objawów* życia, szuka w niéj *przewodników* życia i dziwi się, że moralność w Rzymie, pomimo korzystnych wpływów Wergiliusza i Cycerona wciąż upada, zapomina o tém, że literatura—ogólnie mówiąc—nie wyprzedza społeczeństwa, lecz je odzwierciadla.

Zapatrując się na literaturę w ten sposób, jak autor historyi literatury rzymskiéj, trudno jakiekolwiek osiągnąć rezultaty poważne nawet z Tainowską receptą w ręku.

W mniejszym lub większym stopniu szczęśliwiéj od p. Łagowskiego wyszli z trudności inni współpracownicy *Dziejów literatury starożytnéj*, niewątpliwie dla tego, że nie zapatrywali się błędnie na przedmiot i zadanie swéj pracy, a jeżeli niektórzy, jak np. p. Święcicki, wpadają niekiedy w gołosłowną frazeologią estetyczną, nie stanowi to jednak tła panującego i nie przeszkadza przynajmniéj uzbieraniu pozytywnego materyału, a nawet uwzględnieniu pewnych nowszych wymagań naukowych.

Na uwzględnienie to, zresztą nie u wszystkich współpracowników jednakowe, uważam za potrzebne zwrócić baczniejszą uwagę, gdyż tą drogą da się należycie ocenić, o ile zamiary Redakcyi i dobre chęci współpracowników wydały plon pożyteczny.

II.

Pomimo pewnéj rozmaitości, jaka panuje w pracach współpracowników pod względem układu, metody, traktowania materyału i poglądów, zbliża je do siebie wspólna wszystkim dążność do gruntowności, szczególniéj widoczna w tych punktach, które w dotychczasowych pracach najmniéj zadowolić mogły. Do nich należą: mitologia i religia, język, warunki geograficzne, słowem wszystkie te rubryki, które zapełniano z obowiązku, jedynie dla tego, żeby wszystkie luki zostały zasłonięte, mechanicznie, a więc bez widocznego związku z dziejami saméj literatury, bez wyzyskania ku oświetleniu charakteru narodowego. Wszystko to prawie w pracy najnowszéj zostało organicznie połączone z życiem narodów i losami ich piśmiennictwa. Wpływ warunków geograficznych na człowieka przynajmniéj w głównych rysach został uchwycony; charakter kultury i kierunek życia dziejowego zyskał przez to na zrozumiałości; szczególniéj u Indusów i u Greków. To uwzględnienie warunków geograficznych nie zadowoli zwolenników Taine'a, bo nie posuwa się aż do tłómaczenia za ich pośrednictwem szczegółowych objawów życia; wystarczy jednak dla tych, którzy, wiedząc, jak dalece zawisłość człowieka od warunków geograficznych jest dotychczas kwestyą sporną, przekładać będą skromniejszą pewność nad śmiałe, nawet genialne hipotezy.

Inaczéj rzecz się ma z językiem. Połączyć go organicznie z dziejami literatury rzecz niezmiernie trudna; wszelkie nawet w tym kierunku usiłowania—o ile mi wiadomo, osiągnęły—co najwyżéj rezultat raczéj pozorny, niż istotny. W *dziejach literatury starożytnéj* można zauważyć to samo: organiczne połączenie języka z literaturą polega i tutaj na tém, że przejście od jednéj materyi do drugiéj jest tak zręczne i nieznaczne, iż zdawałoby się, że zlewają się one w jednę nierozerwalną całość. Dalekie to jest wszakże od organiczności istotnéj, wewnętrznéj, to jest takiéj, któraby dotykalnie przekonywała czytelnika o nie możliwości gruntownego rozumienia jednego bez drugiego. Język w historyi powinienby dostarczać materyału do oświetlenia ducha i charakteru narodowego, służyć za zwierciadło właściwości uwysłowych. Jak dotychczas badania lingwistyczne nie stanęły jeszcze na tym stopniu doskonałości, ażeby powyższym wymaganiom uczynić mogły zadosyć, słabe tylko niekiedy rzucić mogą wskazówki. Dopóki atoli ten wewnętrzny, organiczny stosunek nie zostanie należycie wyświetlony, dopóty uwzględnienie języka w dziejach literatury będzie tylko ustępstwem na rzecz oddawna ustalonego zwyczaju: przejdzie albo w jakieś abstrakcyjne rozumo-

wanie, z którego nikt nic nie zrozumie, albo też w zbiór treściwych, pozytywnych wiadomości, które dadzą wprawdzie pojęcie o języku, lecz które z równém prawem mogą figurować np. w historyi albo geografii, albo inniéj jakiéj nauce, to jest posłużą poprostu do zaspokojenia ciekawości. Wobec tego, kto wie czy nie lepiéj robią ci, którzy jak np. Gerwinus, téj materyi nie dotykają wcale, skoro z niéj niewiele umieją wykrzesać. To téż i współpracownikom *Dziejów literatury starożytnéj* trudno mieć za złe, że nie wyzyskali języka na rzecz przedmiotu więcéj od innych, bardzo nawet poważnych, badaczów. Zrobili jednak co mogli, nie zapuszczając się na omylne manowce hipotez, ani téż nie rozpływając się w mglistych, abstrakcyjnych komunałach. Ciekawy czytelnik znajdzie tu zaznaczone główne rysy języków wschodnich, ich stanowisko lingwistyczne, niekiedy nawet więcéj. Tak np. p. Krasnosielski, opierając się na wynikach gramatyki porównawczéj, naszkicował stan kultury pierwotnych Aryów, a właściwiéj Indo-Europejczyków; pan Radliński znowu zużytkował historyą języków semickich ku wyświetleniu faktów historycznych i związanéj z nimi kultury.

Wreszcie z kwestyą języka łączy się naturalnie i kwestya pisma. I pod tym względem ciekawość czytelnika w zupełności zaspokojoną być może; wszystkie systematy grafiki u narodów starożytnego wschodu, mających prawo do historyi literatury, zostały wyłożone przystępnie. Szczególniéj mistrzem w przezwyciężaniu trudności przystępnego przedstawienia rzeczy okazał się p. Radliński.

Uwzględnili daléj wszyscy współpracownicy i sztuki piękne, uwzględnienie to nie wszędzie jest jednakowe i nie w jednakim celu. P. Święcicki usiłuje je wyzyskać ku scharakteryzowaniu smaku estetycznego Chińczyków; szkoda tylko, że autor z całym tym materyałem załatwił się w kilku ogólnikach, podobnych do tych, jakiemi się posługuje przy ocenie utworów poetyckich. P. Krasnosielski mówiąc o sztukach pięknych u Indusów, posuwa się nieco daléj i sądy estetyka łączy z treściwą opowieścią historyka. Pan Radliński uwzględnia je bardzo często, lecz traktuje jako źródło historyczne, ku oświetleniu kultury. Najwdzięczniejsze pole, nietylko z natury rzeczy, ale i z uprawy, mieli autorowie dziejów literatury klasycznéj. Pan Ł. wyręczył się paru treściwemi cytatami, natomiast p. Kaszewski traktuje ten materyał szeroko stosunkowo najlepiéj. Powiadam *stosunkowo* dlatego, że mam i tutaj na myśli to samo, co i przy poezyi, to jest przewagę estetyka nad historykiem. Konstatując ten fakt, winienem jednak zastrzedz się raz jeszcze, że sądów pana K. nie stawiam narówni z sądami p. Święcickiego lub Łagowskiego: mówią bowiem one i uczą wiele, chociaż nie tyle i nie zupełnie tak,

jakby tego ze stanowiska, przez Redakcyą wytkniętego, wymagać można.

Podobnież pierwszeństwo przyznać należy panu K. i ze względu na opracowanie innego jeszcze działu, przez współpracowników *Dziejów literatury starożytnéj* uwzględnionego; mam tu na myśli rozwój oświaty, a raczéj nauk. Pierwszeństwo to jednak względne, gdyż i p. Radliński stronę tę wyzyskuje; ubóstwo jednak pisanego materyału nie pozwoliło mu nakreślić żadnego skoncentrowanego obrazu (chociaż może należało wyzyskać wskazówki uboczne) gdy tymczasem pan K. mógł i istotnie opracował dział ten bardzo szczegółowo. Nie obyło się tu jednak bez niektórych i to nawet dość ważnych niedokładności. Kreśląc obraz ruchu naukowego w okresie Aleksandryjskim, autor uwydatnił dostatecznie znaczenie, jakie dla umysłowości greckiéj miała wyprawa Aleksandra Macedońskiego na wschód; stąd niedokładność, bo brak dla niektórych objawów, (np. dla przyrostu pierwiastków oryentalnych) dostatecznéj podstawy. Z drugiéj znowu strony p. K. popełnia wielkie przeoczenie: zatopiony całkiem w kreśleniu tego ruchu naukowego, którego głównem ogniskiem była Aleksandrya, zapomina o tém, że istniało i inne, chociaż mniéj świetne—Pergam.

Postęp nauk u Indusów naszkicował p. Krasnosielski dość pobieżnie, obszerniéj jednak daleko, aniżeli p. Święcicki u Chińczyków; obaj zresztą popełnili ten sam błąd, umieszczając literaturę naukową na samym końcu swych prac. Ściśle rzeczy biorąc, tak być nie powinno, gdyż zdobycze naukowe nie pozostają bez wpływu na działalność umysłową późniejszych pokoleń; w tym jednak razie to błędne ugrupowanie materyału nie zaszkodziło całości, już dla tego samego, że szkic p. Krasnosielskiego dotyka nauk ze strony zewnętrznéj, a p. Święcicki zbywa je, niestety, w kilku wierszach ryczałtowym ogólnikiem; nic tedy dziwnego, że pomimo przytoczenia tytułów aż trzech encyklopedyj chińskich, w niczém właściwie czytelnika nie oświecił.

Z poczynionych tu uwag nad usiłowaniami współpracowników *Dziejów literatury starożytnéj* okazuje się, że osiągnęły one zadanie tylko w połowie, jeżeli zechcemy je mierzyć skalą wymagań Redakcyi; to jest skończyły się po większéj części na samém zwiększeniu materyału... ale materyału pozytywnego. Jużto samo jest zaletą niemałą: poraz pierwszy dostanie polski czytelnik do ręki książkę, opartą prawie wszędzie bezpośrednio na źródłach, co szczególniéj w dziejach literatury wschodniéj ma wielkie dla nas znaczenie. Dotychczasowe bowiem opracowania miały między innemi tę wadę, że jako kompilacye, nie były wolne od błędów lub też prze-

pełnione frazeologią. Tu mamy w najgorszym razie fakty autentyczne. Niektóre zaś działy, a mianowicie, opracowane przez p. Radlińskiego, są, można powiedzieć, zupełną nowością. Wprawdzie w każdéj pracy, traktującéj o literaturze starożytnéj, potrącano o Egipt, Babilonią i t. d., ale niejako z obowiązku, żeby czémkolwiek lukę zapełnić; kilka więc dorywczych faktów, owiniętych w sporą wiązkę ogólników, na to wystarczało. Pan Radliński, jedyny bodaj u nas w kraju egiptolog i semitolog, nietylko że dział ten opracował ze źródeł, ale opracował starannie i wyczerpująco, chociaż miał do zwalczenia więcéj trudności niż inni współpracownicy. Z wyjątkiem literatury hebrajskiéj, całe piśmiennictwo Egipcyan, Asyro-Babilończyków i Zendów przechowało się w drobnych zaledwie strzępach, tak iż nie przedstawia nigdzie organicznéj łączności, a wszystko to, podobnież jak całą literaturę starożytnego Wschodu, osłania zazwyczaj mgła tajemnicza, któréj najskrzętniejsze badania nie zdołały jeszcze w zupełności rozproszyć. Pomimo to, p. R. potrafił szczęśliwie wszelkie trudności przezwyciężyć i cały odszukany materyał w pracach swoich zawrzéć. Przypisać to należy dobrze obmyślanéj metodzie, którą do niego zastosował: pod owe fragmenty podłożył tło historyczne. Przeprowadzenie téj metody nie pozostało bez wpływu i na sam charakter prac jego: przeważa w nich żywioł historyczny nad literackim, co już zau..ażyłem poprzednio, zarzucając im zupełne pominięcie strony estetycznéj. Brak ten jednak sowicie się okupuje innemi zaletami, wynikającemi z konsekwentnego wytrwania na obraném stanowisku. Pan R. najdrobniejsze zabytki piśmiennictwa wyzyskuje na wyświetlenie kultury, a głównie rozwoju idej religijnych i cel ten w zupełności osiąga. A układa materyał tak zręcznie i analizuje go tak przystępnie i swobodnie, iż (pomimo zawiłego niekiedy stylu) czyta się z wielkiém zajęciem.

Nie można tego powiedzieć o pracy p. Kaszewskiego. Miałem już zręczność kilkakrotnie potrącić wielkie zalety w jego historyi literatury greckiéj, mógłbym ich wskazać jeszcze więcéj, zaznaczając lepiéj i wszechstronniéj opracowane ustępy (np. o Pindarze, o komedyi nowo-atyckiéj); lecz wszystkie te zalety osłabiają znacznie dwie kardynalne wady, które sprawiają, że praca pana K. czyta się z przymusem i powiem z mniejszym pożytkiem niżby to być mogło.

Jedna z tych wad jest technicznéj natury — to układ. W drobniejszych pracach jest to rzecz mniejszéj wagi, ale w pracy pana K., obejmującéj dwadzieścia dwa arkusze bitego druku (str. 389—728) wzgląd ten nabiera znaczenia. Od tego bowiem zależy nietylko większa lub mniejsza poczytność dzieła, ale nawet jego zrozumia-

łość. Pan K. starał się być przystępnym, ale nie uczynił wszystkiego, co mógł uczynić i dlatego praca jego jest monotonna i nużąca. Podzieliwszy całość na sześć rozdziałów, przechodzi je kolejno jednym tchem. Oko i umysł czytelnika przebiegają ogromne przestrzenie, podążając za autorem, i napróżno wyglądają wskazówki, gdzieby się zatrzymać bez obawy zagubienia wątku. Nużąca ta jednostajność zwiększa się jeszcze przez to, że pan K. wykładu swojego nieurozmaica i nie ożywia ani przytoczeniem treści, ani cytatami z rozbieranych utworów: tu i owdzie wtrącone pojedyncze zdania zarzutu tego nie osłabiają zgoła. I to zaniedbanie nazwę wadą niemałą już nie ze względu na wygodę, ale ze względu na korzyść czytelników, między którymi niewątpliwie znajdą się tacy, co utworów literatury greckiéj nie znają, a usunąć ten brak nie było trudno!

Od tego zarzutu monotonii wolne są mniéj lub więcéj inne prace, a głównie traktujące o literaturze wschodniéj. Jakiekolwiek względy kierowały piórem autorów: czy to, że literatura ta jest u nas prawie zupełnie nieznana, czy téż to przekonanie, że wywodom i sądom powinna towarzyszyć demonstracya, czy wreszcie jedno i drugie razem, dość, że rzadko który utwór głośniejszy nie został podany bodaj w krótkiém streszczeniu. Szczególniéj szeroko uwzględniał tę stronę przedmiotu p. Radliński, co mu też czytelnik za wielką poczyta przysługę, bo znajdzie w pracach jego streszczenia i cytaty nietylko z utworów poetyckich ale i z ksiąg religijnych, skomentowane wiersz za wierszem tak, iż ma do czynienia jakby bezpośrednio z samemi źródłami. A jednak nie jest to materyał surowy; lecz opracowany i oświetlony tak, jak tego dzisiejszy stan badań wymaga. Bo téż stanowisko pana R. jest czysto naukowe, wolne od wszelkich ubocznych tendencyj, które niejednemu z naszych historyków literatury starożytnéj (np. Szujskiemu, a szczególniéj Siemieńskiemu) stawały na zawadzie w trzeźwości poglądów i zniewalały do pomijania niewątpliwych wyników badań. Szczególniéj jest to widoczne w historyi literatury hebrajskiéj, którą u nas traktowano zawsze ze stanowiska tradycyi kościelnéj i całą nawet literaturę wschodnią oceniano głównie w stosunku do niéj, a raczéj do opartych na niéj tradycyj. Pan R. podobnemi ubocznemi tendencyami nie krępuje się wcale, traktuje przedmiot poważnie i spokojnie i dla tego podaje nam pierwszą naukową historyą literatury hebrajskiéj.

Mniéj troskliwym o przytoczenia i streszczenia był p. Krasnosielski. Dwie wielkie epopeje indyjskie streścił autor tak, iż zaledwie można się domyślać, co ich osnowę stanowi; w dobie znów późniejszéj jeden tylko dramat, a mianowicie Sakuntalę, rozbiera p. K. szczegółowo; lirykę natomiast i poezyą dydaktyczną przedstawił

czysto teoretycznie. Przyznaję, że pierwsza nastręczała wiele trudności, już choćby dlatego, że przekładów nie posiadamy prawie zupełnie; z dydaktyką, zwłaszcza z epopeją zwierzęcą, sprawa była daleko łatwiejsza, nie nastręczała ona w najgorszym razie autorowi trudności większych jak Nal i Damajanti lub Sakuntala, z któremi p. K. musiał sobie poradzić. Ta głównie okoliczność sprawia, że pracy p. K. nie można przyznać równomierności opracowania. Pierwsza w ogóle połowa, opracowana daleko staranniéj, zadowoli wymagania nawet bardzo poważne; druga—znacznie słabsza. Gdyby nie to, praca p. Krasnosielskiego należałaby bezwarunkowo do najlepszych.

Przytoczenia i rozbiory w pracy p. Święcickiego są dosyć liczne i nie miałbym jéj nic do zarzucenia w tym względzie, gdyby pomiędzy owemi przytoczeniami i sądami, jakiemi autor zwykł rozbiory zamykać, była jakaś łączność i gdyby owe sądy miały bardziéj historyczny charakter. Z tego to głównie powodu, dla owéj dorywczości sądów estetycznych, a poniekąd dla owych doraźnych ogólników, które już poprzednio zaznaczyłem, dla samych nawet właściwości stylowych, praca pana Ś. sprawia takie wrażenie, jak gdyby to był jakiś artykuł dziennikarski, z tą głównie intencyą skreślony, żeby się czytał z łatwością, informował ciekawych, lecz wielkiego natężenia myśli nie wymagał. Z drugiéj jednak strony przyznać należy, że autor literatury chińskiéj zbierał materyał bardzo sumiennie, o ile on z przekładów i opracowań europejskich był dla niego dostępny, jak również i to, że nie znając literatury chińskiéj wprost ze źródeł, ważył każde zdanie, każdy sąd słynniejszych synologów. Tu bodaj tkwi główne źródło zarówno wad, jak i zalet pracy pana Święcickiego. Z jednéj bowiem strony czytelnik znajdzie w niéj istotne zestawienie tego, co nauka europejska o literaturze chińskiéj wyrzekła; z drugiéj znowu—wszystko to, co w niniejszém sprawozdaniu za wady mu poczytałem. Autor czuł się skrępowanym i rzadko kiedy nie zasłania się powagą Remusat'ów, Davis'ów i innych synologów; gdzie jednak może być samoistnym, tam miewa bardzo szczęśliwe pomysły, jak np. w charakterystyce Chińczyków, którą samemi ich przysłowiami prawie zupełnie wyczerpuje.

Reasumując wszystkie poczynione tu uwagi i zarzuty, czytelnik mógłby o *Dziejach literatury starożytnéj* powziąć wyobrażenie mniéj korzystne, niż ich wartość na to zasługuje. Pochodzi to stąd, że jakkolwiek przy sposobności zaznaczałem ich zalety, uwzględniałem w nich nietyle to, co już osiągnięto, ile to, co jeszcze do osiągnięcia pozostaje. Dzieło jednak przedstawi się z daleko po-

chlebniejszéj strony, jeżeli zmieniwszy stanowisko, zechcemy nowe to dzieło porównać z posiadanémi dotychczas. Porównanie takie okaże dostatecznie, że z wyjątkiem pracy p. Łagowskiego, o któréj nie umiałbym powiedziéć, czy przynosi nam co nowego, wszystkie inne w większym lub mniejszym stopniu i obszernością i gruntownością prześcigają prace dawniejsze, a niektóre odkrywają przed czytelnikiem światy prawie całkowicie dotychczas piórem polskiém nie tykane — i to w całém świetle, jakie na przedmiot ten dzisiejsza nauka rzucić zdołała.

Edward Grabowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Pamiętnik fizyograficzny wydany staraniem E. Dziewulskiego i Br. Znatowicza T. II. Warszawa. 1882.

Akademia Umiejętności w Krakowie oraz Paryzkie Towarzystwo nauk ścisłych, umożliwiające i nieraz budzące do życia objawy naszéj pracy umysłowéj, zyskały w roku zeszłym towarzysza broni, który pomimo niedostateczności swych środków, zajął w ich gronie zaszczytne stanowisko. Mówimy o Pamiętniku fizyograficznym, owocu pracy i dobréj woli niewielkiego grona przyrodników warszawskich, którzy uczuwszy potrzebę wydawnictwa mogącego koncentrować w sobie prace uczonych naszego kraju, wezwali doń kolegów w różnych miejscach kraju i gubernij zachodnich rozproszonych i zyskawszy ich poparcie, zebrali, nawet dla siebie niespodzianie, znaczną wiązkę prac poważnych, która pokaźną księgę I tomu Pamiętnika złożyła. Mówiąc nawiasem, okoliczność ta okazała, iż mamy specyalistów, którzy w cichości pracują nad poznaniem ziemi ojczystéj. Widocznie prace były już gotowe, lecz leżały w rękopismach, lub téż jeszcze się w szatę słowa nie oblekły. Redakcya umożliwiła lub przyśpieszyła ich pojawienie się. Wiadomo jak został pierwszy tom przyjęty. Wzbudził on dla siebie podziw akademii krakowskiéj i przez zjazd przyrodników zaszczycony został najwyższą nagrodą, dyplomem uznania. Wielu jednak sądziło, iż jest to pierwszy, ale zarazem ostatni owoc nadzwyczajnego wysiłku. Tymczasem ukazał się tom drugi, a możność zebrania nań materyału dowiodła jeszcze raz iż Pamiętnik fizyograficzny jest doskonale odgadniętym wyrazem potrzeby naszych specyalistów, że jest pożyteczném ogniskiem, skupiającém i powołującém do życia prace, któreby się może tylko w obcych językach pojawiły, lub zmarniały w rękopismach.

Tom II ukazał się niemal jednocześnie ze smutnym zgonem „Pamiętnika“ Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu, które upadło z tego powodu, że sukcesor hr. Działyńskiego fundatora Towarzystwa i Pamiętnika odmówił nakładu łożonego przez zapisodawcę. W tém więc sympatyczniejszém świetle przedstawia nam się Pamiętnik fizyograficzny, że powstawszy i istniejąc z ofiar osób wcale przez fortunę niewyposażonych, zastępuje upadłe wydawnictwo, o tyle jeszcze pożyteczniéj, że specyalnie poznaniu przyrody własnego kraju jest poświęcony. Czytelnikom, pojmującym ważność spełnienia tego zadania pragnęlibyśmy udzielić część téj sympatyi jaką w nas wzbudza Pamiętnik fizyograficzny; a jeśli nasze życzenie zostanie spełnionérn, Redakcya zyska ulgę w pracy i byt wydawnictwa zostanie na długi czas zapewnionym.

Treść tomu II podzielona jest na cztery działy. Pierwszy zajmuje meteorologia wraz z hidrologią, drugi geologia z chemią, trzeci botanika z zoologią, a czwarty antropologia.

W dziale meteorologicznym napotykamy wykaz średnich wysokości barometru każdego dnia i miesiąca za lat 54 tj. od r. 1826 do 1880, a daléj wysokość normalną barometru każdego dnia oraz każdego miesiąca w roku, wyprowadzoną ze spostrzeżeń w poprzednim wykazie podanych. Cenny ten materyał opracowany przez p. Kowalczyka, jest dopełnieniem wykazu w pierwszym tomie Pamiętnika zamieszczonego, a przeważnie tylko temperatury dotyczącego.

Praca ta zająć może głównie tylko specyalistów, natomiast dwie pozostałe rozprawy meteorologiczne mogą być czytane i przez przeciętnego czytelnika wykształconego. Pierwsza z nich p. Apolinarego Pietkiewicza ma za przedmiot „Zmienność temperatury roczném w Warszawie,“ druga dra. Jędrzejewicza zawiera „Spostrzeżenia stacyi meteorologicznéj w Płońsku za rok 1881“ a w „uwagach“ ogólny pogląd na cyklony i antycyklony oraz ich stosunek do naszego klimatu. Resztę działu wypełniają prace niemeteorologiczne a mianowicie p. Dziewulskiego „Nachylenie magnetyczne w Warszawie“ tegoż: „Czarny staw gąsiennicowy pod Kościelcem“ oraz artykuł p. Jana Rostworowskiego o „jeziorach łęczyńsko-włodawskich.“

W dziale drugim znajdujemy najprzód rezultaty badań p. Józefa Siemiradzkiego asystenta geologii przy uniwersytecie dorpackim, nad „Naszémi głazami narzutowemi“ (kamieniami polnemi). Rzecz ta, o ile nam wiadomo, pierwszy raz w literaturze traktowana. Opracowanie wielce umiejętne i sumienne. Napotykamy tutaj, również jak się zdaje po raz pierwszy w literaturze polskiéj, zastosowanie badania mikroskopowego do skał.

Artykuł p. Wincentego Kosińskiego, zarządzającego kopalniami rządowemi galmanu, p. t. „Kopalnie Olkuskie ich przeszłość i przyszłość,“ zawiera rzecz zarówno ciekawą dla górnika i geologa, jak dla przemysłowca i historyka.

Tłómaczone z rękopismów pozostałych po Pusch'u „Nowe przyczynki do geognozyi Polski“ prostują i dopełniają materyał i poglądy znakomitego tego geologa, zawarte w „Geognostische Beschreibung von Polen,“ które to dzieło dotychczas służyć musi za podstawę wszelkiemu geologicznemu badaniu naszego kraju. Wreszcie „Sprawozdanie z badań geologicznych dokonanych w r. 1880 w południowéj części guberni Kieleckiéj.“ przez Stanisława Kontkiewicza, stanowią wielce pożądane sprostowanie i dopełnienie wiadomości, przez wszystkich dawniejszych geologów podanych. P. Kontkiewicz był delegowany przez ministeryum do poszukiwania soli; choć doszedł do przekonania „że na całém zbadaném przez niego terytoryum nie ma pewnych wskazówek znajdowania się pod ziemią pokładów soli kamiennéj, a przeciwnie jest wiele danych, które wprost takiéj możliwości zaprzeczają,“ to jednak dał nam opis i mapę geologiczną zbadanéj części kraju, które i dla nauki i celów praktycznych wielkiego są znaczenia.

Część chemiczno-geologiczną tego działu reprezentują „rozbiór soli buskiéj“ przez Pawlewskiego i „rozbiory pięciu skał tatrzańskich“ przez Bron. Znatowicza.

Znaczną część działu botaniczno-zoologicznego, zajmuje monografia pewnéj rodziny mchów tatrzańskich, napisana przez d-ra T. Chałubińskiego. Nosi ona tytuł „Grimmieae Tatrenses, ex autopsia descripsit et adumbravit dr. T. Chałubiński etc.“ Napisana ona jest po łacinie dla uprzystępnienia jéj treści uczonym zagranicznym, którzy przeważnie czytać ją będą, albowiem specyalistów polskich zajmujących się mchami, (którzy zresztą także mogą czytać po łacinie), albo nie ma wcale, albo téż możnaby ich zliczyć na palcach jednéj ręki. Wreszcie, co prawda, nie posiadamy tak wyrobionéj terminologii polskiéj, aby podobnie specyalne rozprawy mogły się obejść bez łaciny Nawet zagraniczni uczeni uciekają się w analogicznych przypadkach do tego powszechnego języka nauki. Jednakże dla zachowania cechy pochodzenia téj monografii, autor podał miejscowości po polsku. „Grimmieae Tatrenses“ są owocem kilkoletniéj pracy szan. profesora, oraz wycieczek po wielu niezwiedzanych lub mało zwiedzanych zakątkach tatrzańskich. Dodać wypada, iż tablice objaśniające zostały świetnie odrysowane przez autora przy pomocy profesora A. Wrześniowskiego, który obok swéj specyalnéj nauki, jest jeszcze z nakomitym rysownikiem.

Bardzo ciekawą jest rozprawa p. K. Łapczyńskiego „o roślinności jawnokwiatowéj okolic Warszawy.“ Jest to niejako „statyka i dynamika“ flory naszéj okolicy, czyli „ruch roślin“, analogiczny z tak zwanym w statystyce „ruchem ludności“. Wykazuje ona rośliny pospolite, nowe nabytki i stratę roślin dawniéj napotykanych. Tenże sam autor pomieścił tu jeszcze dwa artykuły botaniczne: „Babka górska“ i „ze Strzemieszyc do Solca.“

Ważnym przyczynkiem do zoografii polskiéj, jest wykład o „Skrzekach (Amphibia)“ p. A. Wałeckiego oraz „o chrząszczach krajowych“ przez Osterloffa. Ostatni artykuł zasługuje nadto na uwagę naszych amatorów-entomologów, gdyż zawiera wiele wskazówek praktycznych. Entomologowie powitają również z wielką radością, projekt „terminologii owadniczéj polskiéj“ podany przez d-ra Sznabla.

Z rozpraw mających za przedmiot kwestye bardziéj szczegółowe znajdujemy tu pracę stud. n. prz. Kowalewskiego p. t. „Przyczynek do historyi naturalnéj Oxytrichów“ oraz d-ra Jana Sznabla opis nowego gatunku owadziego, nazwanego na cześć pierwszego odkrywcy „Stichopogon Dziedzickii.“

Kończy ten dział praca p. A. Slósarskiego „o zwierzętach zaginionych (diluwialnych).“

Dział ostatni, antropologiczny, zajmuje najmniejsze stosunkowo miejsce w „Pamiętniku.“ Nic dziwnego, jest to nauka nowa i dotychczas nie wielu uczonych i materyału pozyskać sobie u nas zdołała. Pomimo to, artykuły tu znajdujące się są ważnemi dla nauki przyczynkami. P. Tymoteusz Łuniewski podał tutaj dalszy ciąg swych poszukiwań w „Mogile w Żarnówce“, p. Zyg. Gloger „Notatki archeologiczne Michała Fedorowskiego. Kurhany pod Wiszowem.“ Czaszkę z tego kurhanu zbadał i opisał dr. Leon Dudrewicz.

Bardzo piękne i staranne rysunki do dwóch ostatnich artykułów wykonał dr. med. antropolog Peszke.

Pan Jan Karłowicz podał w porządku abecadłowym „imiona niektórych plemion i ziem dawnéj Polski“, załączając przy każdém etnograficzne i lingwistyczne uwagi, wyjaśniające jego pochodzenie i znaczenie. Z górą sto nazw rozmaitych znalazło miejsce w tym zbiorze, pracowicie i umiejętnie dokonanym, który dla każdego ukształconego czytelnika wielce interesującym będzie. W dopisku na końcu podajemy kilka uzupełnień tego zbioru, tusząc, że uczony autor przyjmie je z życzliwością.

Wreszcie tom zakończony jest dwoma dodatkami: do artykułu p. Łapczyńskiego w I t. P. Fiz. „Wiadomość o trzech roślinach itd.“

i do pracy p. W. Choroszewskiego „Poszukiwanie geologiczne itd." również w I t. zawartéj.

Kończąc niniejsze pobieżne sprawozdanie, uważamy za stosowne jeszcze raz zwrócić uwagę czytelników na ważność tego wydawnictwa dla naszéj nauki, dla jéj specyalnéj części mającéj za przedmiot poznanie własnego kraju, oraz na zasługi wydawców, którzy w braku odpowiedniéj instytucyi, gdzieindziéj takiemi sprawami się zajmującéj, prywatnemi siłami starają się o ile możności brak ten skompensować, przez wydobywanie na jaw prac już gotowych i przez zachętę do przedsiębrania nowych.

Dopisek. Oto uzupełnienia, o których przy pracy p. Jana Karłowicza wspomniano powyżéj w tekście.—1. *Borowcy*, *Lisowiaki* czyli *Grębowanie*, jak ich nazywa W. Pol (Histor. obszar, str. 35), właściwiéj *Lasowcy*, mieszkańcy puszczy Sandomierskiéj, po prawym brzegu Wisły (Matusiak w Rozpr. Wydz. fil. VIII).—2. *Kaszubi*, według Papłońskiego, używają trojakiéj nazwy, stosownie do noszonego przez nich ubioru: a) od granic Prus Zachodnich do rzeki i jeziora Łeba, nazywają się właściwie *Kaszubami*; b) między Łebą a błotami, ciągnącemi się wzdłuż rzeki Pustynika, nadają sobie imię *Kabatków*; c) po obu stronach rzeki Pustynika, od Łeby do samych brzegów morza i naokoło jeziora Gardneńskiego, nazywają siebie *Słowińcami*. Ci, którzy mieszkają w Prusach Zachodnich zowią się *Kaszebami* i zajmują okręgi: Wejherowski (Neustadt), Kartuski (Carthaus) i część okręgu Gdańskiego; zaś w Kościerzyńskim (Behrendt) mowa już zlewa się z polską. Okręgi Stargardzki i Świecki są czysto polskie. (J. Papłoński o Kaszubach, w Kalendarzu Jaworskiego na rok 1868, str. CXLII).—3. *Kraina*. Oprócz ziemi na prawym brzegu Noteci leżącéj, używała niegdyś tejże nazwy okolica wyciągnięta wązkim pasem po lewym brzegu dolnéj Drwęcy, o czem pisał G. Zieliński w Bibl. Warsz. 1861 r. Kronika Wołyńska w jedném miejscu daje polskiéj ludności w Lubelskiém, stykającéj się z Rusią, nazwę *ukrainian*, to jest mieszkańców pogranicznych.—4. Jest to bezwątpienia prostym błędem druku na stronie 507, gdzie czytamy, że „Mazurami nazywają dziś część Prus Zachodnich," gdyż Mazury w Prusach Wschodnich mieszkają.—5. Żeby nazwa wyspy, leżącéj przy ujściu Wisły, *Mierzeja*, *Nerzeja*, pochodziła od niemieckiego Nehrung—wydaje się wątpliwem, albowiem tę nazwę spotykamy już w dyplomatach z pierwszéj połowy XIII wieku, kiedy tam osadników niemieckich jeszcze nie było (Perlbach, Pommersches Urkundebuch). Pan Karłowicz zbliża z tém nazwisko *Mierzejewski*, które przecież nie z Pomorza do nas przyszlo

ale jest naszém rodzimém, od wsi Mierzejewo pochodzącém. Czyby się nie dało zbliżyć nazwy gdańskiéj Nerzei z nazwami rzek Neru, Nuru, a mianowicie z litewskiém imieniem rzeki Wilii, *Neris*, *Niaris*,—niechaj lingwiści rozstrzygną. To pewna, że północno-zachodnia granica siedziby litewskiego plemienia dawnych Prusaków sięgała ku Mierzei.—6. *Niemcy*. Wincenty Pol mówi, że całą „okolicę, którą obszar Wisłoki, Ropy, Jasły, Jasełki i średniego Wisłoka zajmuje, osiedli tak zwani *Głuchoniemcy*, od dołów Sanockich począwszy, to jest od okolicy Komborni, Chaczowa, Trześniowa aż po Grybowski dział: Gorlice, Szembark i Ropę od wschodu na zachód, ku północy aż po ziemię Pilzniańską. Cała ta okolica Głuchoniemców jest nowoosiedlinami Sasów; jakoż strój przechowali ten sam co węgierscy i siedmiogrodzcy Sasi..... ale lud ten mówi dzisiaj najczystszą mową polską“ (Historyczny obszar Polski, str. 32).—7. *Pałuki*. Zbytecznem chyba będzie zbliżać tę nazwę z czeskiém palouk, skoro mamy polskie wyrazy padół, pagórek, pasieka, parobek, pachołek, patyk w Przasnyskiém jest wieś Pałuki, a w Szydłowieckiém wieś Pałęgi.— 8. Do nazwy *Podhalanie* możnaby zbliżyć nazwę grodu Halicz i wsi Przegaliny w Radzyńskiém.—9. *Polesie*. W ziemi Czerskiéj powiat Garwoliński, leżącym na prawym brzegu Wisły nazywano niegdyś Polesiem (Święcicki, Święcki, Gawarecki); w księdze sądowéj czerskiéj z początku XV wieku okolica ta zowie się poprostu *Puszczą* (Liber terr. Cern. wyd. ks. Lubomirskiego N. 1368).—10. *Porzecze*. „Po lewéj stronie Warty, w południowéj części Wielkopolski, zacząwszy od brzegów Prosny, Lutyni i daléj ku zachodowi mieszkają *Porzeczanie*“ (Staszic, w Tyg. ilustr. 1860, str. 326).—11. *Sepenicka* ziemia obejmowała niegdyś Pokucie i od niego ku wschodowi pas kraju między Dniestrem a Prutem aż po Chocim. Nazwa jéj, według Morgenbessera, ma być w związku z wsią Szypińcami, która się ukazuje dawno jako punkt znacznie w téj okolicy zaludniony (Przewodn. nauk. i liter. 1870, str. 225—229).—12. Przy *Tucholcach* możnaby wspomnieć o mieście Tucholi i wielkiéj puszczy Tucholskiéj na Pomorzu gdańskiém; natomiast przytoczone tam nazwy Smardzew, Smardzów nie mają chyba związku ze złą wonią, gdyż to są przymiotniki dzierżawcze, utworzone od imienia ludzkiego Smardz, które się w starych dyplomatach napotyka; smardzem zowie się pewien rodzaj grzyba.— 13. Pod *Zabrzeżem* niepotrzebnie przytoczono *Pobereże*, gdyż nazwa Zabrzeża odnosi się do części Polesia, a zamięszanie powstało wskutek tego, że w Encyklopedyi wielk. Orgelbr. opuszczona jest kropka po wyrazie „Prypeci“ (XXI 16).—14. *Zabilcze*. Tak się nazywała część Mazowsza na prawym brzegu dolnéj Pilicy, czyli jak akt z r. 1359 wyraża się „między rzeką Radomirzą a Pilicą“ (kodeks Mazow. str. 75).

Lira Polska II. Poezye Wiktora Gomulickiego. Warszawa. Nakład Lesmana i Swiszczowskiego, 1882, str. 160 i III.

Pod bardzo sympatycznêm dla czasów naszych hasłem puszcza p. Gomulicki w świat zbiorek swoich poezyj. Na pytanie: *gdzie piękno*? odpowiada, że nic piękniejszego nie ma nad prawdę i zaleca poetom, ażeby na fundamencie rozumu bóstwom poezyi stawiali ołtarze, ażeby mieli duszę własną a nie pożyczoną, ażeby têm byli w pieśniach, czem są w życiu, ażeby łez nie zmyślali nigdy—„bo to zbrodnia!“ W poczuciu wielkiéj potęgi, jaką na umysły wywiera prawdziwa poezya, nie chce zezwolić na praktyczne zastosowanie znanego wykrzyknika: taki wieszcz, jaki słuchacz, i zześrodkowaną siłą przekonania i obrażonéj dumy poetyckiéj upomina poetów: „niech tłum do was się stroi, a nie wy do tłumu,“ zarzucając im równocześnie, że z ich lutni „rzadko płyną te dźwięki, co są życia echem.“

„Czyż nie umiecie—powiada do nich—śmiać się naturalnym śmiechem i naprawdę być gniewni, pragnący lub smutni. Czemu maską aktora lica swe kryjecie? Czemu więzicie w piersiach uczuć zapał szczery?“ A dla wskazania im drogi i pokrzepienia w nich wiary w czarodziejską siłę natchnienia, odwołuje się do świetnéj poetyckiéj przeszłości:

Czemże Homer potężny? czemże Szekspir wielki!
Lud ich czci, bo mu własne odgadują życie;
Kocha ich, bo w ich *strofach* (?) słyszy serca bicie;
Ich muzy—to kapłanki, a nie wichrzycielki!

A czyż w teraźniejszości nie ma już sposobu przeniknięcia do dusz ludzkich?

Wobec zobojętnienia i apatyi, akcentuje p. Gomulicki wpływ poezyi na rozbudzenie ducha, na wywołanie zapału, na ukojenie i uświęcenie wielkiéj boleści:

Lubię krzyk namiętności, kiedy się wyrywa
Z ust poety, namysłem niespętanych jeszcze;
Lubię słowa, co w piersiach obudzają dreszcze,
Dla tego, że je miłość zrodziła prawdziwa;
Lubię gniew tytanowy, co nie drży przed niczêm
I Helikon rozburza, jak lichą garść ziemi;
Lubię boleść, gdy łzami przemawia krwawemi;
Lubię zapał ze złotêm od gromów obliczem.

Poeta potrafi „wstrząsać“ ludzi pieśniami natchnionemi, potrafi ich za sobą pociągnąć, jeżeli sam „uczuciem jak wulkan wybucha,“ bo jak „świat z lawy wulkanicznéj poznaje głąb’ ziemi,“ tak „z krzyków namiętnych“ poety „pozna głębie ducha.“

Wpatruj się w objawy życia i bądź sobą!—oto w streszczeniu rady i wskazówki dane przez Gomulickiego poetom w odpowiedzi na pytanie: gdzie piękno. Rady—to zdrowe, a jakkolwiek ich nowość dosyć jest stara, nic to wszakże nie ujmuje ich trafności, tém bardziéj, iż tak są sformułowane, że ze strony rozumu analitycznego nie napotykają opozycyi. Czy autor miał je na pamięci wówczas, gdy sam tworzył w różnorodnych i różnoczesnych usposobieniach ducha? Na to pytanie odpowiedziéćby można w sposób określony wtedy, gdyby się znało dokładnie psychiczny rozwój poety. Obecnie, mając przed sobą zbiorek poezyj wybranych zapewne przez samego autora, który naturalnie chciał się publiczności przedstawić jak najlepiéj i dlatego pominął prawie wszystkie dawniejsze utwory, a pomieścił głównie te, co powstały w dobie dojrzalszéj, musimy się ograniczyć do zaznaczenia faktu, iż w tym zbiorku widnieje staranie o urzeczywistnienie tego ideału, jaki poeta swoim spółtowarzyszom postawił.

Nie znaczy to oczywiście bynajmniéj, iżby ton i nastrój w tych 43 utworach, jakie w zbiorku wydrukowano, był jednostajny; owszem pod tym względem panuje tu rozmaitość dość znaczna: są rzeczy smutne i wesołe, poważne i lekkie, sarkastyczne i pogodne, rozumne i trzpiotowate. I nic naturalniejszego; liryk śpiewa, gdy ma ku temu jakąś pobudkę; od rodzaju pobudki i od chwilowego usposobienia zależy rodzaj utworzonéj pieśni; jak się nie tworzą ryczałtowo, tak téż nie mogą być ocenione należycie, gdy się je odczytuje jednę po drugiéj wśród tegoż samego usposobienia i otoczenia. Ale mimo to wszystko, jest coś, co pieśni te z sobą łączy, co je cechuje znamieniem wskazującém, że one wyszły z takiéj a nie innéj duszy. I to coś spólnego nie polega jedynie na frazeologii poetyckiéj i toku wiersza, tkwi ono głębiéj, bo w umyśle i sercu poety; nie potrzebuje być ono czemś ściśle i dokładnie określoném, jakimś stałym poglądem na stosunek poety do świata i ludzi, sama już bowiem nieokreśloność może się stać cechą znamienną twórczości poetyckiéj.

Jakąż jest ta cecha w utworach p. Gomulickiego? Nie jest nią optymizm, bo poeta jasno i wyraźnie oświadcza („Z listu“), że pragnął wprawdzie gorąco wejść na ten wygodny gościniec, wiodący ku przybytkowi, gdzie „bóstwo harmonii króluje widomie, niebo jest stropem, listki róż podnóżem, a cichy pielgrzym, który po nim kroczy i depce kwiatów stufarbne kobierce, ma błękitami napojone oczy i w świetny kryształ zakrzepnięte serce;“—lecz niestety! napróżno, gdyż dotąd po ostrych musi brnąć kamieniach, dotąd bolą go niespłacone winy i życie ofiarnicze, a nie widząc szczytu ludzkiéj doli, nie wie, czy w mroku ginie czy w błękicie:

I już przed śmiercią nie zakończę boju,
I już przed grobem nie znajdę spokoju;
Zawsze mi twardą będzie ziemska gleba,
I fałszywemi ziemskiéj pieśni tony;
Bo wiem, że aby w zgodzie niezmąconéj
Żyć z przeznaczeniem bliskiém i dalekiém
I aby nie drżéć... na to być potrzeba
Czémś mniéj, czémś więcéj, lecz już—nie człowiekiem!

Mimo jednak tego przejęcia się nędzą ludzką i dysharmonią zjawisk społecznych, poeta nie popada w drugą ostateczność, nie staje się pesymistą. Czy kotwicą ocalenia jest dla niego wiara w opatrzne rządy Boga, jakby wnosić można z „Modlitwy" i z kornéj rezygnacyi wyrażonéj w wierszu „Bóg tak chce!"; czy też silne przywiązanie do życia i chęć korzystania z jego uciech, których istnienie poeta uznaje, jakby to wynikało z paru anakreontycznie podkasanych wierszyków, a mianowicie z tego, co ma napis „Piosenka,"— dość, że autor, choć cierpi i boleje nad nieszczęściami ludzkiemi, choć niekiedy od rozpaczy ledwie obronić się może, nie bajronizuje ani hartmanizuje, poczytując dobro i zło, zło i dobro za jednakowo i równomiernie rozwinięte w świecie pierwiastki. Nie może atoli przyjść do jakiegoś filozoficznego ukojenia, chociaż wie, że szukać go można w rozważaniu wiecznotrwałych a zawsze jednostajnych zjawisk przyrody („Fragment" str. 108, 9); gdyż wyobraźnia jego jest zbyt niespokojną a uczucie zbyt żywe; woli więc poddawać się wrażeniom, aniżeli panować nad niemi, woli na przemian śmiać się i płakać, aniżeli patrzéć na wszystko apatycznie, lubo spokojnie. Zyskuje na tém jako poeta; odczuwa sympatycznie boleści i radości cudze i barwny, bezpośrednio z życia wzięty wyraz nadać im umie.

Nie wszystkim, co prawda, w jednakowym stopniu. Najchętniéj, bo najczęściéj maluje p. Gomulicki uczucie miłości, z jego strony marzycielskiéj wśród pięknego, spokojnego, ale zwykłego otoczenia natury. Piękno przyrody i czar uczucia zlewają się w jednę całość jakiegoś cichego marzenia, w którém wszystko nabiera niewysłowionego uroku i wszystko inném, lepszém, milszém się wydaje aniżeli zazwyczaj. Miękkiemi, łagodnemi barwami odtwarza poeta takie objawy; a ta zgodność formy z treścią nadaje tym utworom cechę artystycznego wykończenia, które każe zapomnieć, że temat i motywa są już wielce stare. Do takich uroczych liryków należą przedewszystkiem „Czary," a potém „Chloe," „Nie odchodź," „Zbudź się i słuchaj," „Anielskiéj," „Marmurowéj," „Co mówi poranek," a po części także dłuższy poemacik „We dwoje." Namiętnego upojenia i szału rozkoszy nie lubi przedstawiać autor, chociaż tam gdzie tego przedmiot z konieczności wymagał, jak np. w wierszu poświę-

conym Henrykowi Siemiradzkiemu, poeta nasz potrafi odtworzyć plastycznie scenę wyuzdanéj rozpusty.

Dowodzi to, że obok miękkości i łagodności pędzel p. Gomulickiego posiada téż siłę, tylko że autor używa jéj oszczędnie. Dowód téj siły najznakomitszy w kierunku patetycznym złożył w wierszu p. n. „El mole rachmim.“ Poeta przypatruje się weselu żydowskiemu na śmieciach; przed nim brudna miejscowość, brudni i pospolici ludzie; według tego pierwszego wrażenia maluje obrazek realistycznie wierny, wszyscy wydali mu się istotami zwykłemi, „co strzegą z równą pilnością bród swych, jak wiary i mienia.“ Wtém zabrzmiał śpiew na nutę pogrzebową, gdyż oblubienica była sierotą. Z początku pieśń płynęła spokojnie niosąc do stóp Pana ból serdeczny, powstrzymywany siłą rozwagi, potém przesiąkłszy smutkiem, który z grobów wieje, rosła w moc i już nie jednéj mogiły, lecz grobów miliona stała się głośną płaczką, która zawodziła nad kośćmi Izraela, po całéj ziemi rozsianemi i nad tém, że na grobach chwast porasta głuchy, i nad tém, że skarlały słabe synów duchy, i że tu noc niewoli tak długa, tak długa!.. A gdy śpiewak wspomniał świętą Jeruzalem i bezlitośne losów okrucieństwo, nędzę, prześladowanie, tułactwo i szczęście utracone nazawsze; to całe zebranie zawrzało ogromnym, beznadziejnym' krzykiem. I wtedy nastąpiło téż przemienienie w oczach poety: nie widział już szpetnych plam na baldachimie, nie raził go Icek, nie raziło otoczenie. Podwórko zamieniło się w kwietną dolinę kędyś u stóp Libanu, pustynia powiewała tchnieniem rozpaloném, a palmy ochładzały wachlarzami z liści. Wszystko wyszlachetniało pod tchnieniem prawdziwéj boleści i jéj prawdziwego wyrazu w śpiewie. Poemacik ten jest doskonałym nawet pod względem szczegółów; jeden tylko wiersz ostatni mąci ogólne wrażenie. P. Gomulicki z rozmysłem widać powtórzył tu z małą zmianą ten sam wiersz, który w części pierwszéj, przed śpiewem, umieścił. Tam malując z dobroduszną ironią obrazek podwórka żydowskiego, powiedział, że „niebo od gwiazd błyszczało jak szabaśnik złoty“ i porównanie to zupełnie odpowiadało nastrojowi, ale gdy po owém poetyczném przemienieniu, znowu czytamy, że „gwiazdy tak błyszczały jak szabaśnik złoty,“ czujemy fałsz psychiczny; wśród podniosłego nastroju porównanie to staje się trywialném; gdy się wszystko uidealizowało, niepodobna, ażeby ten jeden szczegół pozostał niezmienionym.

Dobrym jest także wiersz z okoliczności grudniowych gwałtów r. z. napisany p. n. „Głos zelżonego,“ tylko że w nim przemaga swada retoryczna nad poetyczném obrazowaniem.

Niekiedy autor przerachowuje się w użyciu środków patetycznych. Za przykład posłużyć może „Pustkowie.“ Prawda, że w tym wierszu znajdujemy wiele pięknych obrazów, lecz ich obfitość szkodzi jednolitości wrażenia; osobno wzięte są ładne, razem połączone gmatwają się. Błąd-to znaczny; większy jednak jeszcze tkwi w téj przesadzie, z jaką autor myśl swą główną, grozę pustego serca, przeprowadzić usiłuje. Stara się poeta dobrać barw jak najczarniejszych, jak najbardziéj ponurych; a w tém staraniu nie widzi sprzeczności powstających pod jego piórem. Odmalowawszy okropności wojny, téj „konwulsyi ludzkości,“ sili się na wykazanie, że straszniejszą jest cisza, bo tą ciszą jest rozpacz, jest grób; nie spostrzegając, że takich rozpaczy i takich grobów dostarcza właśnie w wielkiéj ilości wojna. Po takim kontraście obraz opuszczonego domu, który niegdyś ożywiały gwary ludzkich głosów i śmiechy szczęścia rodzinnego, już nie może zrobić wrażenia, już jest za słaby, nie dlatego żeby słabo był malowany, bo owszem sam w sobie jest wielce udatny, lecz dlatego, że następuje po daleko jaskrawszym. A w zestawieniu z innym wierszem noszącym napis „Pod toporem,“ gdzie „obraz pustki po lesie wyciętym“ poczytuje autor za smutniejszy od obrazu „ławeczki małéj, co pomni zmarłéj kochanki pieszczoty,“ prawdziwość uczucia, które natchnęło „Pustkowie,“ podlega pewnemu zakwestyonowaniu, tém bardziéj, że ów wycięty las sprawia na poecie smutne wrażenie nie ze względu na dobro ogólne kraju, lecz ze względu na „bóle drzew“ zawodzących pod toporami płacz wielki... To już chyba romantyczny sentymentalizm.

Podobne zalety i podobne wady mają u p. Gomulickiego objawy siły w kierunku satyrycznym. W zbiorku obecnym jest jeden wyborny obrazek „Syna obywatelskiego,“ odwzorowany widocznie z natury, bez przesady, poprostu, a z werwą, i jest drugi obrazek „Czarnéj damy“ t. j. dewotki i hipokrytki, skreślony z pewną afektacyą żółciową, która odbiera doniosłość pociskom satyrycznym, gdyż osobę ludzką w karykaturę przemienia, chociaż poeta zamiaru tego zapewne nie miał.

Gdy odszczególnimy jeszcze dwa utwory. „Z niskich lotów,“ będący wymownym wizerunkiem nędzy, i „Na kanonii,“ gdzie znów biéda z wesołéj przedstawiona strony, i opromieniona uśmiechem ironii z saméj z siebie, to załatwimy się ze wszystkiém, co w zbiorku pod względem psychicznym na bliższe zastanowienie zasługuje.

Pod względem kompozycyi p. Gomulicki jest panem siebie w drobnych utworach, które obrabia jak cacka; w większych natomiast nie obmyśla dokładnie następstwa okresów i daje się unosić

swobodnemu kojarzeniu się wyobrażeń, ale i tu łatwo mu przyjdzie zawładnąć trudnościami, jak to już zrobił w „El mole rachmim.“ Co do dykcyi, to ta, wykształcona na poezyach Słowackiego, zawsze jest wykwintna, czasami tylko zbyt wymuszona; obrazowość polega nie tyle na plastycznym rysunku, ile na doborowych przenośniach, któremi osłania nawet retoryczny nastrój, będący u dzisiejszych poetów tak częstém zjawiskiem. Wiersz wszędzie poprawny, a rymy bez zarzutu; język czysty i prawdziwie polski.

Wogóle mówiąc, zbiorek poezyj p. Gomulickiego sprawia bardzo dobre wrażenie i dobrze go rekomenduje wobec krytyki i czytelników, którzy poprzednio z rozproszonych po różnych czasopismach wierszy nie mogli sobie wyrobić dokładnego pojęcia o tym poecie, niezbyt wysokiego wprawdzie polotu, ale bądź-co-bądź prawdziwym poecie. *P. Chmielowski.*

= **O nauczaniu historyi z powodu zamierzonéj reformy szkół średnich w Galicyi.** *Napisał Tadeusz Korzon.* (Warszawa, wydawnictwo redakcyi Rocznika Pedagogicznego, 1882, str. II i 26). Sejm galicyjski, uchwałą z 14 lipca 1880 zawezwał Wydział Krajowy, Radę Szkolną i Akademią Umiejętności do wygotowania referatów, któreby posłużyć mogły za materyał przy dyskusyi nad naglącą reformą szkół średnich. Uchwała ta spowodowała następnie utworzenie komisyj, mających na celu załatwianie sprawy przez sejm wskazanéj. Komisye te znowu, z których jedna zorganizowana była przez zarząd Akademii Umiejętności, a druga przez zarząd Towarzystwa Pedagogicznego, rezultat narad swoich ogłosiły w odpowiednich „Sprawozdaniach.“ Sprawozdanie komisyi akademickiéj, do któréj wchodzili profesorowie uniwersytetu i nauczyciele gimnazyalni, jest obszerne i szczegółowe; sprawozdanie zaś komisyi, przez Towarzystwo Pedagogiczne utworzonéj, jest krótkie i zwięzłe; w poglądach znaczna między niemi zachodzi różnica. P. Korzon rozpatrzył krytycznie jeden z działów obu tych sprawozdań, t. j. referaty odnoszące się do nauczania historyi; głównie jednak zajął się krytyką sprawozdania komisyi akademickiéj, gdyż w niém widział najwięcéj błędów zarówno pod względem samego pojęcia dziejów jako téż sposobu traktowania nauki téj w szkole. W szczegółowym rozbiorze wykazuje autor wiele niejasności i sprzeczności w zasadniczych pojęciach, wytyka skrzywione tendencyą czasową wskazanie celu, któremu nauka dziejów w szkole służyć winna. Zapowiedziawszy w sposób zresztą wielce zawiły, że „zadaniem nauki historyi winno być przyswojenie zrozumienia głębszego bez ryczałtowego

sądzenia z *punktu pewnéj doktryny* wielkich religijnych, politycznych i społecznych zagadnień, wstrząsających ludzkością, przejęcia młodzieży uszanowaniem dla tych spraw wielkich;" komisya akademicka sama niebawem daje dowód zapatrywania się na dzieje z punktu pewnéj wyłącznéj doktryny, gdy oskarża „zdawkową teoryą postępu historycznego," jakoby okadzała „z czołobitnością każdy sukces od reformacyi do Ludwika XIV, od Ludwika XIV do Fryderyka W-go, rewolucyi francuskiéj i Napoleona, pozostawiając *państwo austryackie* w obozie zacofanych i zwyciężonych." P. Korzon wymienia pisarzy trzymających się owéj „zdawkowéj teoryi postępu," którzy sukcesu jako sukcesu bynajmniéj z czołobitnością nie okadzali... W dalszym ciągu swego wywodu komisya akademicka daje znakomitą próbkę swéj bezstronności, domagając się, aby podręcznik do dziejów był wyniesiony „po nad zdawkowe teorye dzisiejsze..." lecz za to „państwu austryackiemu szczerze przychylny," z „interesem państwa austryackiego" zgodny. To jedna strona tendencyjnego wykrzywiania pojęć, strona polityczna, ale jest druga—dogmatyczna. Komisya pragnie, ażeby w wykładzie dziejów konsekwentnie przestrzegano „średniowiecznéj tradycyi katolickiéj," a przewidując — jak mówi p. Korzon — częste kolizye z materyą naukową, chce ubezwładniać porywy krytyczne umysłów rozpaczliwym środkiem, bo „wpajaniem przekonania o zmienności i niedokładności teoryj ludzkich." Zapomniała widać komisya w swéj gorliwości, że doradzanie dzisiaj takiego środka może pociągnąć za sobą najszkodliwszy wpływ na młode umysły i to właśnie w zakresie idej, które ugruntować-by w nich pragnęła; bo tak samo teorye teologiczne jak teorye „zdawkowego postępu" są dziełem tegoż umysłu ludzkiego, którego omylność i zawodność ma być wykazywana... Dopełnieniem obu wskazanych tu tendencyj jest postulat komisyi, następnemi wyrażony słowy: „Stałe książki i teksty stanowić powinny drogoskaz obowiązku nauczyciela; pod surową odpowiedzialnością i *utratą posady* niéma mu być wolno odbiegać od miary, treści i metody nauki z *góry zarządzonéj;* ci, którzy tego z swojém sumieniem lub przekonaniami pogodzić nie mogą, nauczycielami być nie powinni." Przepis taki zupełnie jest zrozumiały, jeżeli za cel wychowania i nauczania postawimy wytresowanie zwolennika dla pewnego stronnictwa, ale wyda się dziwnie despotycznym, jeśli celem edukacyi będzie wykształcenie człowieka-obywatela. Jednostajności myśli i przekonań nie wywołuje się postrachem, który natomiast jest doskonałym środkiem do wytworzenia obłudników. Błogie, zaiste, owoce dla przyszłości przyniosłaby szkoła, gdyby jéj rządy w ręce hipokryzyi się dostały!... *Caveant consules!..*

— *Dr. A. Schaeffle.* **Kwintesencya Socjalizmu.** *Przełożył z ósmego wydania niemieckiego Henryk Konitz kand. prawa.* Warszawa u Lesmana i Świszczowskiego 1882 str. 67. Dr. Schaeffle, o którego wielkiém dziele socyologiczném zdawało już sprawę pismo nasze (1) chcąc dać poznać szerszej publiczności wyniki swych badań nad teoryami socyalistów, jeszcze w r. 1874 streścił je i wyłożył popularnie w artykule dziennikarskim ogłoszonym wtedy w piśmie „Deutsche Blätter;“ artykuł ten wydany potém w oddzielnéj broszurze, czytany był chciwie przez Niemców i doczekał się już wielu wydań; spolszczony obecnie, niewątpliwie pobudzi ciekawość naszéj publiczności. Autor stara się jasno przedstawić teoretyczne zasady socyalizmu wedle dzieł najpoważniejszego ich przedstawiciela K. Marxa, odrzucając zaś a raczéj lekceważąc wszystko co do propagandy socyalizmu domięszały namiętności zbyt gorących apostołów, uniesienia walki stronnictw, lub fantazya nie wytrawnych umysłów, usiłuje wyjaśnić ekonomiczne i prawne zasady czystéj teoryi socyalizmu, bada o ile one z naturą ludzką i życiem społeczném pogodzić się mogą, wyprowadza z nich jedynie tylko ściśle logiczne konsekwencye i dochodzi do wniosku: że większa część pojęć socyalistycznych dałaby się zastosować do życia wśród dzisiejszych społeczeństw, o ileby pojęcia te mogły zmodyfikować się w sposób dający dostateczne gwarancye nienaruszania wolności ludzkiéj, tego najcenniejszego dorobku cywilizacyi nowożytnéj. Broszura ta, zatytułowana „Kwintesencya socyalizmu,“ jest nie tylko bardzo ciekawą, ale w wysokim stopniu pouczającą; kogóż bowiem dzisiaj nie zajmie i nie zaciekawi socyalizm, a gdzież lepiéj poznać go można jeśli nie w wykładzie uczonego, który obok jawnéj sympatyi dla nowo głoszonych zasad ekonomicznych i prawnych, ze stanowiska swego społecznego i dla saméj już powagi naukowéj musi się trzymać podstaw życia realnego i zbyt wysoko w obłoki fantazyi nie ulatuje. Tylko że w kwintesencyi takiéj, każda kropla ma swoję wartość, każdą więc cenić i szanować należało, czego jednak tłómacz nie zrobił. Nie umielibyśmy powiedzieć czy zbyt lekkie traktowanie przedmiotu, czy może zbyteczne usiłowanie oddania każdego niemal słowa autora stały się powodem wielu wyrażeń niedokładnych a nawet niejasnych, do zrozumienia trudnych. Pojmujemy wszystkie trudności takiego tłómaczenia, bo ani terminologii ekonomicznéj ustalonéj nie mamy, ani łatwém być może przez cztery arkusze druku utrzymać się w sferach abstrakcyi, zachowując plastyczność stylu; samo zresztą konieczne powtarzanie niemal w każdym ustępie wyrazów: *społeczny*, *socyalny*, *publiczny* w znaczeniu, z którém publiczność nasza mniéj jest oswojoną, już jasność wykładu gmatwać musi. Jednakże wszystkie te trudności przy usilném

(1) r. 1877 T. I. str. 214 i 1882 T. III str. 564.

staraniu tłómacza dałyby się przezwyciężyć i nie usprawiedliwią wyrażeń, które niekiedy zrozumiéć trudno, ani dają prawa do zmodyfikowania myśli autora. Nie można pisać że: „*krytyka kapitału* jest głównym duchowym wstępem ruchu w obecnym stadyum" (str. 11), kiedy autor mówi „geistliche Vorarbeit der Bewegung." Niewypada Marxa nazywać „najumiarkowańszym teoretykiem socyalizmu" (str. 12), bo „der massgebendste" nieznaczy tyle co najumiarkowańszy. Nie należy wyrazów „öffentlich-rechtliche Gliederung"— tłómaczyć przez „ogólnie prawny podział" (str. 23). Dlaczego w przyszłém urządzeniu socyalistów „mieszkania prywatne łącznie z zamkniętém życiem rodzinném byłyby najzupełniéj wyłączone" (str. 58), kiedy Schäffle właśnie przeciwnie twierdzi, że zgoła nie byłyby wyłączone, „wäre mit nichten ausgeschlossen" (ed. 2 str. 60). Te i tym podobne usterki jeżeli utrudnią trochę czytanie przekładu—nie powstrzymają zapewne publiczności od chęci wyrozumienia saméj treści teoryi socyalizmu współczesnego.

= **Sprawozdanie z konkursu na najlepsze dziełka ludowe**, ogłoszonego przez komitet Wydawnictwa dziełek ludowych we Lwowie, dnia 27 marca 1882 r. z terminem 1-go lipca b. r.

Nadesłano do konkursu 42 rękopisy. Pierwszą nagrodę w kwocie 150 złr. w. a. przyznał Komitet na posiedzeniu dnia 10 lipca b. r. za dziełko pod tytułem: „Stary Grzegorz" napisane przez Józ. Hopcas z Krakowa. Drugiéj nagrody nikomu nie przyznano. Natomiast uchwalił Komitet nabyć 5 dziełek polskich (1. Powrót z wojaczki. — 2. Jak ochraniać zwierzęta gospodarskie od chorób. — 3. Rozmowy. — 4. Dobry syn.— 5. W miasteczku) i 2 ruskie: (1. Wandrówki życia. 2. Pijanstwo zahybel naroda (*) — po porozumieniu się z autorami. Nabyte prace będą drukowane nakładem Komitetu.

= Dnia 1 sierpnia wyszedł z pod prasy zeszyt XXXII-gi (8-my tomu III-go) **Słownika geograficznego polskiego**, i obejmuje opisy miejscowości od **Jelonek** do **Justynów**. Z pomiędzy artykułów obszerniéj opracowanych zasługują na uwagę: **Jeziorzany**, **Jezierzyszcze, Jeziorki, Jeżewo, Jeżów, Jędrzejów, Jodłówka**, **Jordanów, Józefów, Judrany, Julianów, Junkrowy, Jurbork**, **i w. i**. Na literę **K**. redakcya posiada do 20,000 artykułów, spisanych blisko na 100,000 kartek. Uporządkowanie tego materyału zajmie pewien czas i dlatego zeszyt XXXIII-ci Słownika zamiast 1 września wyjdzie około 10 września. Tymczasem dla wiadomości współpracowników, opóźniających się dotąd z nadsyłaniem artykułów, donosimy, że druk litery **K.** rozpocznie się najpóźniéj 10—15 sierpnia r. b.

(*) Wzywamy niniejszem autora manuskryptu „Pijanstwo zahybel naroda," ażeby raczył podać swój adres do wiadomości Komitetu.

ODEZWA

Wydziału Towarzystwa archeologicznego

we Lwowie.

Towarzystwo archeologiczne we Lwowie założone już przed laty pracowało przez czas jakiś sprężyście, ale od lat kilku z rozmaitych powodów przestało dawać znaki życia; dziś zdaje się, że okoliczności zmienią się znowu na korzyść tegoż towarzystwa; jest uzasadniona nadzieja, że będzie miało środki materyalne niezbędnie potrzebne, za pomocą których będzie mogło podjąć pracę naukową, będzie mogło rozpoznać i opisać zabytki sztuki rozrzucone po naszym kraju, i będzie mogło grono członków swych i w ogóle miłośników sztuki lub starożytności zaznajomić z postępami, które archeologia poczyniła w innych krajach i u innych narodów. . . . .

Kiedyś może, będziemy mogli marzyć o tém, że wybudujemy tu we Lwowie przybytek dla pamiątek narodowych. Teraz stoi przed nami bezpośrednio inne zadanie. Za pomocą pisma peryodycznego spiszemy wszystkie pomniki, które posiadamy w kraju, rozpowszechnimy podobizny ciekawszych, zbadamy ich charakter, ich epokę, ich znaczenie, i dodamy przeto kilka nowych kart do historyi sztuki i do archeologii. A wiedząc co posiadamy, będziemy się starać wspólnemi siłami o to, by to nie przepadało, by umiejętna ręka tego nie psuła, i by rodzime tradycye odżyły w budownictwie, w snycerstwie i w przemyśle domowym, w których je teraz zastępują tuzinkowym, bezmyślnym, modnym wyborem. . . . .

Wzywamy tedy niniejszém wszystkich ludzi dobréj woli aby nam donosili o tém:

a) Czy niema w ich okolicy jakich okopów, mogił, albo innych dawnych robót ziemnych?

b) Czy niema jaskiń, w których by znachodzono narzędzia kamienne, kości skamieniałe, albo jakie ślady dawnego mieszkania ludzkiego?

c) Czy niema wałów, które lud nazywa horodyszczami, albo uroczyska (cmętarza starożytnego)?

d) Czy niema czy-to domu Bożego, czy-to innego budynku (resztek, ruin), którego początki sięgają przeszłego wieku, albo wieków dawniejszych?

e) Czy niema budowy drewnianéj nieco misterniejszéj, o któréj niewiadomo dokładnie kiedy została zbudowaną?

f) Czy niema ikonostasów, malowideł świętych, nagrobków, portretów, albo w ogóle sprzętów starożytnych?

g) Czy niema mszałów, starych ksiąg, dokumentów lub metryk, a mianowicie takich aktów, w którychby się można dowiedzieć o fundatorach i dobrodziejach miejsc świętych?

h) Czy niema starożytnych medalów, pieniędzy (na wotach).

i) Czy nieznane są w okolicy jakieś podania odnoszące się do robót ziemnych, albo do gmachów starożytnych? Jaka bywa ludowa nazwa tych zabytków?

k) Czy wreszcie niema jakich pamiątek po ludziach znakomitych, choćby byli żyli w naszém już stuleciu?

Z notycyi tak otrzymanych będzie towarzystwo archeologiczne układać w organie swym urzędowym spis pomników historycznych znachodzących się w kraju naszym. Nato by spis ten mógł posiąść zupełną naukową i urzędową wartość będzie rzeczą pożądaną i niemal konieczną by korespondenci zechcieli dawać dokładniejsze opisy, a gdzie to tylko będzie możliwém—i rysunki albo fotografie ciekawych zabytków. Pomniki opisane w urzędowéj publikacyi towarzystwa otrzymają tém samém prawo do opieki publicznéj i wyłączne prawo do restauracyi z funduszów krajowych, których niewolno według istniejących przepisów obracać na przedmioty nie objęte katalogiem dzieł sztuki i pomników historycznych, tam gdzie tylko wydawnictwo takiego katalogu rozpoczęto.

We Lwowie dnia 1 Czerwca 1882.

Wojciech Dzieduszycki
c. k. Konserwator pomników i Prezes Kraj. Towarzystwa Archeologicznego.

Karol Widmann
sekretarz Kraj. Tow. Archeologicznego.

= **„Świata illustrowanego"** wychodzącego w Wiedniu, nakładem *Zygmunta Bensingera*, a pod redakcyą *Andrzeja Odrowąża*, wyszedł właśnie zeszyt dwudziesty trzeci i zawiera: *A)* W części literackiéj: 1) Wina i odwet, powieść z życia społecznego (ciąg dalszy); 2) Śniade dziewczę, obraz z niw morawskich (ciąg dalszy); 3) Sprawa o las, opowiadanie Wisława (ciąg dalszy); 4) Po latach, szkic z gór; 5) Zabawa domowa u p. Pląsowicza, humoreska; prócz tego objaśnienia do rycin, pocztę redakcyi, nowe książki, rozmaitości i łamigłówkę. — *B)* W części obrazkowéj: 1) Charles Darwin; 2) Tajemnica; 3) Sztabowy trębacz z wojny trzydziestoletniéj; 4) Dostał na pamiątkę; 5) Fraszki humorystyczne: Różne listy i wrażenia ich na odbierających.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor **Piotr Chmielowski.**